

# *Mainard Dominique*

## *Dla Was*

*Uśmiech losu czy jego zemsta?*

*Delphine M. jest właścicielką nietypowej agencji "Dla Was", która w ramach usług oferuje to, co, wydawałoby się, jest bezcenne: uczucia i obecność bliskiej osoby. Do jej obowiązków należą między innymi udawanie wnuczki samotnej staruszki, wypożyczanie bezdzietnemu małżeństwu córki swojej sekretarki czy odgrywanie roli żony nieboszczki w obecności niepokieszonego wdowca. Interes kwitnie do czasu, gdy w agencji zjawia się przystojny Jones i prosi o pomoc w przepisaniu pięciu tajemniczych zeszytów. Niespodziewanie w życie bohaterki wkrada się uczucie, którego nie da się kupić...*

Człowiek, który śni, jest bogiem,  
Człowiek, który myśli - żebrakiem.

**HÖLDERLIN**, *Hyperion*

# 1

„Wnuczusiu, moja wnuczusiu”, mówił i była to niekończąca się, czasem godzinami trwająca litania, której towarzyszyły śmiech i łzy. „Tak, dziadziu, tak”, odpowiadałam cierpliwie, bo mi za to płacono, i zawsze z uśmiechem na ustach, nawet wtedy, gdy musiałam go po dziesięć, dwadzieścia razy powstrzymać, żeby nie wchodził na trawnik i nie zrywał róż, bo wtedy strażnik miał do mnie pretensję, że nie potrafię upilnować własnego dziadka, a nawet jeśli nie było strażnika, to znów staruszek ranił sobie do krwi dłoń o kolce. I za każdym razem nie mogłam się nadziwić, że człowiek spędzający życie na wózku inwalidzkim potrafi być taki szybki, kiedy chce dopaść do paru kwiatów.

„Agathe”, mówił i głaskał mnie po policzkach, po brodzie, a ja ukrywałam obrzydzenie, jakie wzbudzał we mnie dotyk stwardniałej, tak okropnie stwardniałej skóry jego palców.

„Agathe, ani trochę się nie zmieniłaś, czy wiesz, że wciąż masz taki sam uśmiech, jak wówczas, gdy byłaś dzieckiem? Dokładnie taki sam. I ten dołek w policzku, o tu”.

Kiedy słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, sadzałam go z powrotem na wózku i ruszaliśmy w drogę powrotną do domu; silniczek cicho i wytrwale terkotał rrrrr, rrrrr, on zaś trzymał dłoń w zgięciu mojego łokcia, tak

jakbym pomagała mu kroczyć na chwiejnych nogach. Opuszczaliśmy park Pod Platanami przez północną bramę i idąc dalej aleją, dochodziliśmy w końcu do ulicy, przy której mieszkał; jego wnuczka otwierała drzwi z twarzą odprężoną, bo przez jakiś czas go nie było, i od razu znużoną, bo już wrócił.

- Jak było? - pytała, na co za każdym razem odpowiadałam:

- Znakomicie, zachowywał się bardzo grzecznie, myślę, że przyjemnie mu było pobyc na świeżym powietrzu.

Pomagałam starszemu panu zejść z wózka. Siadał jak kukła w salonie, z nieobecna miną, machinalnie wycierając zabłocone buty w perski dywan. Nie okazując wzruszenia ani nawet zdziwienia obecnością swoich wnuczek, raczej powinnam powiedzieć, swojej jedynej wnuczki, bezgłośnie poruszał ustami i z pewnością tylko ja odczytywałam z jego pergaminowych warg ostatnie „Agathe, Agathe”. Wnuczka z westchnieniem odwracała się do komody, odrzucała w tył ciemne włosy, niezbyt podobne do moich rudych, wyjmowała z szuflady kopertę i wręczała mi ją ze słowami:

- To dla pani, Delphine, bardzo dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiadałam, chowając kopertę do torebki. -  
Zatem do następnej niedzieli, tak?

- Tak - odpowiadała, spoglądając w okno, jakby już teraz można było przewidzieć pogodę na najbliższy weekend - chyba że będzie padało. Nawet przy ładnej pogodzie dość mi już wnosi błota do domu.

Kiedy odchodziłam, staruszek siedział z opuszczonymi ramionami, nie robiąc najmniejszego gestu w moją stro-

nę, on, który nieustannie obcałowywał mnie i głaskał, kiedy byliśmy w parku sami. W milczeniu odprowadzał mnie tylko wzrokiem, tak jakby ta podwójna obecność wnuczki go paraliżowała. Podając mu rękę, którą rzadko kiedy ujmował, mówiłam uprzejmie: „Do zobaczenia, panie Edgarze” i wychodziłam w mrok wieczoru.

Od razu za rogiem ulicy wyjmowałam kopertę i sprawdzałam kwotę na czeku. Najczęściej nie wystarczało mi cierpliwości, by z tym zaczekać do powrotu do Agencji, ale Agathe Coindreau nigdy się nie myliła. Z tego powodu - oraz dlatego, że nigdy nie próbowała kwestionować moich stawek - zgadzałam się w każdą niedzielę po południu wyprowadzać na spacer jej dziadka, choć prawdę mówiąc, nigdy nie miałam nic ważniejszego do roboty niż zajmowanie się moimi klientami.

Po raz pierwszy zobaczyłam Jonesa, kiedy byłam z panem Edgarem na skwerze. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim jest, więc nie domyśliłam się, że znalazł się tu nie przypadkiem, ale dlatego, że przyszedł za mną z Agencji przed dom, w którym mieszkał stary człowiek na wózku inwalidzkim. Pan Edgar siedział na ławce, trzymając w palcach jeden z trzech papierosów, jakie wnuczka pozwalała mu wypalić podczas niedzielnego spaceru. Była to jedna z nielicznych spokojnych chwil popołudnia, siedziałam więc obok niego z czasopismem, kiedy nagle usłyszałam kroki. Podniosłam głowę i ujrzałam podchodzącego do nas młodego mężczyznę z rękami w kieszeniach i z papierosem w ustach, który zapytał:

- Ma pan ogień?

Zwracał się z tym pytaniem do starca, który palił ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, z rękami opuszczonymi na uda - ale patrzył na mnie. Pan Edgar nie odpowiedział, więc z powierzonej mi przez wnuczkę saszetki wyjęłam zapalniczkę - pamiętam, że była niebieska - i podałam ogień młodemu mężczyźnie. Kiedy się nachylił, zauważyłam, że ma bardzo długie rzęsy, nie czarne lub brunatne, ale w dziwnym popielatoszarym kolorze, tak jakby pod wpływem wieku lub zgryzot to one mu posiwiały zamiast włosów, które były brązowe i lśniące od żelu. Na jednym z policzków miał szramę. Wystrzelił płomień, za duży, niewiele brakowało, by go oparzył, ale on nawet nie drgnął. Kiedy koniuszek papierosa rozżarzył się, jeszcze raz na mnie spojrzał, powiedział cicho: „Dziękuję” i odszedł.

Od razu zrozumiałam, że go jeszcze spotkam, że w kieszeni miał z pewnością własne zapalki lub zapalniczkę i że prośba o ogień była zwykłym pretekstem. Zrozumiałam to ze sposobu, w jaki na mnie spojrzał, nie tak, jak znudzony mężczyzna patrzy w parku na kobietę. Pomyślałam, że może to tajniak, zawsze się bałam, żeby jakiś niezadowolony klient nie wszczął przeciwko mnie policyjnego lub prywatnego dochodzenia, więc odprowadziłam go wzrokiem, kiedy oddalał się aleją. W ruchomym cieniu rzucanym przez drzewa przez chwilę wydało mi się, że mężczyznę otaczają dziesiątki liliowych motyli, zaraz jednak pomyślałam: „Nie, to te niebieskie metaliczne muszki, muszki zwiastujące śmierć”. W chwilę później insekty, jeśli to były one, zniknęły. Mogła to być tylko gra światła i cienia, ale już w tym obrazie zawierała się cała historia.

Pan Edgar, który wypalił swojego papierosa aż po ustnik, prawie parząc sobie palce, znowu zaczął szeptać „Agathe, Agathe”, więc żeby go uciszyć, sięgnęłam do torebki po cukierek, wyjęłam go z papierka i wsunęłam mu do ust, a musiałam być bardziej poruszona, niż byłam skłonna się do tego przyznać, bo drugi wzięłam dla siebie. Miał smak porzeczkowy, którego nie lubię, ale mimo to ssałam go, dopóki całkiem się nie rozpuścił i nie nadeszła pora opuszczenia parku i powrotu do domu.

*Pan Edgar Coindreaulpanna Agathe Coindreau  
Park Pod Platanami, godzina czternasta trzydzieści - siedemna-  
sta. Trzy papierosy. Cztery minuty spaceru. Poprosił o cukierki,  
dałam mu dwa, zgodnie z zaleceniami wnuczki. Nic więcej do  
odnotowania.*

*Po chwili wahania dopisałam: **Jakiś młody mężczyzna poprosił o  
ogień**, ale potem starannie wykreśliłam te słowa, mówiąc sobie,  
że to niewart wzmianki incydent, i zakończyłam:*

*Czas: dwie godziny trzydzieści minut.  
Siedemdziesiąt euro.*



## 2

W biurze Marja, siedząc z rękami opuszczonymi na kolana, płakała, nawet nie próbując otrzeć łez. Często płakała w taki właśnie sposób, mnie zaś za każdym razem dziwił widok tak solidnej kobiety mażącej się jak dziecko. Miała czterdzieści lat, ja zaledwie o pięć lat mniej, lecz zawsze czułam się w obowiązku ją pocieszać. Teraz też wyjęłam z szuflady chusteczki higieniczne o zapachu bzu, które zwykle rezerwuję dla klientów, i podałam jej jedną, ale miała minę, jakby nie zamierzała z niej skorzystać.

- Powiedział mi, że jestem prostytutką - zaszlochała. - Wyobraża sobie pani? prostytutką!

Podniosłam się z pewnym wysiłkiem z powodu brzucha, który w ciągu kilku ostatnich dni jakby urósł i do którego wciąż jeszcze się nie przyzwyczaiałam. Obeszłam biurko, chwyciłam za poręczę fotel, na którym siedziała, i okręciłam go przodem do siebie.

Marja miała mleczną skórę, długi cienki nos i ładnie wykrojone wargi, twarz wyglądającą raz arystokratycznie, raz wulgarnie oraz mocne ciało osoby, którą była przed spotkaniem ze mną, robotnicy lub sprzątaczką, tak jak ja kiedyś; welurowy kostium nie mógł ukryć krzepkości jej ramion i ud.

- Następnym razem kiedy będziemy miały podobne zlecenie, wyślę kogoś innego - powiedziałam. - I proszę nie zapominać, czego panią uczyłam: nieważne, jakimi wyzwiskami panią obrzucają, to oni są żebrakami, oni sto razy bardziej potrzebują naszej pomocy, niż my tego, by im tę pomoc wyświadczyć.

Rozumie pani?

Skinęła głową, próbowała coś dodać, lecz przeszkodził jej w tym szloch; zakryła usta dłonią, jakby to był jakiś nieprzyzwoity odgłos.

- Jest jeszcze coś - ciągnęła z wahaniem. - Chodzi o Titouana.

Dłużej tego nie wytrzymam. Obiecała mi pani, że to się wkrótce skończy, tylko kiedy? Czy pani wie, co mi dzisiaj powiedzieli?

Powiedzieli, że mój syn ma brudne uszy, a ja nawet tego nie zauważyłam. Mieli takie miny, jakby mnie uważali za wyrodną matkę. prostytutka, wyrodna matka i co jeszcze?

Przewidując, że zaraz znowu się rozplacze, i licząc, że wskutek moich perswazji weźmie się w garść, odpowiedziałam:

- Dobrze pani wie, Marjo, że państwo Soignes podpisali umowę. Za cztery miesiące nie będą już mogli rościć sobie prawa do opieki nad Titouanem. Dlatego nie warto się wpędzać w takie nastroje - dodałam niecierpliwie. - Czy to z powodu państwa Soignes, czy pani klienta. Myśli pani, że ze mną jest inaczej? Myśli pani, że mnie jest to oszczędzone? Zapewniam panią, że mówili mi już gorsze rzeczy.

I to prawda, nazywano mnie już prostytutką, złodziejką, kłamczuchą, kiedy sen się kończył i do klientów docierało to, co nazywają oszustwem, nabieraniem, a co jeszcze przed chwilą było prawdą ich pragnienia - kiedy mieli przed sobą

już nie tę, w której widzieli swoją matkę, siostrę, przyjaciółkę czy kochankę, tylko obcą osobę, której słowa i gesty nagle wydały im się pozbawione sensu. Na próżno wtedy przypominam: „Zawarł pan, zawarła pani umowę, proszę ją jeszcze raz przeczytać, wszystko w niej jest zapisane”, ogarnia ich gniew lub smutek, tak jak Marję, i jest to rzeczywiście niebezpieczny moment.

Zza wciąż uniesionej dłoni Marja uśmiechnęła się blado, pociągnęła nosem i dopiero wtedy opuściła rękę.

- Och, wiem, wiem - powiedziała. - Trudno mi sobie wyobrazić, jak pani to wszystko, zwłaszcza ostatnio, może wytrzymać. Taka miła młoda kobieta jak pani.

Uśmiechnęłam się również, ale nic nie odpowiedziałam.

Wiedziałam, że jej słowa wyrażają tyleż samo podziwu, co lekceważenia, tyleż samo szacunku, co złośliwości. „Nie jestem żadną miłą młoda kobieta, Marjo”, powiedziałam kiedyś, a z jej spojrzenia wyczytałam, że faktycznie wcale mnie za taką nie uważa, już bardziej za kompetentną i nieczułą szefową, znachorkę bez krzty sympatii dla swoich chorych. I w taki sposób postrzega mnie też większość klientów.

Z początku - zaczęłam pracować, mając szesnaście lat - wielu obwiniało fałszywą niewinność mojego młodego wieku i nieraz zdarzyło mi się oberwać po twarzy jak jakaś smarkula, być skarconą jak zepsute, obdarzone zatrwającą wyobraźnią dziecko, gdy tymczasem jeszcze wczoraj ci sami klienci błagali: „Dłużej nie wytrzymam, czy pani myśli, że mogłaby, czy możliwe byłoby...” (długa i nieskończenie urozmaicona jest lista usług, o jakie mnie proszą), na co odpowiadałam: „Proszę się nie obawiać, wszystkim się zajmę. Godzina kosztuje tyle i tyle, nadgodziny - o tyle więcej”.

Jeszcze dziś, kiedy złudzenie pryska, prawią mi morały, jakbym ukradła im klejnot, którego wartości nawet się nie domyślałam.

„Sama pani nie wie, co robi - oskarżają. - Niech się pani nie waży więcej tego robić. I tak ma pani szczęście, że nie złożę skargi". Ci najbardziej cnotliwi mówią: „Jest pani bez serca. Jak pani śmie tak wykorzystywać ludzką niedolę? Proszę na mnie spojrzeć, jeśli starczy pani odwagi", aleja potrafię to wszystko robić z podniesionym czołem. W duchu mówię sobie: „Prosiliście mnie o to, błagaliście, zaklinaliście. Za to mi zapłaciliście".

Za wysyłanie do was przez trzy miesiące listów i rysunków rzekomo autorstwa waszego sześciolatniego synka, którego zabrała matka i teraz nie macie prawa go widywać, listów i rysunków skopiowanych z tych, które wolno wam było zachować, z przewagą żółtego i czerwonego koloru, który tak lubił, i z tymi samymi błędami ortograficznymi.

Za nagranie słowo w słowo, po dziesiątkach prób głosu, przebiegu ostatniej rozmowy, jaką odbyliście z żoną w przeddzień jej śmierci, z pozostawieniem przerw na słowa wypowiedziane przez was, słowa tak banalne, gdyż ostatnie zdanie, jakie padło z waszych ust i na które nie odpowiedziała, bo już zasnęła, było pytaniem: „Czy pamiętałaś, żeby zamknąć okno w kuchni?".

Za jedzenie z wami obiadu w każdą sobotę, ponieważ nie możecie znieść swojej samotności rozwodnika, posiłku niewymyślnego, podanego na kuchennym stole, potem jakiś film w telewizji i czasami noc u waszego boku w małżeńskim łóżku, w piżamie, której wasza żona zapomniała lub nie chciała zabrać.

Za użyczenie, a raczej powinnam powiedzieć „wynajęcie” dziecka do kochania przez dwa popołudnia w tygodniu, bo nie udało wam się mieć własnego i zbyt bolejecie nad niemożnością podania mu smoczka, zmienienia pieluchy, poczytania bajki, więc gotowi jesteście zapłacić za iluzję, że to dziecko jest wasze.

3

Tymi klientami byli państwo Soignes, a dzieckiem - synek Marji. Rok temu przyszli do agencji i po długim kluczeniu wyznali, że mają u siebie w domu pokój dziecinny pełen zabawek, pokój, którego cisza stała się dla nich katuszą. Wszystkie te pokrywające się kurzem misie, te lalki, te ołowiane żołnierzyki napełniały ich smutkiem nie tyle dlatego, że nie mają dziecka, ile dlatego, że mieli, ale to dziecko umarło. Wpadli przypadkiem, z pewnością nie będą mogła im zaproponować usługi, o jaką im chodzi - jak zresztą taką usługę nazwać? - ale słyszeli od kogoś, że w Agencji „Dla Was” można znaleźć prawie wszystko, więc postanowili spróbować szczęścia.

Tego dnia Marji nie było. Podeszłam do biurka, na którym stała fotografia jej synka.

- Ależ naturalnie, dobrze państwa rozumiem - powiedziałam - dom bez dzieci jest jak cmentarz. Wielu już się z tym do mnie zwracało - skłamałam. - Chyba mam dla państwa pewne rozwiązanie. Czy podoba się państwu to dziecko? Proszę dobrze mu się przyjrzeć. Maluch jest rozkoszny.

Powiedziałam, że ma sześć miesięcy, w rzeczywistości miał rok, ale był jak na swój wiek drobny, no i był ślicznym

dzieckiem z tymi ustami w kształcie serduszka i z długimi lokami dziewczynki.

Natychmiast się zgodzili. Pani Soignes długo wpatrywała się w zdjęcie i do oczu napłynęły jej łzy, ale odwrotnie niż Marja od razu je otarła, i zapytała: „Ile?”.

Ze wszystkich moich kontraktów ten jest najbardziej intratny, ale też najbardziej delikatny oraz, zdaję sobie z tego sprawę, najbardziej gorszący w oczach ludzi, których szokują moje drobne konszachty z życiem. To już nie tylko sprawa między dorosłymi, nie otwarte okłamywanie drugiego człowieka, ponieważ sam o to prosi, tu w grę wchodzi dziecko, które wędruje z rąk do rąk i które czasem płacze. Miałam to szczęście, że Marja jest samotną matką, że ma długi i że potrzebuje tej pracy, w sumie niezbyt męczącej i dobrze płatnej, którą ma w mojej Agencji. Z pewnością nie zdołałabym znaleźć innej chętnej, nawet obchodząc wszystkie skwerki, żłobki i przedszkola po zakończeniu zajęć oraz kawiarnie, do których popołudniami przychodzą znudzone matki z niemowlakami śpiącymi w nosidełkach.

Zresztą nawet Marję, mimo jej dobrej woli, kłopotów finansowych i tolerancji, niełatwo było przekonać. Kiedy po raz pierwszy poruszyłam z nią ten temat, zbladła i potrząsnęła głową. - To niemożliwe - powiedziała. - Nie wiem, jak może mnie pani o coś takiego prosić. Naprawdę przypuszczała pani, że się zgodzę? - Niech pani posłucha, Marjo. To tylko kilka godzin, nie więcej niż dwa razy w tygodniu, poza tym będzie pani mogła sama wybrać odpowiadające pani dni. Czy nigdy nie zdarza się pani zostawić Titouana w żłobku? Niech pani

spróbujecie potraktować tę kobietę jak niańkę. Z tą jedną różnicą, że to pani otrzyma wynagrodzenie.

- Kiedy to nie ma nic do rzeczy. Ona będzie udawała, że jest matką Titouana. A ja tego nie chcę. Już wolę złożyć wymówienie. - Potem podniosła głos: - A jeśli go zabiorą i znikną? Nie ma pani pojęcia, do czego zdolni są ludzie niemogący mieć dziecka. Równie dobrze mogłabym nigdy więcej nie zobaczyć mojego synka.

- Ależ Marjo - odpowiedziałam ze spokojem. - Oni chcą tylko przez dwie, trzy godziny w tygodniu poniań-czyć jakieś dziecko. Niech pani raczej pomyśli, jak muszą rozpaczać, że nie mogą mieć własnego. Nie chciałyby im pani sprawić tej przyjemności? A wtedy wlepiła we mnie oczy pełne furii i pamiętam, że pomyślałam, czy to aby nie jest jej prawdziwa twarz. Nie ta twarz madonny lub dziwki, którą ukazuje innym z wrażliwością roślin nieodmiennie zwracających się ku słońcu, tylko ta naga bezwzględność którą miałam teraz przed oczami. Pamiętam, że pomyślałam: „Czyżbyśmy w gruncie rzeczy były aż tak do siebie podobne?”. Wzięła głęboki oddech, po czym zmienionym głosem, głębszym i dźwięczniej szym, odpaliła:

- Jak miałyby pani zrozumieć, pani nie ma dziecka, nie wie, co to znaczy być matką. (Wtedy nie byłam jeszcze w ciąży). - I jakby nie mogąc się powstrzymać, jednym tchem dodała: - A zresztą, z tego co pamiętam, nie miała pani też właściwie rodziców, więc nie, nie może pani tego zrozumieć.

Wiedziała o tym, gdyż zdarzyło mi się jej zwierzać, z rzadka, lecz zawsze o ten jeden raz za dużo. Nie wiem, co wy-



czytała z mojej twarzy, bo przerwała, z wysiłkiem się opanowała i mruknęła:

- Nie wiem, co mnie napadło, nie powinnam była tego mówić, bardzo panią przepraszam.

Przez chwilę siedziałyśmy obie w milczeniu. Patrzyłam na nią, widziałam, jak jej nozdrza czerwienieją, jak delikatna skóra wokół oczu nabrzmiewa i nim zdążyła uderzyć w płacz, oznajmiłam: „Zapłacę pani za te godziny podwójnie i będzie pani miała dodatkowe wolne popołudnie w miesiącu”.

Zakryła twarz rękami i już wiedziałam, że wygrałam. Mimo to musiałam toczyć z państwem Soignes niekończące się negocjacje, wymóc na nich zgodę, że Marja będzie zawsze obecna wszędzie tam, gdzie zabiorą dziecko, na skwerze, w parku, w ich domu na wsi. Któregoś dnia zawieźli je nad morze i Marja, która nigdy nie była na wakacjach, wróciła prawie uśmiechnięta, z nosem przypieczonym od słońca. Opowiadała, że kupili mu wiaderko i łopatkę, niebieskie nadmuchiwane rękawki w kształcie kaczuszek, mówiła o radości synka bawiącego się w wodzie i na piasku, a potem twarz jej stężała i Marja wyszła bez pożegnania.

Wiem, o czym myśli. Ma świadomość, że otworzyłam przed jej synem wrota do świata, którego ona nie może mu ofiarować, i że któregoś dnia syn jej to wypomni, naturalnie, że ją rozumiem, ale nie mogę nawet pomyśleć o zerwaniu umowy z państwem Soignes: płacą mi stawkę pięciokrotnie wyższą od normalnej, o czym Marji, rzecz jasna, nie powiedziałam.

Potem, krok po kroku, państwo Soignes wymogli dodatkowe klauzule. Marji wolno przebywać w ich mieszkaniu, ale nie w pokoju, w którym siedzą z dzieckiem, nie wolno jej protestować, kiedy zaraz po przyjściu dziecko przebierane jest w specjalnie kupione dla niego ubranka, i teraz dwuletni Titouan płacze, kiedy Marja ubiera go z powrotem w szarą kurtkę ze sklepu z rzeczami przecenionymi. Któregoś dnia zwierzyła mi się z przygnębieniem, że słyszała, jak nazywają go Maxime. Zapytani, odpowiedzieli oschle, że tak ma na imię ojciec pana Soignes, a w umowie nie ma nic, co nie pozwalałoby im nazywać dziecka po swojemu.

- To bez znaczenia, Marjo - powiedziałam. - Niech się pani nie martwi, on dobrze wie, że ma na imię Titouan, a nie Maxime, pamięta, że jest synem pani, a nie ich.

Ale nie byłam tego wcale taka pewna i przez krótką chwilę korciło mnie, żeby w rewanżu za jej drobną złośliwość z całym okrucieństwem rzucić: „Drogi dzieci i matek rozchodzą się, tak to już jest, Marjo, musi się pani z tym pogodzić, bywa, że matki przestają kochać swoje dzieci, i bywa też odwrotnie”.

Czasami Marja przychodzi do biura z dwójką swoich starszych pociech, kiedy są chore albo kiedy ich opiekunka ma wolne, ale stara się to robić pod moją nieobecność. Boi się, jak przypuszczam, żeby mi nie przyszło do głowy oddać również tę dwójkę jakimś bezdzielnym parom. Chłopiec ma cztery lata, a dziewczynka sześć. Któregoś dnia mała, mierząc mnie surowym wzrokiem, zapytała: „Proszę pani, dlaczego pożyczasz naszego braciszka?”.

Odpowiedziałam z uśmiechem: „Bo moim zawodem jest uszczęśliwianie ludzi”.

I nikt nie powie, że tego nie potrafię, bo klientów mam coraz więcej. Codziennie zjawiają się nowi, ja zaś witam ich chusteczkami higienicznymi, pełnym zrozumienia uśmiechem oraz słowami:

- Proszę powiedzieć, co pana (panią) do mnie sprowadza. Potrafię wszystkiego wysłuchać. Ależ proszę nie płakać. Oto chusteczka. Proszę powiedzieć, co mogę dla pana (pani) zrobić.

*Pan i pani Soignes/pani Marja Jeska i Titouan  
Poniedziałek /środa /piątek, trzy godziny, pory ruchome.  
Jedno popołudnie: sto pięćdziesiąt euro. Dodatkowa godzina:  
trzydzieści euro.  
Posiłki i prezenty niewliczone do rachunku.  
Skargi klientki odnośnie do czystości dziecka. Premia dla matki,  
Marji Jeska: dwadzieścia euro.*

#### 4

Nie wiem, czy naprawdę powinnam się wstydzić tego, co robię. Nie wiem, czy naprawdę nie mam najmniejszego pojęcia, jak wygląda rzeczywistość, co mi czasami zarzucano, nazywając mnie handlarką uludy i traktując to zarówno jako komplement, jak i najgorszą zniewagę. W oczach moich klientów jestem kimś, kto pociesza i leczy, bądź kimś, kto sprzedaje najbardziej toksyczny z narkotyków. Ale życie mnie nauczyło, że nie ma niczego mniej rzeczywistego niż to, co określa się mianem rzeczywistości, oraz że śmierć, zdrada i cierpienie przestają istnieć z chwilą, kiedy człowiekowi udaje się od nich uciec. Ale pewnego dnia to się kończy, musi się skończyć. Nikt nie ma tyle siły, by całymi miesiącami i latami żyć w świecie wyobrażonym, nikt też nie ma aż takich pieniędzy, by mi za to płacić, w tym rzecz, i w końcu muszą się z tym pogodzić. Tłumaczę im to chłodno, a zarazem łagodnie, co zawsze uważałam za najlepszą kombinację mającą im przemówić do rozsądku: znieczulenie, zwykłe znieczulenie, oto co im oferuję, a nie sen, który bezboleśnie doprowadzi ich do bram śmierci. „Rozumiemy - szepcą - naturalnie, oczywiście”. Ale w istocie tego nie rozumieją, po wygaśnięciu umowy nadal do mnie dzwonią, żebym wiedziała, co

u nich nowego, żeby powtórzyć, jak bardzo im pomogłam tym ostatnim pożegnaniem, którego zostali pozbawieni i które na ich użytek zainscenizowałam, tym wspomnieniem, które sama wymyśliłam, aż sami w końcu zapomnieli, że nigdy naprawdę nie istniało. Nie potrafią przeciąć więzi ze mną, więc po paru tygodniach przestają odbierać ich telefony, zostawiam ich głos na sekretarce bez odpowiedzi, ich wiadomości stają się coraz krótsze, nigdy nie oddzwaniam, aż któregoś dnia telefon milknie. Albo też nie mogą znieść mojego milczenia i umawiają się gdzie indziej, na inne pożegnanie, na inne wspomnienie. Tym zaś mogłabym powiedzieć bez owijania w bawełnę: „To się nigdy nie skończy, nigdy nie wygaśnie, zawsze będziecie gonili za czymś innym”, ale nie jestem przekonana, czy taka prawda by ich pocieszyła, a w dodatku Agencja „Dla Was” żyje z ich nieszczęścia; nie podsycalabym go, lecz gdyby było w mojej mocy definitywnie je uśmierzyć, nie jestem wcale pewna, czybym to zrobiła.

Niektórzy klienci, ci najbardziej wścibscy lub ci, którzy czują się najbardziej nieswojo, tacy, którzy próbują zyskać na czasie, prosząc o filiżankę kawy czy jeszcze raz przeliczając banknoty, pytają mnie, jak zaczynałam. Mimo przepełniającej ich w takiej chwili wdzięczności - że znaleźli kogoś, od kogo kupią tak bardzo im potrzebną iluzję, sen, chciałoby się rzec, puste słowa - trudno im uwierzyć, że takie miejsce w ogóle istnieje.

Zastanawiają się, czy to interes rodzinny, czy z matki na córkę, i to od pokoleń, przekazuje się wiedzę o ranach duszy, recepturę balsamu aplikowanego na cierpie-

nia, który przynosi ulgę, choć nie może ich uleczyć. Jeszcze bardziej intryguje ich moja ciąża, coraz bardziej już widoczna, spoglądają na moją lewą dłoń i srebrną obrączkę, którą noszę, żeby uniknąć pytań, zapobiec domysłom, nikt jednak nie ma śmiałości zapytać: „A co na to wszystko pani mąż? Co sądzi o tym, że sprzedaje pani własne myśli, własny głos, własne ramię, a bywa, że i własne ciało?”.

Więc podając filiżankę kawy, o którą prosili, lub przyjmując banknoty, które mi w końcu wręczają, uśmiecham się grzecznie do wścibskich klientów i mówię:

- Cóż, zorientowałam się, że istnieje prawdziwy popyt czy raczej prawdziwa potrzeba, tak, czasami ludzie potrzebują nieco wytchnienia, odrobiny złudzenia. W dzisiejszych czasach mówi się tylko o przepracowaniu żałoby, ale może zaistnieć konieczność wybrania innych dróg. Kiedy zauważyłam, że nie ma żadnej instytucji odpowiadającej na takie potrzeby, utworzyłam to miejsce, tę agencję, Agencję „Dla Was”. Od razu pojawili się klienci - nazywam ich czasem pacjentami, choć w gruncie rzeczy określenie „pacjenci\*” jest słowem niewłaściwym, jako że tym, którzy do mnie przychodzą, właśnie brak tej cierpliwości, niezbędnej, by czas zrobił swoje, by wyczerpał, stepił, przefiltrował ból lub tęsknotę. W okresie, kiedy zaczynałam, miałam już ambicje, ale nie miałam jeszcze środków, by zatrudnić choćby nawet bezdomnych, którzy włączyli się pod knajpami w nadziei na znalezienie jakichś resztek sandwicza lub niedopitej puszki piwa. Oszczędzałam wszystko, co zarabiałam, raz podając

**\* Autorka podaje francuskie znaczenie słowa. W polszczyźnie słowo „pacjent” wywodzi się z *tac. patiens* - cierpiący (przyp. tłum.).**

się za trzynastoletnią uciekinierkę z domu, innym razem za osiemnastoletnią amantkę w czarnym gorsecie, i gdy tylko stało się to możliwe, rozszerzyłam ofertę swoich świadczeń. Od jakichś dziesięciu lat regularnie zatrudniam dodatkowych pomocników na dniówki lub godziny, umieszczając ogłoszenie lub wybierając ich spośród różnych próżniaków, przesiadujących w okolicznych kawiarniach. Wiek jest tu bez znaczenia, nawet starzy mogą się przydać, jeśli klient szuka akurat iluzji obecności swojego zmarłego dziadka. Jedni robią to dla pieniędzy, inni - choć trudno w to uwierzyć - dla własnej przyjemności. Płacę im, żeby nie mieć żadnych zobowiązań, ale to oni sami chętnie by mi zapłacili za uczestnictwo w tej zabawie w zamianę ról - jak ją nazywają - pozwalającej im, na równi z klientem, zapomnieć o własnej samotności. Dwa lata temu stać mnie już było na zatrudnienie na pełny etat Marji do prowadzenia sekretariatu i wykonywania najprostszyc zleceń, ale nadal korzystam z pomocy różnych zagubionych dusz, by pocieszać inne zagubione dusze. Tak, mam swoją małą własną firmę i jestem z tego dumna. Co wieczór zaglądam do segregatora, w którym umieszczam zdjęcia dorywczych lub stałych pracowników oraz notuję cechy szczególne i *emploi* mojego personelu, jak ich czasami nazywam. „Personel” to dziwne słowo w kontekście tego, czym się wspólnie zajmujemy. Często klientów ciekawi, z czym do mnie przychodzą inni. Chcą wiedzieć, czy dużo jest podobnych zamówień, żeby poczuć się mniej samotnie, mniej wstydzić się tego, czego mimo całej swojej bufonady nie potrafią postrzegać inaczej niż jako słabości. Pytają o to w sposób zawoalowany, a wte-



dy ja, kładąc na stole dłoń wnętrzem do góry, jakbym chciała ująć ich ręce, by ich uspokoić i dodać otuchy - ale nie pozwalałam sobie na tego rodzaju kontakt, jeszcze nie - uśmiecham się i odpowiadam: „Ależ tak, oczywiście, nawet pan sobie nie wyobraża, jakie mnóstwo. Jesteśmy wszyscy tacy sami, jak moglibyśmy żyć jedni bez drugich, jak moglibyśmy nie potrzebować czasami czyjejs wyciągniętej ręki?”.

5

Nigdy natomiast moim wścibskim klientom nie mówię tego, że gdyby nie pani Derovitski, nie byłoby nic, ani Agencji „Dla Was”, ani mojej ciąży, ani tego, co zmuszona jestem nazwać miłością, choć być może się mylę; byłam dzieckiem, które sprzedawało wszystko, i łakocie, i własną przyjaźń, i gdybym nie była tak beznadziejna w szkole, na pewno sprzedawałabym również swoje wypracowania temu, kto da więcej. Ale dopiero od pani Derovitski otrzymałam klucz, a raczej powinnam powiedzieć: prawo do bycia tym, kim jestem dzisiaj. Czyżby odgadła, jak pojętną jestem uczennicą, czy też po prostu, jak to czasem bywa, pisane nam było się spotkać? Gdyby nie ona, być może uważałabym, że jedyną rzeczą na tym świecie dającą się spieniężyć jest seks, a nie uczucia; gdyby nie ona, być może prostytuowałabym się teraz nocami na ulicach miast.

Opowiedziałam o tym tylko raz, Marji, któregoś dnia w przystępie wielkiego znużenia, na krótko przed zajściem w ciążę i możliwe, że tylko w ramach próby udobruchania jej, rzucenia mimochodem: „Widzi pani, Marjo, sprawy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają, to, co można kupić za pieniądze, niekoniecznie musi być odrażające”. Popołudnie było męczące, zamknęłam Agencję, opuściłam żaluzje i za-

prosiłam Marję do swojego gabinetu na drinka. „Zasłużyliśmy sobie”, oświadczyłam i z barku, zwykle zarezerwowanego dla klientów, wiernego towarzysza chusteczek o zapachu bzu, wyjęłam dwa kieliszki. „Porto? - zapytałam. - Może białe wino?”. Na co odpowiedziała nieśmiało: „Wolałabym wódkę, jeśli pani ma, albo łyżeczek koniaku”. Miałam whisky, więc nalałam jej do szklanki, szybko ją opróżniła, a potem spojrzała na mnie zawstydzonym wzrokiem, a ja bez słowa znowu jej nalałam. Siedziała w fotelu odprężona, z rozchylonymi kolanami, w bluzce zbyt głęboko rozpiętej. Po raz kolejny stwierdziłam w duchu z rozczarowaniem, że jest wulgarna. Pomyślałam z niepokojem, co na to klienci, ona jednak posiadała ów szczególny dar metamorfozy, który pozwalał jej raz wcielać się w sprzątaczkę, innym razem w damę. Posiadała też coś jeszcze: umiejętność słuchania - nie mylić z inteligencją - która przeobrażała jej twarz ze spiczastym nosem i zbyt blisko osadzonymi oczami w maskę dobroci i łagodności. Tamtego wieczoru tak właśnie na mnie patrzyła i po drugim kieliszku z zaskoczeniem usłyszałam, że mówię jej o pani Derovitski. Opowiedziałam o ogłoszeniach rozwieszanych w piekarniach, w sklepach papierniczych i rzeźniczych, kiedy w wieku piętnastu lat zaczęłam pracować; opowiedziałam o długich godzinach sprzątania, prasowania, o setkach umytych okien, o tysiącach odkurzonych książek, o dziesiątkach dzieci, których twarze już nie pamiętam. Opiekowałam się starymi ludźmi, których ich własne dzieci traktowały jak niechcianych obcych, wyprawdzałam psy, które ich właściciele rozpieszczali jak książątka. Pracowałam w wytwornych hotelach i mieszkaniach tak maleńkich i zapuszczonych, że zastanawiałam się, po co

tym, którzy w nich mieszkają, sprzątaczką i skąd biorą pieniądze, żeby mi zapłacić. Pracowałam wszędzie i zawsze, kiedy mnie o to poproszono, bywałam babcią klozetową na prywatnych przyjęciach i przespałam się z mężczyzną świeżo porzuconym przez żonę, który mnie zatrudnił do spakowania wszystkich jej sukien i pantofli do toreb na śmieci i wystawienia ich na ulicę. Kiedy, złana potem, wróciłam do mieszkania po raz piąty i ostatni, mężczyzna siedział na wielkim łóżku z gołym materacem i płakał. Popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem i kiedy podeszłam, żeby odebrać pieniądze, które przygotował i położył obok, objął mnie ramieniem w pasie i łagodnie do siebie przyciągnął. „Proszę - wyszeptał - proszę”. Z taką samą łagodnością przytulił policzek do mojego brzucha, drugą ręką gładząc nogi. Wydawało mi się całkiem naturalne położenie się obok niego na materacu; byłam prawie pewna, że za to też mi zapłaci, lecz nie była to z mojej strony sprzedajność ani też współczucie, ewentualnie kombinacja jednego i drugiego. Po co wzniecać wokół tego tyle szumu, rozmyślałam, kiedy robił swoje. Szczytował, a potem podniósł się, teraz i on złany potem, obciągnął mi spódnice, odsunął z policzka kosmyk włosów, a potem w sposób równie naturalny wyjął z portfela leżącego na nocnym stoliku kilka banknotów i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Kiedy skinęłam głową, dodał je do tamtych i wręczył mi całość. „Dziękuję ci, Delphine - powiedział - nie poradziłbym sobie z tym, gdyby nie ty”.

Ale wracając do pani Derovitski - to ona do mnie zadzwoniła, znalazłszy w skrzynce na listy jedno z ogłoszeń, które pisałam własnoręcznie na kartkach i roznosiłam po domach u siebie w dzielnicy: „Młoda dziewczyna, uczciwa i sumien-

na, podejmie każde zajęcie, sprzątanie, prace kuchenne, opiekę nad dziećmi" - czasem dzwoniono do mnie w sprawie pomocy w lekcjach, ale cóż miałam powiedzieć, przecież nie to, że w wieku piętnastu lat porzuciłam szkołę. Wymyślałam więc nadmiar zajęć albo nagły wyjazd z miasta, a odłożywszy słuchawkę, płakałam z głodu i wściekłości. Na zawsze zapamiętałam pewnego ucznia, ledwie dziesięciolatka, którego matka nieoczekiwanie poprosiła, żebym wieczorem powtórzyła z nim lekcje matematyki. Dzieciak długo na mnie patrzył z narastającą złośliwością w oczach i nim zdążyłam go powstrzymać, pogrozić mu lub Bóg wie co obiecać, zeskoczył z krzesła i pognał do kuchni, skąd dobiegł mnie jego zziębnięty, dyszący złośliwą uciechą głos: „Mamusi, mamusi, ta pani nie zna tabliczki mnożenia!”. Nie wiem, co odpowiedziała matka, bo złapałam torebkę i na palcach wymknęłam się z mieszkania równie szybko, jak malec, kiedy pędził do kuchni. Nie zamknęłam za sobą nawet drzwi wejściowych, żeby nie robić hałasu, i nigdy już tam nie wróciłam, żeby odebrać należne mi pieniądze, a potem nastąpiły kolejne dni głodu i wściekłości. Czasami wyobrażam sobie, że dzwonię do ich drzwi i otwiera mi dziecko - dziś już oczywiście młody mężczyzna z pryszczatą twarzą, lecz z tą samą złośliwą uciechą w spojrzeniu; wyobrażam sobie wtedy, że wręczam mu jedną z wizytówek na czerpanym papierze, które zamówiłam w zeszłym roku: „»Dla Was«, Delphine M., założycielka i prezes Agencji", wyobrażam sobie, że uśmiecham się do niego słodko i mówię: „Masz, tylko nie zgub, bo coś mi mówi, że będziesz mnie często potrzebował, że życie nie obejdzie się z tobą łaskawie". Ta myśl na kilka minut mnie uszczęśliwia,

podnosi na duchu, ale nie trwa to długo, zaraz potem czuję bezbrzeżny smutek, dokuczliwy jak ciekący kran. Nic nie wymaże tego, co się stało, pod perłowymi tipsami moje prawdziwe paznokcie są wciąż obgryzione do krwi.

Pani Derovitski zadzwoniła wieczorem, dokładnie dziesięć minut przed rozpoczęciem filmu, ja zaś od razu domyśliłam się, że równie dokładnie, z precyzją szwaczki wymierzającej długość i szerokość siatki ochronnej, obliczyła, ile czasu powinna trwać nasza rozmowa. Nie było to takie proste, bo miała już przytępiony słuch. Dystyngowanym nikłym głosem powtarzała: „Potrzebuję tylko kogoś do pomocy przy zakupach, widzi pani, w zeszłym tygodniu upadłam, poślizgnęłam się, padał deszcz, chodnik był mokry, a moja siatka za ciężka, potrzebuję tylko kogoś do pomocy przy zakupach, z resztą bardzo dobrze sobie radzę”, aż w końcu udało mi się wtrącić: „Dobrze, przyjdę do pani jutro o ósmej rano”. Tym samym nikłym, dystyngowanym głosem podała mi adres i zakończyłyśmy rozmowę dokładnie w chwili, gdy zabrzmiały pierwsze takty czołówki filmu.

Nazajutrz za pięć ósma nacisnęłam przycisk domofonu w bramie mieszczańskiej kamienicy. Usłyszałam cienki głosik pani Derovitski: „Kto tam?” i zaraz potem: „Proszę wejść, piąte piętro”. Wsiadłam do maleńkiej windy z okratowanymi ścianami. Przed lustrem przygłodziłam dłonią włosy - wtedy jeszcze miałam długie - i usunęłam nadmiar kredki pod oczami. Pani Derovitski czekała na mnie w progu. Swego czasu musiała być wysoka, lecz z wiekiem się skurczyła, włosy miała ufarbowane na kolor szary, wpadający prawie w błękit, i nad karkiem zebrane w kok. Ubierała się w rzeczy piękne, acz niemodne - dopiero w późniejszym

czasie zorientowałam się, że nosiła wyłącznie kaszmiry i futra - a na jej chudych palcach obracały się zbyt ciężkie pierścionki. Zanim wpuściła mnie do środka, przez moment mi się przyglądała, a w jej spojrzeniu wyczytałam jednocześnie satysfakcję i rozczarowanie; zrozumiałam to dużo później, kiedy zaczęła mnie przebierać, jak mówiła, zajmować się mną, choć zatrudniła mnie w odwrotnym celu, żebym to ja zajmowała się nią: nie byłam nią, ale prawie nią. Mieszkanie było wielkie, ze stiukami i ogromnymi lustrami; z zadowoleniem pomyślałam, że to nie jakaś biedna staruszka, z którą przyjdzie mi się ostro targować, tylko ktoś, kto zapłaci mi jak trzeba, aczkolwiek nigdy nie wiadomo, najbogatsi nie zawsze są najhojniejsi. Była już ubrana, miała na sobie futro o odcieniu błękitnym jak jej włosy, podniosła torbę na zakupy czekającą przy drzwiach i rzuciła: „No to w drogę, panienko, nie lubię zjawiać się na targu zbyt późno”. Grzecznie zauważyłam - jak miałam to w zwyczaju - że może powinnyśmy wpierw omówić warunki mojego angażu, ona jednak posłała mi rozbijającą smutny i wyniosły uśmiech, mówiąc: „Powie mi pani po prostu, ile chce, moja mała”. Poruszała się z trudem, oczywiście przewróciła się nie dlatego, że chodnik był mokry. I tak prawdopodobnie wyglądały, choć wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałam, najwcześniejsze początki Agencji „Dla Was”, jej wstępny zarys, bo kiedy oświadczyła: „Poradziłabym sobie sama, panienko, to wyłącznie z ostrożności, córka na to nalegała”, bez namysłu odpowiedziałam: „Ależ naturalnie, że świetnie by sobie pani poradziła” i obie udałyśmy, że nie widzimy jej ręki wsuniętej pod moje ramię.

W późniejszym czasie zorientowałam się, że jej córka wcale nie nalegała, że nie podsunęła nawet takiego pomysłu, że córka, która mieszkała setki kilometrów stąd, nigdy jej nie odwiedzała i nigdy nie dzwoniła. Kiedy poczułam, jak słabe ma nogi, pomyślałam, bardziej z rozczarowaniem niż ze smutkiem, że długo nie pociągnie, czy raczej że praca ta, w sumie łatwa i dobrze płatna, długo nie potrwa, lecz pomyliłam się. Trwała trzy lata i w ciągu tego czasu pani Derovitski nauczyła mnie wszystkiego, co dzisiaj umiem.



*Pani Derwitski*

*Targ na rue Daguerre, od ósmej do jedenastej, mielony stek, cykoria w sosie tatarskim, pół bagietki, kostka masła, litr mleka, trzy gruszki klapsy. Potem dwudziestominutowy spacer. Kupno pism i książek.*

*Czas: trzy godziny.*

*Dwieście franków.*

## 6

W tamtym czasie sprzątałam też w biurach pewnej firmy, ale tylko nocami, a ponieważ pani Derovitski potrzebowała mnie dopiero rano, bez trudu udawało mi się godzić oba zajęcia, nawet jeśli ze zmęczenia zasypiałam w autobusie. Cieszyłam się, że mimo głośów i hałasu udaje mi się zdrzemnąć, bo biura mieściły się na przedmieściu i ledwie zdążyłam wrócić do domu, już musiałam znowu wychodzić. Pani Derovitski płaciła mi tak hojnie, że mogłabym rzucić pracę sprzątaczką, lecz musiałam zgromadzić trochę pieniędzy i co wieczór lub prawie co wieczór przeliczałam wynagrodzenie, otrzymywane od pani Derovitski w gotówce, którą chowałam w puszcze pod zlewem. Nie robiłam żadnej różnicy między jednym i drugim zajęciem, nie byłam ani leniwa, ani dumna, opróżniania kubłów na śmieci nie uważałam za trudniejsze od podania ramienia staruszce.

Bardzo szybko pani Derovitski zaczęła mi się zwierzać. Być może przeczuwała, że jestem ostatnią osobą dzielącą jej życie w sposób tak bliski lub po prostu tak codzienny. O jednym tylko z dumą i uporem nigdy słowem nie wspomniała: o pogłębiającej się niezdolności do samodzielnego radzenia sobie z domowymi pracami; ale rozumiałam to milczenie, tę niemal zwierzęcą wolę przeżycia, i gdy któ-

regoś dnia zauważyłam na jej policzku siniec, ślad po pechowym upadku, nic nie powiedziałam, tylko pod pretekstem, że zabrakło mi tamponów, poszłam do apteki, kupiłam tubkę maści z arniki i po powrocie położyłam ją bez słowa na półeczce nad umywalką. Ale o różnych innych sprawach mówiła mi dużo i wkrótce wiedziałam o niej, jak przypuszczam, więcej niż ktokolwiek inny, niż jej mąż, przyjaciele, a już na pewno jej córka. Oprócz mojej obecności, jej życie wypełniało jedno: powieści miłosne, a zwłaszcza, jak przyznawała z uśmiechem, szmirowate powieści miłosne. Mówiła, że zasmakowała w nich po przeczytaniu harlequina, cienkiej książeczki, którą jedna z jej służących zostawiła w swoim pokoiku pod łóżkiem; ze zwykłej ciekawości zajrzała do środka, przypuszczając, że zaraz go wyrzuci razem z zostawionymi na umywalce zużytymi wacikami oraz zwiniętą w kłębek parą pończoch w szufladzie, ale minęły dwie godziny, a ona wciąż siedziała na łóżku z brudną pościelą i czytała. Zapomniała kompletnie o służącej, o konieczności posprzątania pokoju, o wywieszeniu ogłoszenia w sprawie znalezienia nowej pomocy. Z przerażeniem zorientowała się, że zrobiło się bardzo późno, i opuściła pokój, zabierając z sobą powieść, którą ukryła w bibliotece w salonie, za encyklopediami, nigdy nieczytanymi przez jej męża. Skończyła ją w dwa dni i od razu wybrała się na poszukiwanie następnej. Nie wiedziała, dokąd pójść, aż przypadkiem, spacerując, zapuściła się w ulice, których dotąd nie знаła, i zobaczyła przed księgarnią z używanymi książkami stelaż, a na tym stelażu momentalnie rozpoznała to, czego szukała - tę samą różową okładkę, te same zawijasy liter, ten

sam cienki papier brudzący palce. Z bijącym sercem kupiła ich od razu osiem czy dziewięć, za śmieszłą cenę, a sprzedawczyni włożyła je do beżowej papierowej torby, jakby to była bagietka albo funt winogron.

Do tej namiętności nie przyznałaby się nikomu, ani mężowi, ani przyjaciółkom. Domyślała się, że nie zrozumieją, nawet ona sama nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego te romanse zajmowały w jej życiu tak ważne miejsce; była kobietą wykształconą, nigdy nie czytałaby takiej szmiry, gdyby przypadkiem nie wpadła jej w ręce w pokoiku służącej. Nie, nie umiałaby powiedzieć, co jej się tak bardzo w tym ckliwym syropie podobało, nie wiedziała, czemu te historie mają moc budzenia w niej czegoś, czego istnienia nawet nie podejrzewała, czegoś w rodzaju sobowtóra, ducha kobiety prostej i namiętniej. Ja też tego nie rozumiałam, to znaczy nie rozumiałam, czemu te łzawe romansidła aż tak ją wzruszają. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim stało się dla mnie jasne, że wszystkie te opowieści o miłości, szmiry czy nie szmiry, w pewnym sensie były do siebie podobne. Sama pani Derovitski kiedyś mi to powiedziała; być może zauważyła na mojej twarzy znudzenie, bo z uśmiechem mruknęła: „Pewnie mnie uważasz za okropnie głupią, co?”. I nim zdążyłam przez grzeczność zaprzeczyć, dodała: „Przekonasz się dopiero później, Delphine, jeśli nie zjedzą cię po drodze małe świnki - było to jedno z jej ulubionych powiedzeń - że wszystkie historie, nieważne, piękne czy brzydkie, są zawsze takie same”. Po śmierci męża pani Derovitski musiała sprzedać służbówki na mansardzie, ale nadal kupowała romanse. W chwili kiedy mnie zatrudniła, miała ich w zapasie dziesięć i praw-

dopodobnie dlatego w końcu mi o nich powiedziała, że zaczynał się jej coraz bardziej pogarszać wzrok. Po wizycie na targu lubiła położyć się na kanapie, otulić kocem i słuchać, jak jej czytam. Bardzo szybko zauważyła, że czytam kiepsko i nie lepiej piszę, więc opłaciła mi wieczorowe kursy. Jakby tego było mało, za każdą godzinę kursu płaciła mi równowartość zapłaty, jaką otrzymałabym, biorąc inną robotę. „Nie chcę nawet słyszeć, że to strata czasu, Delphine, trzeba umieć czytać i pisać, to należy do twoich obowiązków, potraktuj to jak polecenie”, mówiła surowo. To właśnie dzięki pani Derovitski nauczyłam się przyzwoicie czytać i pisać, tak że możliwy stał się dalszy ciąg tej historii. Potem, w ciągu następnych tygodni, pokazała mi, jak czytać niskim i stłumionym szeptem, będącym bez wątpienia odbiciem jej wewnętrznego głosu. Z początku czytałam tylko po kilka stron, potem więcej, aż w końcu po kilka rozdziałów z rzędu. W którymś momencie otwierała oczy i mówiła z uśmiechem: „Dziękuję, Delphine, dobrze, na dzisiaj wystarczy”. Wtedy wsuwałam do książki zakładkę, bo choć sama nigdy nie mogłam spamiętać, w którym miejscu skończyłam, pani Derovitski zdawała się bardzo dobrze to wiedzieć i jeśli się pomyliłam, przerywała mi niecierpliwie, mówiąc: „Nie, Delphine, nie, ten fragment czytałaś mi już wczoraj”. W ostatnich miesiącach, pamiętam, poprosiła, żebym przeczytała jej ponownie jeden z pierwszych romansów, „ot, kaprys starej kobiety”, skomentowała z uśmiechem. Nie miałam nic przeciwko temu, bo już dawno zapomniałam, o czym jest ta książka, lecz ona najwyraźniej nie, spojrzenie

miała zamglone, dłonie leżące na kocu drżały i bywało, że głos zdążył mi ochrypnąć ze zmęczenia, nim powiedziała: „Bardzo dobrze, Delphine, dziękuję, to wystarczy”.

Więc na tym oto polegała początkowo moja praca u pani Derovitski: na użyczeniu jej ramienia, kiedy wędrowała po śliskich chodnikach miasta oraz na czytaniu jej powieści miłosnych, których istnienia w swoim życiu nikomu oprócz mnie nie wyjawiała.

7

Któregoś dnia, tuż przed feriami zimowymi, kiedy w firmie miałam bardzo dużo roboty z likwidacją pozostałości po noworocznej imprezie - usuwaniem z wykładziny rozgniecionych herbatników i śladów po kieliszkach z biurek, pani Derovitski stwierdziła:

- Za dużo pracujesz Delphine, jesteś blada i mizerna, powinnaś odpocząć i zająć się też sobą, spójrz tylko na swoje paznokcie, spójrz na swoje włosy!

Spiekłam raka. Wiedziałam, że pani Derovitski często wygląda zdrowiej ode mnie, mimo że ona miała lat osiemdziesiąt, a ja szesnaście. Miałam opryszczkę na ustach, brudne włosy i obgryzione skórki wokół paznokci, które często skubałam zębami w takim zapamiętaniu, że aż mi się na ustach pojawiała krew. Zanim zdążyłam odpowiedzieć: „Przykro mi, proszę pani, ale ostatnio mam mało czasu”, z entuzjazmem klasnęła w dłonie i, jakby dopiero teraz na to wpadła, zawołała:

- Dziś po południu przychodzi do mnie fryzjerka, mogłaby zająć się i tobą, znajdziesz kilka wolnych godzin, Delphine? Ja płacę, bardzo proszę, nie dyskutuj, to będzie ode mnie prezent pod choinkę.

- Proszę pani, naprawdę nie warto - mruknęłam.

Nagle poczułam się skrepowana, ja, która przecież nie miałam nigdy oporów przed przyjęciem czegokolwiek - przyjęłabym monetę, gdyby mi ją ktoś ofiarował na ulicy, wiem, że potrafiłabym bez oporów zebrać, gdyby mi któregoś dnia na to przyszło, choć wolę, rzecz jasna, pracować. Chodziło o co innego: kępowała mnie myśl, że ta kobieta, przyzwyczajona myć i czesać włosy pani Derovitski nawet wtedy, kiedy z pozoru nie było takiej potrzeby - zawsze były puszyste i w delikatnym odcieniu błękitnawej szarości, jedwabisty hełm, spięty nad karkiem cennym szylkretowym grzebieniem - że ta kobieta miałaby myć moje włosy, brudne i łamliwe niczym suche chwasty. Kępowało mnie to jak jakaś nieprzyzwoitość i pani Derovitski musiała to zrozumieć, bo wzięła mnie za rękę, popatrzyła na mnie z miną, której u niej jeszcze nigdy nie widziałam, i, jakby wyjawiając mi sekret, powiedziała: „Nie bój się, Delphine, wszystko będzie dobrze. Pozwolisz, że ci coś powiem? Zrób to dla mnie, proszę”.

Z kolei ja na nią spojrzałam. W jej oczach ujrzałam prośbę i rodzaj uniesienia, to prawdopodobnie w tym właśnie momencie zrozumiałam, że rzeczy nigdy nie są tak proste, jak się wydaje, i że pani Derovitski miała pewien plan, który znacznie przerastał wszystko, na co moim zdaniem było ją stać - wszystkie jej drobne, liche kłamstewka. Rozumiałam natomiast jej determinację, jej nieugiętą wolę i z ociąganiem powiedziałam: „Zgadzam się, skoro pani na tym zależy”.

Fryzjerka umyła mi włosy, zda się, nie zauważając, że są szorstkie i brudne. Przez szum wody spływającej mi po



uszech niewyraźnie słyszałam, jak rozmawia z panią Derovitski, sugerując: „Może miedziane pasemka?”. Poczułam smród amoniaku z farby i nie otwierałam oczu nawet wtedy, gdy fryzjerka pomogła mi wstać, a potem posadziła mnie na stołku przed lustrem w łazience. Słyszałam jej bliski oddech i ciachanie nożyczek wokół mojej twarzy. Podniosłam wzrok dopiero wtedy, kiedy włosy mi wyschły - w ciepłym podmuchu suszarki o mało nie usnęłam - i w ogromnym lustrze w złożonych ramach ujrzałam nieznaną dziewczynę z włosami obciętymi do wysokości ramion, gładkimi, w odcieniu rudości nie tyle ciemniejszym, ile połyskliwym. Nadal miałam opryszczkę na ustach i sińce pod oczami, ale teraz wyglądałam zupełnie inaczej, wyglądałam na osobę bogatą i bez mała szczęśliwą. W lustrze ujrzałam podchodzącą do mnie panią Derovitski - sprawiała wrażenie zadowolonej z przemiany, uśmiechała się i nieśmiało uściskawszy mi ramię, powiedziała: „Jesteś prześliczna, Delphine. Wesołych świąt”.

W styczniu straciłam pracę w biurze. Dowiedziawszy się o tym, pani Derovitski podniosła mi płacę. Obawiała się, jak przypuszczam, że będę zmuszona znaleźć inne zajęcie, które uniemożliwi mi przychodzenie każdego ranka do niej.

Codziennie zjawiałam się za pięć ósma i szłyśmy zrobić zakupy na targu na pobliskim placu. Kupowałyśmy tylko tyle, ile było potrzeba na obiad i kolację. Często w chwili, gdy już miałam się pożegnać, wsuwała mi w rękę sznycel cielęcy, owinięty w folię aluminiową, pół bagietki albo tackę truskawek, mrużąc: „Weź, proszę, Delphine, w przeciwnym razie będę to musiała wyrzucić”, i faktycznie, zdarzało mi się w koszu na śmieci znajdować resztki

jedzenia, nieudolnie ukryte pod prospektami reklamowymi. Czasami, kiedy przemierzałyśmy alejki targu, odwlekając, zwłaszcza jeśli była ładna pogoda, chwilę zakupu kawałka brie lub świeżego masła, czym zawsze kończyłyśmy naszą wyprawę, w duchu mówiłam sobie: „Wystarczyłoby chodzić na targ co dwa dni, a nawet co trzy, tak niewiele przecież je. No i te pieniądze, które wydaje tylko po to, żeby zrobić rundkę po targu z trzema produktami w torbie”, ale oczywiście nie mówiłam jej tego, bałam się, że sama na to wpadnie i oświadczy mi: „Myślę, Delphine, że wystarczy, jeśli od tej pory będziesz przychodziła trzy albo nawet dwa razy w tygodniu”. Lecz nigdy tego nie zrobiła.

Muszę też wspomnieć o ubraniach. W styczniu czy może w lutym, po którymś z rzadkich tej zimy opadów śniegu, widząc, jak w moim starym płaszczu szczękam zębami z zimna, zapytała: - Czy zgodziłabyś się przyjąć jedno z moich starych futer, Delphine? To znaczy, tylko tak mówię, że stare, bo prawie go nie nosiłam. Będzie ci w nim dobrze, zwłaszcza przy tym nowym kolorze włosów.

Było to płowe futro, trochę na mnie za duże i woniejące naftaliną, ale oczywiście zgodziłam się, nigdy nie miałam okrycia tej wartości, przede wszystkim jednak pani Derovitski miała w oczach podobną prośbę, tak jakby chodziło jej nie tylko o to, żeby mi było cieplej, ale o coś znacznie bardziej egoistycznego, dotyczącego tylko jej samej. Podarowała mi też szal, potem botki i pierścionek, pozłacany pierścionek z półszlachetnym kamieniem, ot, zwykła błyskotka, zapewniła, tak jakby przestraszyła się nagle, że

obudzi moją podejrzliwość, jakby wahała się jeszcze, czy doprowadzi do końca swój plan.

Któregoś piątkowego ranka powitała mnie chłodno. W czasie zakupów czułam, że jest czymś zaabsorbowana i przestraszyłam się, że to być może już koniec tych kilku miesięcy pracy.

Pomyślałam: „Mam nadzieję, że nie każe mi zwrócić płaszcza albo botków”, ale stało się coś zupełnie odwrotnego, ponieważ w momencie, gdy byłam już gotowa do wyjścia, zapytała szybko: - Czy będziesz jutro po południu wolna, Delphine? Mam pewne spotkanie i chciałabym, żebyś mi towarzyszyła, o ile to, naturalnie, możliwe.

Nie zastanawiając się nawet, o co chodzi, powiedziałam, że tak.

- Nie przychodź rano, nie ma potrzeby, raczej odpocznij sobie - dodała i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnęła.

Mogłabym utrzymywać, że nie wiedziałam, co mnie czeka, lecz gdyby tak faktycznie było, to czy przygotowałabym się tak starannie, czy włożyłabym futrzany płaszcz, choć pogoda tego dnia była zwodniczo wiosenna, czy włożyłabym botki, pierścionek i apaszkę, którą kupiłam sobie na Gwiazdkę, czy czułabym taki ucisk w gardle i lęk, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam, nawet kiedy tamten mężczyzna posiadł mnie na materacu, szukając pociechy po odejściu żony?

Otworzywszy drzwi, pani Derovitski obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i z jej miny odgadłam, że się nie pomyliłam, że słusznie zrobiłam, związując włosy i drapując wokół szyi apaszkę z tą wystudiowaną nonszalancją, jaką często widywałam u niej. Była już prawie gotowa,

pozostało jej tylko włożyć futro, w którym jej jeszcze nie widziałam, w bardzo podobnym odcieniu jak moje. Przyglądając się nam obu w lustrze w windzie, pomyślałam, że wyglądamy, jakbyśmy należały do tego samego gatunku, dwie przyciśnięte do siebie wydry, dwie kuny leśne, dwie złociste norki - nigdy nie zastanawiałam się, co to było za futro - duża i mała. Czekałam na autobus, kilka razy spojrzałam na zegarek, więc zapytałam, o której godzinie jest to spotkanie, na co krótko odpowiedziała: „O trzeciej”. Kiedy autobus nadjechał, z westchnieniem zajęła miejsce, ja zaś stanęłam obok niej. Czułam skierowane na nas spojrzenia pasażerów: byłyśmy bardzo wystrojone, pani Derovitski, mocno uperfumowana, jedną ręką podtrzymywała postawiony kołnierz futra, zasłaniający jej twarz, widać było tylko jej oczy, a i tak prawie przez całą podróż miała je zamknięte. Po kwadransie jazdy wysiadłyśmy w dzielnicy jeszcze bardziej mieszczańskiej niż ta, w której sama mieszkała. Znowu spojrzała na zegarek, jakby się odprężyła i mruknęła: „W porządku, zdążyłyśmy”.

Przeszłyśmy kilkadziesiąt metrów pod nagimi platanami i weszłyśmy do kamienicy, gdzie powitał nas portier. W windzie pani Derovitski popatrzyła na mnie z błagalną miną; w milczeniu wytrzymałam jej wzrok, ale myślę, że już wtedy mogłabym ją ująć za rękę i szepnąć: „Proszę się nie bać, wszystko będzie dobrze”.

Kiedy znalazłyśmy się na trzecim piętrze, drzwi otworzyły się, zanim zdążyłam zapukać. Jakaś starsza pani podeszła, by ucałować panią Derovitski, a potem odwróciwszy się w moją stronę, objęła mnie i bez cienia wahania równie gorąco ucałowała, wołając:

- Wchodźcie, wchodźcie, tak się cieszę, że was widzę, podaj mi swoje futerko, i ty, Paulino, też, od tak dawna chciałam poznać córkę Rozy, kiedy przyjechałaś? Czy długo zostaniesz?

Pani Derovitski była bardzo blada. Zsuwając futro na rękę gospodyni w taki sposób, jakby zrzucała własną powłokę cielesną, powiedziała ściszym głosem:

- Ależ moja droga, daj jej odetchnąć, ogłuszasz to dziecko swoimi pytaniami.

W salonie wokół zastawionego piękną porcelaną stołu siedziało pięć starszych pań, dwie z nich przyszły z córkami, które obrzuciły mnie nieufnym spojrzeniem. Być może domyśliły się, że nie jestem, że nie mogę być córką pani Derovitski z racji mojego wieku, a jeszcze bardziej z racji pozorów li tylko wytworności, nawet najbardziej naiwny obserwator by to dostrzegł, nawet jeśli w obcowaniu z panią Derovitski sporo się nauczyłam - trzymania sztuców, rozmawiania, uśmiechania się. Usiadłam obok niej i, dziwna rzecz, ale w ciągu następnych godzin najtrudniejsze dla mnie było to, żeby jej nie obsługiwać, jak byłam przyzwyczajona, nie nalewać jej herbaty i śmietanki, nie podawać półmiska z ciastem, kiedy tylko skończyła jeść brioszkę; nie obsługiwać jej jak służąca, którą byłam, bo w rzeczywistości nie byłam nikim innym. Odpowiadałam na ich pytania najlepiej, jak potrafiłam, nie, nie zatrzymałam się u matki, żeby jej nie przeszkadzać, wzięłam pokój w małym hoteliku niedaleko, w hotelu Colette, jak szybko uściśliła. Nie wiedziałam jeszcze, jak długo zostanę, niewykluczone, że osiadę tu na dobre, tego nie wiedziałam, spojrzałam pytająco na panią Derovitski, która, śpiesząc mi z pomocą,

wyjaśniła: „To zależy od jej męża, jest taki zapracowany...”. I w ten sposób upłynęły trzy godziny. Wypiłam herbatę, zjadłam brioszkę, po jakimś czasie starsze panie znudziły się wypytywaniem mnie i wróciły do pogaduszek między sobą. Rozmawiały nawet po polsku i jedna z nich musiała zadać mi jakieś pytanie, bo wszystkie na mnie patrzyły, ale pani Derovitski parsknęła śmiechem i powiedziała: „Nie uwierzycie, ale zapomniała już ojczystego języka”.

Było ciemno, kiedy wyszłyśmy. Ucałowałam stare kobiety i, już w progu, gospodyni do mnie szepnęła: „Cieszę się, że wróciłaś, wyglądasz na taką szczęśliwą”.

W windzie, w bladym świetle żarówki, zachowałyśmy milczenie. Pani Derovitski poczekała, aż miniemy hall i znajdziemy się w mroku ulicy, a wtedy pośpiesznie wyrzuciła z siebie:

- Wybacz mi, Delphine. Powinna była zapytać cię o pozwolenie, lecz nie miałam odwagi. Tak bardzo się bałam, że odmówisz...

- Och, nie, proszę pani, zgodziłabym się. Ale byłoby mi łatwiej, gdyby pani powiedziała. Powinna mi była pani powiedzieć, co mam im mówić.

- Ach, jeśli o to chodzi, bez obaw. Byłaś znakomita - odpowiedziała i z jej głosu odgadłam, że nareszcie się uśmiechnęła.

I tak przez dwa następne lata byłam Pauliną. Zmieniłyśmy sklepy, nie chodziłyśmy już na dawny targ, tylko na inny, w sąsiedniej dzielnicy, i wszędzie byłam Pauliną, byłam Pauliną w butikach i Pauliną u przyjaciółek pani Derovitski, do których mnie coraz częściej zabierała. Jesz-

cze nigdy tyle nie zarabiałam, szybko powiększała się również moja garderoba, bo nieustannie obdarowywała mnie ubraniami, w równym stopniu po to, by mnie uwiarygodnić, jak po to, by sprawić mi przyjemność lub kupić moje milczenie; zapewne wiedziała, że mogłabym wyłudzić od niej wszystkie pieniądze, grożąc wydaniem jej sekretu, ale nie miała wyboru, musiała mi zaufać.

- Oto historia pani Derovitski - zakończyłam swoją opowieść tamtego wieczoru - tak to się zaczęło, wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że jest wiele osób smutnych i samotnych, gotowych zapłacić, byle kogoś mieć przy sobie, nieważne kogo, córkę, matkę, kochankę.

Nie opowiedziałam jej dalszego ciągu, który jest wyłącznie moją sprawą. Po raz ostatni widziałam panią Derovitski któregoś dnia w grudniu. Nazajutrz na próżno dzwoniłam i pukałam do drzwi, i kiedy w końcu weszłam, bo miałam przy sobie klucze, które kiedyś mi dała, zastałam mieszkanie puste i milczące, tylko pośrodku salonu leżał przewrócony fotel. Byłam tam ledwie od minuty, głowiąc się, gdzie też może być pani Derovitski, która nigdy bez mnie nie wychodziła, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyłam w niemądrej nadziei, że to ona - ale w takim razie dlaczego nie użyła klucza - lecz była to tylko dozorczyńni, drobna kobieta o spiczastej twarzy, spiczasta od stóp do głów, „wypchana czapla”, szepnęłam kiedyś do pani Derovitski, która się roześmiała. Dozorczyńni miała zasznurowane usta i przyglądała mi się podejrzliwie, mimo że sto razy mijałyśmy się na schodach.

- Widziałam, jak pani przechodziła obok stróżówki - oświadczyła i umilkła.

- Wie pani może, gdzie się podziała pani Derovitski? Tu jej nie ma, nigdzie jej nie ma - powiedziałam i wskazałam wyglądający jak tron obalonej królowej przewrócony fotel, w którym nie było pani Derovitski.

- Dziś w nocy pani Derovitski miała atak - odparła dozorczyńni wyważonym głosem. - Udało jej się doczołgać do drzwi i wezwać pomoc, sąsiad mnie powiadomił i zadzwoniłam po strażaków. Jest w szpitalu. Nie wiadomo, czy przeżyje. W każdym razie powiedzieli, że na pewno pozostanie sparaliżowana i nie jest nawet pewne, czy odzyska rozum - mówiąc to, popukała się palcem w skroń.

- W którym jest szpitalu? - zapytałam, a wtedy ona z uśmiechem założyła ręce.

- No cóż, to dziwne, że mnie pani o to pyta, panienko Paulino - to przecież pani imię, prawda? - bo dziś rano do pani dzwoniłam, żeby to powiedzieć. Kiedyś pani Derovitski dała mi pani telefon, na wypadek gdyby jej się coś przytrafiło. Nie pamięta pani, że dzwoniłam? Powiedziała mi pani, że i tak pani matka już nie wróci do domu, że już dawno temu powinna się wynieść do domu starców.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Widziałam, jak na twarzy dozorczyńni wykwita i rozlewa się rodzaj triumfu, cnotliwego oburzenia, jakby z góry napawała się zwycięstwem prawdy, uczciwości człowieka pracy; wytrzymałam jej spojrzenie, ale już wiedziałam, że nie zdołam podjąć walki.

- Mówiła mi też pani, że nie będzie mogła przyjechać wcześniej niż jutro albo nawet dopiero w najbliższy weekend - ciągnęła. - Ale jak widzę, zjawiała się pani wcześniej, to dobrze, tylko dziwi mnie, dlaczego nie pojechała pani prosto do szpitala.



Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam jej przed nosem drzwi. Całe szczęście, że została na progu, pomyślałam, całe szczęście, że nie weszła, ale po krótkiej chwili pełnego niedowierzania milczenia załomotała w drzwi, ileż hałasu potrafi zrobić taka mała pięść, i wrzasnęła:

- Uprzedzam, że zaraz wezwę policję! Nie wiem, kim pani jest, ale zaraz wezwę policję!

Powtórzyła to ze dwa albo trzy razy, a potem usłyszałam stukot jej obcasów na schodach i cofnęłam się spod drzwi. Pomyślałam, że mam tylko dwie lub trzy minuty i rozejrzałam się po mieszkaniu, jakby wciąż jeszcze istniała możliwość, że pani Derovitski wyłoni się z łazienki w obłoku woni ryżowego pudru. Podniosłam fotel, odstawiłam go na jego miejsce przy niskim stoliku i ruszyłam do sypialni. Nieczęsto do niej wchodziłam i wydało mi się, że po raz pierwszy widzę ogromne łoże z ciemnego litego drewna, podobnie jak resztę mebli. Na ścianie wisiał niewielki krzyż z zaśnieżonej cyny. Z uśmiechem pomyślałam: „Cóż za dziwny pomysł, pani Derovitski, jeśli pani w coś wierzyła, to na pewno nie w Boga” i zrobiło mi się żal, że nie zdążę już poszukać i zabrać z sobą jej ckliwych romansów. Wiedziałam, że nie chciałyby, żeby znalazły je inni, ukryte za encyklopediami.

Pościel i narzuta były skotłowane i zrzucone na ziemię, jakby doszło tu do bójki; wyobraziłam sobie panią Derovit-ski, jak walczy ze śmiercią, jak udaje jej się uciec i dowlec do drzwi i zawołać tym swoim słabym głosem, którego z pewnością sama nie słyszała, bo była już kompletnie głucha: „Na pomoc! Ratunku!”. Pomyślałam, że nigdy już tu nie wróci, nawet jeśli odzyska rozum, nawet jeśli zażąda

swojego pięknego mieszkania i swoich wschodnich dywanów, mimo to w wielkim pośpiechu zasłałam łóżko, wygładziłam oba prześcieradła, dolne i wierzchnie, żeby usunąć wszelkie ślady walki, przykryłam je narzutą, poklepałam poduszkę. „Ot co, ostatniej nocy spała pani dobrze, to był tylko zły sen”, powiedziałam półgłosem. Była to ostatnia rzecz, ostatnia iluzja, jaką mogłam ofiarować pani Derovitski, nawet jeśli wiedziałam, że nigdy tego nie zobaczy.

Nie potrafiłam oddzielić swojego smutku od lęku, jaki wzbudzała we mnie utrata pracy. „Co ja teraz zrobię - zachodziłam w głowę - wrócę do sprzątanania biur, będę sprzedawała buty albo podawała kawę?” - i długo się nie zastanawiając, wrzuciłam do kieszeni złote bransoletki i pierścionki leżące na nocnym stoliku.

„Rozumie pani, pani Derovitski, to tylko dlatego, żeby zyskać na czasie i zobaczyć co dalej”, powiedziałam głośno tonem usprawiedliwienia. A potem wyszłam z sypialni, położyłam klucze na stole w salonie i opuściłam mieszkanie.

Pani Derovitski żyła jeszcze niecały rok, w szpitalu, a potem w domu starców. Nie jestem złodziejką i nie zabrałabym pierścionków, gdybym wiedziała, że już dawno temu podjęła kroki, by zapisać mi znaczną sumę pieniędzy, sumę, jakiej posiadania nigdy nawet sobie nie wyobrażałam. Dopiero kilka miesięcy później zadzwonił do mnie notariusz, mówiąc, żebym wpadła do jego kancelarii. Nie wiedziałam nawet, że pani Derovitski umarła, nie próbowałam skontaktować się ani z jej przyjaciółkami, ani z jej córką, ani z do-zorczynią, by uniknąć konieczności tłumaczenia się, kim była fałszywa Paulina, oraz różnych innych kłopotów, i dopiero tam, w kancelarii tego mężczyzny w ciemnym garnitu-

rze, obserwującego, jak czytam list zostawiony przez panią Denwitski, poczułam, że naprawdę się z nią żegnam. Dziękowała mi, pisała, że zawsze była zadowolona z moich usług, a także że mnie bardzo lubiła. Złożyłam list i wsunęłam go do torebki wraz z czekiem, który wręczył mi notariusz. Nie wiem, co na mój temat słyszał, wyraźnie jednak widziałam, że uważa mnie za bezwstydną naciągaczkę, intrygantkę, która wykorzystwała smutek starej kobiety, by zdobyć jej przywiązanie i zapewnić sobie komfortowe życie. Na pożegnanie nie podał mi ręki, lecz się tym nie przejęłam. Zresztą, nie znając żadnego innego notariusza, zwróciłam się do niego, kiedy nabywałam pięciopokojowy apartament na parterze, gdzie mieszcza się razem i moje biuro, i mieszkanie; mieszkam w nim już od piętnastu lat. On także zajmuje się obsługą umów dla Agencji. Płacę mu pięć procent od obrotu i czasami miałabym chęć mu powiedzieć: „I widzi pan, równie dobrze mógł mi pan wtedy podać rękę”.

Miałam szczęście: apartament sprzedawano z umeblowaniem. Nie pytałam dlaczego, było mi obojętne, czy właściciel umarł, czy może urządzenie i meble kojarzyły mu się z tak przykrymi wspomnieniami, że wolał je zostawić. Odziedziczyłam wszystko, łóżko, naczynia i fotele, została nawet lampa z abażurem w salonie i karton pasteryzowanego mleka w lodówce. Co do reszty, nic nie zmieniłam, wyprałam jedynie zasłony i pościel, ale na potrzeby Agencji musiałam kupić stoły, krzesła i sprzęty biurowe. Przejrzałam pisma i wybrałam gotowy zestaw, wyciszona atmosfera, poduszki na krzesłach, dźwięczny dzwonek u drzwi, ciemna i dyskretna wycieraczka, na której kursywą napisano „*Witaj*”.

I tak się to wszystko zaczęło. Byłam wnuczką obcej kobiety, potem siostrą, kochanką, przyjaciółką setek innych, a dzisiaj noszę w brzuchu dziecko, którego nie jestem prawdziwą matką. Ta Agencja to wielki worek, w którym można znaleźć wszystko, puszka Pandory, by użyć określenia jednego z klientów, i faktycznie handlowaliśmy wszystkim, życiem, miłością, śmiercią.

Jedno muszę powiedzieć: sądziłam, że wszystko jest pod kluczem, nienaruszalne, uważałam się za stworzoną z innego budulca, z innego ciała. Nigdy nie kochałam, to znaczy nie kochałam tak, jak kochają klienci, którzy do mnie przychodzą. Znałam różnych mężczyzn, lecz żaden się nie liczył. Możliwe, że właśnie widok łez i gniewu moich klientów zniechęcił mnie do wszelkiej namiętności, możliwe też, że po prostu, jak mi to kiedyś w chwili gniewu wykrzyczała Marja, mam zbyt oschłe serce.

Byłam zarozumiała lub naiwna. Nigdy nie przypuszczałam, że któregoś dnia sama stanę się równie bezbronna jak kobiety, które przychodzą tu, by ocierać łzy fiołkowymi chusteczkami, a zwłaszcza nigdy nie przypuszczałam, że skończę jako swoja własna klientka - niczym sklepikarz zanurzający dłoń w słoju z cukierkami lub diler narkotykowy wkłuwający sobie igłę w żyłę, by skosztować rajów, którymi handluje. Pani Derovitski, która lubiła przysłowia, powiedziałaaby zapewne: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”.

*Pani Deroński*

*Zapis testamentowy w podzięcie za różnego rodzaju usługi: 685  
000 franków.*

Chciałabym móc powiedzieć, że tknęło mnie przeczucie, że obudziłam się z mglistym wspomnieniem jakiegoś dawnego snu albo lęku, że musiałam popędzić do toalety i zwymiotować, że upadłam i rozciąłam sobie czoło o kant stołu, ale nic takiego się nie zdarzyło. Moje ciało było tą samą uległą szufladą, którą z niego zrobiłam, chciało mi się jeść, a na dworze jak na wiosenny poranek było chłodno. Podnosząc żaluzje w sypialni, zobaczyłam na jednym z prętów kraty za oknem sznurek, zwykły niebieski sznurek, zawiązany na podwójny węzeł i pętlę, ale nie było w tym nic niezwykłego. Złapałam za jeden z końców i pociągnęłam, żeby go rozwiązać; nie był długi, miał jakieś dwadzieścia centymetrów i przytrzymał owinięty wokół pręta kawałek papieru. Papier spadł mi do otwartej dłoni, a kiedy go rozłożyłam, ujrzałam nagryzmołone niewprawną ręką słowo **CZŁOWIEK**.  
Znak, że był tu Yarol.

Yarol zaglądał do Agencji raz czy dwa razy w tygodniu, kiedy udało mu się wymknąć spod kontroli matki. Przywiązywał wtedy zawsze do kraty za oknem kolorową wstążką jedno lub dwa słowa skreślone na kratkowanym papierze, **ŻEBRAK, MYŚLI, BÓG**. Któregoś dnia powiedział, że owe słowa, poskładane razem, pozwolą mi się dostać na

jego stronę internetową, do domu, jak ją nazywał. Nie śpieszyło mi się, wiedziałam, że pewnie nigdy go w nim nie odwiedzę, nie miałam czasu i, prawdę mówiąc, uważałam to za nudziarstwo. Domyślałam się, że dobór tych słów był nieprzypadkowy, nie wiedziałam jednak, co chce nimi wyrazić ani czy w ogóle próbuje cokolwiek wyrazić. Był dyslektykiem, lekka forma dysleksji, wyjaśniła jego matka, niewiele było słów, które potrafił poprawnie zapisać, i być może te właśnie wybierał. Tak czy inaczej nigdy go nie zapytałam: „Co one znaczą, Yarol?”. Przyjmowałam je tak, jak przyjmuje się kamyk czy liść ofiarowany przez dziecko, i wsuwałam pod szklany przycisk do papierów, żeby ich nie zgubić.

Nie wiem, w jaki sposób przedostawał się na tyły domu, bo brama była zawsze zamknięta; nie wiem też, skąd wiedział, które okno jest moje, było ich sześć, wszystkie identyczne, a Yarol nigdy u mnie, to znaczy w moim mieszkaniu, nie był. Zawsze to ja chodziłam do niego, a raczej do rezydencji, w której mieszkał ze swoją rozwiedzioną matką. Możliwe, że któregoś wieczoru udało mu się wśliznąć na podwórze za domem i dostrzegł mnie krążącą między salonem i sypialnią przy włączonym telewizorze, zawsze samą. Nie przeszkadzało mi to, nie miałam nic do ukrycia, i jeśli Yarol lub ktokolwiek inny miał ochotę mnie podglądać, mógł to robić, ile dusza zapragnie.

Był klientem od ośmiu miesięcy, a właściwie klientką była jego matka, bogata kobieta wykończona tym, co raz nazywała dziwactwami, innym razem chorobą syna. Yarol miał szesnaście, prawie siedemnaście lat, kasztanowe włosy, oczy zielone i jasne jak woda. Był zarazem genialny

i opóźniony umysłowo. Matka niedosłownie tak to ujęła, ale ja tak rozumiałam jej myśl. „Nieprzystosowany - uściśliła - bardzo szczególna forma autyzmu". Yarol został wydalony z pięciu prywatnych gimnazjów z powodu zbyt słabych wyników w nauce, teraz całymi dniami wymyślał skomplikowane gry wideo, zaludnione różnymi stworami, żyjącymi w dziwnych sceneriach, uprawiającymi niezwykle rytuały. Nie dość, że tworzył własne gry, to jeszcze pira-tował inne, przechodził od jednych do drugich, przenosił do nich swoje postaci, wprowadzał zakłócenia w innych światach. „To nielegalne - powiedziała kiedyś jego matka - są hakerami, każą się nazywać hotaku, jeśli któregoś dnia go złapią, wyląduje w więzieniu". Jednak nie to ją niepokoiło, tylko fakt, że Yarol nie miał żadnych przyjaciół, żadnego życia towarzyskiego, i na tym właśnie, zdaniem matki, polegała jego choroba.

Kiedy do mnie przyszła, by podpisać umowę i przedstawić mi syna, Yarol przez cały czas milczał jak zaklęty. I tak było przez kolejne trzy tygodnie. Siedział przy komputerze, pochłonięty swoimi grami wideo, od których moim zadaniem było go odciągnąć, albo w milczeniu chodził ze mną do muzeów, na kiermasze i do parków rozrywki, dokąd go zabierałam, bo mi za to płacono.

- Powinien wyjść z domu - mówiła jego matka. - Oprócz tych gier nic go nie interesuje. Próbowałam mu je odebrać, ale wpadł w taki szal, że musiałam ustąpić. Nie mogę nic zrobić - który chłopak w jego wieku zgodzi się wychodzić z matką? Ale pani wygląda na tyle młodo, żeby uchodzić za jego starszą siostrę lub kuzynkę. Niech się pani inaczej ubierze i zaprowadzi go do kina, pochodzi z nim na imprezy,



ma szesnaście lat, powinien spotykać się z młodzieżą, ze swoimi rówieśnikami.

Ale kiedy ciągałam Yarola po różnych fast foodach w sąsiedztwie liceów, siedział z pustym spojrzeniem, przebierając palcami po stoliku, i wyraźnie widziałam, że niepotrzebny był mu komputer, żeby duchem przebywać gdzie indziej. Upłynęły tygodnie, nim się do mnie przyzwyczaił, nim zaczął na mnie czekać u siebie w pokoju lub w ogrodzie, ze wzrokiem utkwionym nie w bramę, ale obok niej, tak jakby nie rozróżniał tego, co znajdowało się na obrzeżach jego pola widzenia.

Uśmiechał się, charakterystycznym gestem pocierał dłonią usta i kiedy mówiłam: „Chodźmy na frytki do snack-baru, Yarol, wiem, że je lubisz”, nakładał słuchawki swojego starego walkmana i szedł ze mną, nie przestając się uśmiechać.

Czasami, może dlatego, że kiedy się tak uśmiechał, stawał się piękny, zadawałam sobie pytanie, co by było, gdybym spotkała Yarola, mając szesnaście, osiemnaście lat, czy mógłby pokochać tę handlarkę z krwi i kości, którą już wtedy byłam, czy potrafiłby mnie odwieść od bycia nią, czy oboje stalibyśmy się inni? A potem odrywałam wzrok od jego zębów kształtem przypominających rząd kamyków w strumieniu, od jego bladych oczu i długich rzęs, przypominałam sobie, że mam trzydzieści pięć lat i w brzuchu noszę dziecko mężczyzny, którego nigdy nie pocałowałam, że moje życie jest już przesądzone, a jego wyryte w szarych komórkach komputera.

Któregoś dnia wyłączył walkmana i uroczyście oznajmił:

- Wie pani, Delphine, umieściłem panią w mojej nowej grze wideo. Jest pani ubrana w czerwoną sukienkę i w czerwony kapelusz. To właśnie panią wysyłam na odkrywanie

nowych światów. Jest pani moją emisariuszką. Moją zwiadowczynią. Nazwałem panią Dinelph.

Nie wiedzieć czemu, poczułam się nieswojo i żartobliwym tonem odpowiedziałam:

- Ja nie jestem postacią, Yarol. Nie jestem wirtualna - często używał tego słowa, „wirtualny”. - Nic po mnie w tej twojej grze. Na co uśmiechnął się i powiedział:

- Przecież to pani praca, Delphine, czyż nie? Włączanie się w grę innych. Przesuwanie pionków. Przemieszczanie postaci. Chce pani wiedzieć, jak nazwałem tę grę? Nazwałem ją „Yours”.

Popatrzyłam na niego, zbита z tropu. Zastanawiałam się, jak w ogóle podobny pomysł mógł mu przyjść do głowy, jak to możliwe, żeby miał tyle przemyśleń co do roli powierzonej mi przez jego matkę. Może słuchał naszych rozmów przez telefon. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko niezręcznie spytałam:

- A ty, Yarol, ty też występujesz w tej grze?

Nie odpowiedział, popatrzył na mnie tylko uważnie z tym swoim nieodgadnionym uśmiechem, a potem nacisnął klawisz Play w walkmanie i przestał się mną interesować.

Nie udało mi się wywiązać z tego, za co płaciła mi jego matka, mianowicie pomóc mu zdobyć prawdziwych przyjaciół. A przecież zabierałam go potajemnie do barów, zabierałam go na przyjęcia urodzinowe dzieci innych moich klientów. Dziewczyny spoglądały na niego - był na swój sposób urodziwy - czasem podchodziły, żeby porozmawiać, on jednak nie odpowiadał, przebierał tylko palcami po stole, aż w końcu ze wzruszeniem ramion odchodziły.

Mniej więcej raz w miesiącu jego matka wzywała mnie do swojego pachnącego skórą i woskiem do mebli gabinetu i mówiła:

- To jest nie do wytrzymania, Delphine. Nie mogę płacić przez całe życie za to, żeby ktoś go wyprowadzał z domu, musi się nauczyć samodzielności, proszę, niech pani postara się znaleźć jakiś sposób.

Odpowiadałam, że spróbuję, chociaż nie miałam pojęcia, co robić. Nie bardzo wiedziałam, kto miałby tyle cierpliwości, by czekać, aż Yarol zechce się przed nim otworzyć; nie sądziłam, by odczuwał chęć czy potrzebę dopuszczenia do siebie kogokolwiek oprócz mnie, jak już mówiłam, ale na tym polegała moja praca - wkraczać w życie ludzi, za ich zgodą lub bez niej.

Szybko umyłam zęby i ubrałam się, bo wiedziałam, że na pewno czeka na mnie na ulicy. Nie wyznaczaliśmy spotkań, ale w myśl umowy zawartej z jego matką miałam go mieć na oku zawsze, ilekroć zajdzie potrzeba, nawet gdyby dzwonił z drugiego końca miasta, żebym po niego przyjechała. Nieraz znajdowałam go w różnych parkach i ruderach, po których błąkał się od dwóch czy trzech dni, ale nigdy nie udało mi się dowiedzieć, jak tam trafił ani czego szukał. Brałam taksówkę i odwoziłam niestawiającego oporu chłopca do domu. Na powitanie matka raz go całowała, innym razem policzkowała, nic jednak nie było w stanie zmienić faktu, że Yarol był odmieńcem, o czym sama z pewnością wiedziała.

Otworzyłam drzwi oddzielające mieszkanie od biura, podniosłam żaluzje we wszystkich trzech oknach, a potem przekręciłam klucz w zamku i wyszłam. Było ciepło, ale

jezdnię zaścielaiy liśde, które Bóg wie skąd się brały, bo na ulicy nie było żadnych drzew. Yarol siedział na chodniku, ubrany w płócienne zielone szorty i pomarańczową koszulę, a jego kasztanowe włosy były tak zmierzwione, że wyglądały jak filc. Trzy razy zawołałam, zanim mnie usłyszał; może to samochody zagłuszały mój głos, a może jego stary walkman, którego słuchawek nigdy nie zdejmował z uszu, był włączony. W końcu odwrócił do mnie głowę, wstał i podszedł z obojętną miną, jakbym go zawołała tylko po to, żeby zapytać o nazwę ulicy lub pobliskiego pomnika. Podałam mu rękę - zawsze podawałam mu rękę, dbałam o zachowanie między nami oficjalnego dystansu - i powiedziałam:

- Wejdz, Yarol. Chcesz, żebym ci zrobiła kawy? Czekolady?

Zawahał się, potarł usta i po długim namyśle oświadczył:

- Kawy.

- Wejdz i usiądz w poczekalni. Zaraz ci przyniosę. I herbatniki?

- Herbatniki też - przytaknął, więc poszłam i włączyłam ekspres. Czekaając, aż zaparzy się kawa, z telefonu w kuchni zadzwoniłam do jego matki. Odebrała po ósmym sygnale, głosem zaspanym i otumanionym od leków.

- Yarol jest w Agencji - poinformowałam, na co usłyszałam jej westchnienie. - Jeśli pani sobie życzy, do południa może tu zostać, ale potem trzeba będzie po niego przyjechać. Dzisiaj nie mogę go odwiedzić, bo jestem umówiona.

Przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

- W porządku, zaraz się wyszykuje. Będę za godzinę. Dziękuję pani, Delphine.

Kiedy przyniosłam Yarolowi kawę, siedział na obitej welurem kanapie w poczekalni. Nie tknął pism leżących na niskim stoliku, zerwał tylko liść fikusa i z wielką uwagą i starannością darł go na wąskie paseczki. Postawiłam przed nim filiżankę i powiedziałam: - Niedługo odbierze cię matka, Yarol. Do jej przyjazdu posiedzisz w poczekalni, dobrze? Muszę zająć się pocztą. Teraz idę do gabinetu, ale drzwi zostawię otwarte.

Skinął głową i sięgnął po herbatnik, a potem włączył walkmana, usłyszałam dobiegającą ze słuchawek stłumioną muzykę.

Poszłam do gabinetu i zabrałam się do porządkowania poczty, trzeba było odpowiedzieć na otrzymane w poprzednich dniach listy, umówić się na spotkania. Upłynęła z górą godzina, zanim przyjechała matka Yarola. Zobaczyłam, jak parkuje przy krawężniku, jak wychodzi z samochodu i kieruje się do wejścia, ciemnowłosa kobieta o smutnych ustach, nadal piękna, zawsze z tymi samymi brylantami w kształcie kwiatowych rozetek w uszach. Pośpiesznie wstałam, żeby być w poczekalni, kiedy wejdzie, ale i tak obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu, jakby to była moja wina, że Yarol po raz kolejny wymknął się wczesnym rankiem, że zmuszona była wstać z łóżka, wsiąść do samochodu i przyjechać po syna. Z wymuszonym uśmiechem przyjęła filiżankę kawy, którą jej zaproponowałam. Nie widziałyśmy się od dobrych paru tygodni i podobnie jak inni klienci zerknęła na mój brzuch, bardzo już widoczny pod szmizjerką, od której oderwał się jeden guzik i nie zdążyłam go przyszyć. Będę musiała powiedzieć państwu Soignes, pomyślałam, żeby kupili mi ubrania ciążowe, bo w tych, które miałam, trudno już było ukryć mój stan.

Kiedy matka Yarola zorientowała się, że jestem w ciąży, zadała mi kilka pytań z tą poufałością, z jaką jedna matka może wypytywać drugą, a wobec moich wymijających odpowiedzi rozejrzała się po gabinecie w poszukiwaniu fotografii jakiegoś mężczyzny, męża, partnera, w każdym razie ojca dziecka, nie uznałam jednak za konieczne posuwanie mistyfikacji aż tak daleko, mimo nalegań państwa Soignes, którzy powtarzali: „W żadnym wypadku nie wolno dopuścić, żeby ludzie zadawali sobie pytania, Delphine, w żadnym wypadku nie wolno dopuścić, żeby ludzie się czegokolwiek domyślali”.

Nawet nie usiadła, wypła tylko kawę, posłała mi uprzejmy uśmiech i odstawiła filiżankę na biurko. Potem skinęła na syna i ruszyła do drzwi.

Yarol wstał i poszedł za nią. W progu uśmiechnęłam się i podałam mu rękę, lecz on, zamiast ją ująć, przyłożył mi palec do piersi po stronie serca. Było to ledwie muśnięcie i trwało tylko ułamek sekundy, jego matka nawet tego nie zauważyła, lecz mnie tym zaskoczył, prawdę mówiąc do tego stopnia, że aż krew mi napłynęła do twarzy; wiedziałam, że Yarol nie lubi dotykać innych ludzi.

- Dzisiaj się zaczyna, Dinelph - szepnął.

Nie wiedziałam, co próbuje mi przez to powiedzieć, ale kilka kroków dalej jego matka niecierpliwie potrząsała kluczykami i nie mogłam zapytać; zresztą jego oczy z powrotem stały się puste, zagubione w dźwiękowym łomocie dobywającym się ze słuchawek i nie udało mi się nawet napotkać jego spojrzenia.

*Yarol de Brettes /pani Cécile de Brettes*  
*Siedzenie w poczekalni. Kawa, herbatniki. Telefon do pani de*  
*Brettes. Użyczenie czasopism. Uszkodzony fikus.*  
*Czas: dwie godziny.*  
*Pięćdziesiąt euro.*

## 9

Klient z godziny jedenastej przyszedł nieco za wcześnie. We wtorki Marja zaczynała pracę późnym przedpołudniem, więc wróciłam do gabinetu, żeby zająć się z powrotem pocztą, i w tym momencie usłyszałam dzwonek przy drzwiach wejściowych. Oczekałam do punkt jedenastej i poszłam otworzyć.

Stał obok okna, obserwując przechodniów, i usłyszawszy moje kroki, szybko się odwrócił. Rysy miał kanciaste, jedną połowę twarzy bardziej nieregularną niż druga, szczękę wydatniejszą, węższe oczy, cięższe powieki, sprawiał wrażenie dwoistego i mógłby być brzydki, ale nie był. Od razu go rozpoznałam: to był mężczyzna z parku. Pomyślałam znowu o motylach, potem o fioletowych muszkach, muszkach miłości i śmierci, mimo że w pokoju nie było żadnych ruchomych cieni, ale tak było od początku ciąży, przez głowę przemykały mi różne niedorzeczne pomysły, strzępki zdań, chaotyczne słowa, tak jakby płód śnił i jego sny pływały wśród moich myśli niczym wodorosty lub ryby.

- Pani M.? - zapytał. - Dzwoniłem w zeszłym tygodniu...

- Czekałam na pana - odparłam. - Przejdźmy do gabinetu.



Kiedy usiadł, w świetle lampy od razu spostrzegłam, że nie jest taki młody, jak się wydawało. Skórę miał poszarzałą, porysowaną zmarszczkami, i być może nie więcej niż trzydzieści lat, ale był sterany życiem. „Człowiek stary duszą”, powiedziała pani Derovitski.

Z uprzejmym uśmiechem bacznie mu się przyglądałam. Byłam wyczulona na twarze klientów, gdyż uważałam, że z ich obserwacji dowiaduję się o nich równie dużo, jak z ich opowieści. Zwracałam też uwagę na ich głosy, ciche lub stanowcze, nieznoszące sprzeciwu lub błagalne. Odnotowałam w pamięci wyželowane włosy, kolczyk w uchu, szramę na prawym policzku, gdy tymczasem lewy był gładki jak u dziecka.

Wytrzymał moje spojrzenie, po czym nie pytając o pozwolenie, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i jednego zapalił.

Podsunęłam mu popielniczkę. Nigdy dotąd nie widziałam równie mrocznych oczu, twarzy do tego stopnia oscylującej między młodzięczością i znużeniem, a także naznaczonej pewną przebiegłością, odartym z wszelkich złudzeń cwaniactwem. Od tego momentu powinnam zacząć mieć się przed nim na baczności. Jeśli tak się nie stało, to dlatego, że znałam tego człowieka; był mi jeszcze obcy, ale w pewien sposób już go znałam i pewnie dlatego zapomniałam o ostrożności.

Przez telefon przedstawił się jako Jones. Jak wszystkich klientów, zapytałam, w jakiej sprawie dzwoni, na co odpowiedział, że otrzymał w spadku rodzaj książki, plik sporządzonych odręcznie kartek i chciałby zlecić przepisanie ich na komputerze oraz oprawienie, tak jak prawdziwej książki, tak to ujął, dodając: „Ale powiem więcej, kiedy się zobaczymy, myślę, że od razu pani zrozumie, w czym

rzecz". Zapytałam również, w jaki sposób się dowiedział o naszej Agencji, odpowiedział wymijająco, że poleciła mu ją jedna ze znajomych, chwając szeroki wachlarz naszych usług, jak również dyskrecję.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytałam. - Przez telefon wspomniał pan o jakimś tekście do przepisania. Czy może pan powiedzieć dokładniej, o co chodzi?

Przez chwilę siedział w milczeniu, paląc papierosa, a potem, w chwili gdy zwykle klienci tracą pewność siebie, kiedy wyjawiają swoje sekrety z przygnębieniem, które ich oszpeca, uśmiechnął się. Jego twarz uległa jakby ujednoliceniu, obie jej połowy upodobniły się do siebie, byłam pod wrażeniem uroku, jaki z niej emanował.

- Jak już wspominałem, są to zeszyty - powiedział. - Jest ich pięć, ułożonych w porządku chronologicznym. Są listem, świadectwem, nieważne. Liczą dokładnie dwieście trzydzieści siedem stron. Ktoś własnoręcznie je zapisał. Dla mnie. Ktoś, kto mnie bardzo kochał.

Z papierosem tkwiącym w kąciku ust patrzył na mnie, a ja spuściłam wzrok. Nagle wargi mi zlodowaciały, dziwne uczucie, przesunęłam po nich językiem, ale były suche, mimo to miałam wrażenie, że ktoś przejechał po nich kostką lodu jak po ustach chorego, któremu nie wolno pić. Domyśliłam się, kim jest ten mężczyzna. O historii, do której nawiązywał, zaczynałam dopiero zapominać, dzień w dzień musiałam na siłę przeganiać ją z głowy niczym chore zwierzę kulące się w mrocznych zakamarkach pamięci, by hodować w nich swoją chorobę, wciąż musiałam tupać nogą i odganiać je: „won, wynoś się, idź gdzie indziej umierać, a przede wszystkim umrzyj!”. Serce waliło mi jak

młotem. Bez większego przekonania próbowałam sobie wmówić, że chodzi o inne zeszyty, o inną historię, o jakąś kobietę, matkę, ojca, o rodzaj rodzinnego testamentu, nieszkodliwego, bez znaczenia, sporządzonego w jak najzacniejszych zamiarach. Dym z jego papierosa przyprawiał mnie o ból głowy. Wstałam, żeby uchylić okno, a wracając do biurka, mimo chłodnego deszczowego powietrza, poczułam woń jego potu i brylantyny. Musiał się zorientować, że dym mi przeszkadza, ale nie zaproponował, że zgasi papierosa.

- Chciałbym, żeby to, co jest w tych zeszytach, zostało przepisane, w pięknej oprawie i z nazwiskiem autora - oświadczył. - Jak prawdziwa książka. W jednym egzemplarzu. Dla mnie.

- Czy nie powinien pan zwrócić się z tym raczej do jakiegoś biura? - zapytałam. - Są przecież placówki specjalizujące się w tego typu rzeczach.

Potrząsnął głową, spojrzął na papierosa, który był już niedopałkiem, i w końcu go zgasił.

- Nie chcę, żeby patrzyły na to cudze oczy - odpowiedział. - A już na pewno nie oczy jakiejś sekretarki. To rodzaj miłego listu, jak już pani mówiłam, miejscami bardzo, jak by to powiedzieć, bardzo pikantnego. Bardzo osobistego. Nie chcę, żeby zajmowała się tym jakaś urzędniczka.

Przerwał, ponieważ głos mu się nagle załamał. Odkaszał, po czym podjął:

- I, żeby być do końca szczerym, mam też inny powód, by zwrócić się z tym do pani. Mężczyzna - bo to mężczyzna, jak się już pani zapewne zorientowała - który to napisał, był

chory. Umierający. Gdzieś jego pismo jest nieczytelne. Na niektórych stronach brakuje słów albo tekst nie ma sensu, tak jakby go pisał w półśnie lub majacząc. To skutek choroby, może leków. Kiedy usłyszałem o pani Agencji, o pani specjalnej, że tak powiem, ofercie, pomyślałem, że będzie pani potrafiła uzupełnić to, czego brakuje. Że zdoła to pani w pewien sposób odgadnąć, wyobrazić sobie. Uzupełnić luki. Takiej właśnie osoby potrzebuję, a nie kogoś, kto po prostu przepisałby te zeszyty mechanicznie. Rozumie pani?

Mówił o Adornie. Mówił o Adornie, co do tego nie mogłam mieć już żadnych wątpliwości i w tym samym momencie gorzko pożałowałam, że nie zniszczyłam tych zeszytów, jak zamierzałam, pożałowałam tej chwili słabości, która kazała mi porzucić je w szufladzie, innym pozostawiając trud ich zniszczenia.

- Nie sądzę, by to, o co mnie pan prosi, było możliwe  
- powiedziałam. - Chciałby pan, żebym wymyśliła życie przyjaciela, o którym pan mówi, ale jest to niewykonalne. Nie jestem pisarką, nie jestem jasnowidzem. A co do usług oferowanych przez nas klientom, osoba, o której pan wspomniał, myliła się. To, co tu robimy, jest banalne, bardzo banalne.

- Czyżby? Nie sądzę - zaoponował z lekką ironią. - Jest pani zbyt skromna.

- Zajmujemy się osobami starszymi lub chorymi  
- ciągnęłam z uporem. - Zajmujemy się dziećmi lub zwierzętami domowymi. Czasami są to sprawy nieco bardziej skomplikowane, jak w przypadkach, dajmy na to, rozwodu bądź żałoby. Ale to wszystko. Nie jesteśmy magikami.  
Spojrzałam na zegarek i odsunęłam fotel.

- Wybacz pan, mam następne spotkanie - powiedziałam. - Przykro mi, panie Jones, nie możemy podjąć się tej sprawy. Ale on nadal siedział. Założył nogę na nogę, uniósł dłoń i podrapał się po policzku.

- Nie jest pani ani pisarką, ani jasnowidzem, ani magikiem - ciągnął z niezmaconym spokojem - lecz gdyby znała pani człowieka będącego autorem tych zeszytów, gdyby pani spędziła długie miesiące u jego boku, gdyby pomagała mu je pani pisać, ułatwiłoby to pani uzupełnienie brakujących fragmentów, prawda?

Nie zostawiając mi czasu na odpowiedź - o ile byłabym jeszcze w stanie odpowiedzieć, bo im bardziej zbliżał się do prawdy, tym bardziej traciłam grunt pod nogami - sięgnął do torby, wyjął obwiązane szeroką taśmą elastyczną zeszyty i położył je na biurku. Musiały być często wertowane, strony były pozaginane, pociemniałe, okładki w niektórych miejscach chropowate, jakby ktoś, wycierając je gumką, uszkodził strukturę papieru.

Natychmiast je rozpoznałam.

- Myślę, że są pani znajome - wyraził przypuszczenie. Przysunął się bliżej, oparł łokcie o blat biurka i popatrzył mi uważnie w twarz. Był tak blisko, że poczułam dym w jego oddechu i tanie perfumy, cierpkie i cytrynowe. W tym momencie zadźwięczał dzwonek przy drzwiach, a potem usłyszałam dwa dyskretne stuknięcia w ścianę, którymi Marja dawała mi znać, że już jest. Musiał je usłyszeć również Jones, bo wyprostował się na krześle.

- Mam do czynienia z setkami klientów rocznie - od- powiedziałam słabym głosem. - Jak miałabym ich wszystkich spamiętać?

Parsknął krótkim śmiechem i lekceważąco wzruszył ramionami. Nie wierzył mi, ja zaś miałam sobie za złe ten unik, to, że nie potrafiłam skłamać z większym tupetem, że nie miałam odwagi mu się przeciwstawić.

- W takim razie pomogę pani - odpalił. - Mężczyzna będący autorem tych zeszytów nazywał się Adorno. Umarł rok temu. Znała go pani. Pracowała pani dla niego.

„W jaki sposób zdołał odnaleźć Agencję?“, pomyślałam w przyływie nagłej paniki. Adorno przyrzekł, że zniszczy wszystkie wiążące go ze mną ślady, bez czego, rzecz jasna, nigdy nie zgodziłabym się zrobić tego, co zrobiłam. Zaciśnięwszy usta, odwzajemniłam spojrzenie Jonesa.

I wówczas rozpoznałam jego twarz, nie we wspomnieniu mężczyzny spotkanego w parku, ale ze starego zdjęcia, które pokazał mi kiedyś Adorno. Nie wiem, dlaczego zidentyfikowanie go zajęło mi aż tyle czasu, zwykle od razu zapamiętywałam twarze i nigdy ich nie zapominałam. Na zdjęciu Jones miał zaledwie szesnaście lat, ale już wtedy wyróżniał się tą przebiegłą i uwodzicielską miną. Spędziłam z Adornem cały rok i nie było dnia, żeby mój klient o nim nie wspomniał.

- Ma pan rację. Znałam go - powiedziałam wreszcie.

- I wiem, kim pan jest. Jest pan mężczyzną, którego kochał. Tym, którego nazywał swoim żigolakiem.

A wtedy Jones uśmiechnął się, jakbyśmy byli parą przyjaciół, którzy na długo stracili się z oczu i teraz w tłumie na dworcu znowu się spotkali, a jego uśmiech wstrząsnął mną jeszcze bardziej niż jego wrogość; w swoich uczuciach zdawał się nieobliczalny, niemal groźny. „Nie znamy się  
- miałam ochotę mu powiedzieć - nigdy się nie poznamy“.

- Przykro mi - ciągnęłam - lecz powtarzam: nie mogę panu pomóc. Akta moich klientów są tajne. Gdybym pomogła panu uzupełnić zeszyty Adorna, byłoby to naruszeniem tajemnicy zawodowej.

- Pani mnie nie rozumie - przerwał mi. - Adorno chciał, żebym je przeczytał. Z tego i tylko z tego powodu to napisał.

- Ale ja nie mam żadnego dowodu, że tak faktycznie jest, prawda? - odparowałam.

Zrobił stropioną, niemal zbolałą minę, jakby trudno mu było sobie wyobrazić, że mogę podawać w wątpliwość coś równie oczywistego.

- Cóż, żeby się o tym przekonać, wystarczy, że pani przeczyta te zeszyty - powiedział w końcu. - Wystarczy któryś otworzyć i przeczytać kilka pierwszych stron.

- Czego nie uczynię właśnie z powodu tajemnicy zawodowej. Obawiam się, że nie istnieje rozwiązanie tego problemu - stwierdziłam kategorycznym tonem i przesunęłam zeszyty w jego stronę, dając mu do zrozumienia, że rozmowa skończona. Przez chwilę milczał, a potem jego twarz przybrała gniewny wygląd.

- Co to za bzdury! - zachnął się. - Tajemnica zawodowa? Ma się pani za lekarza? Doskonale pani wie, że ta Agencja to jeden wielki przekręt. Zasięgnąłem języka na pani temat. Nie przetrwałaby nawet pół dnia, gdyby pani działalność zbadała policja. Nie, myślę, że w pani interesie leży dogadanie się ze mną. W oczach miał łzy wściekłości, ja zaś zastanawiałam się, skąd u niego od razu tak żywiołowe, gwałtowne reakcje.

I w tym momencie poczułam w brzuchu szybkie, ukradkowe ruchy jakby ryby pływającej w kółko po akwariu i przeraziłam się, czy to aby nie początek poronienia. Zerknęłam szybko w dół, sprawdzając, czy po moich nogach albo na podłogę nie ściekają krople krwi, ale nie, i łydki, i wykładzina były czyste.

- I nie chodzi mi tylko o pieprzenie się - ciągnął zjadliwie. - Od długich tygodni panią obserwuję. A ta kobieta, która tu przychodzi i która nawet na panią nie spojrzy, bo wystarcza jej oglądanie pani brzucha? Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się domyślić, co pani z nią kombinuje. Pewnie odpowie pani, że to z pani strony szlachetny uczynek, coś w rodzaju odkupienia. W końcu urodzenie dziecka to przecież coś dobrego, oto, co pani myśli. Czyżbym się mylił?

- Chwileczkę - rzuciłam.

Z wysiłkiem podniosłam się i szybko ruszyłam do drzwi. Na korytarzu ledwie zdążyłam otworzyć drzwi toalety i pochylić się nad miską klozetową, a momentalnie zwymiotowałam żółcią. Byłam oszołomiona, zdarzyło się to po raz pierwszy, wcześniej ciąża nie wywołała u mnie żadnych mdłości czy zawrotów głowy. Otarłam usta i przez chwilę stałam przed umywalką, trzymając ręce pod strumieniem zimnej wody.

Jak mogłam przypuszczać, że to wszystko ujdzie mi na sucho, że za to kupczenie uczuciami przyjdzie mi zapłacić jedynie paroma wyzwiskami i razami. Zastanawiałam się, czego zażąda Jones, za ile będzie próbował sprzedać swoje milczenie. Usiłowałam obliczyć, jaką mogę mu dać sumę, nie narażając na niebezpieczeństwo bytu Agencji. Miał rację,



nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby poszedł na policję. Żaden sąd nie uznałby użyteczności Agencji „Dla Was”, nawet jeśli ja sama uważałam, że jesteśmy równie potrzebni, jak psychologowie, opiekunowie społeczni, bezpłatne telefony zaufania, pod które można zadzwonić, kiedy samotność staje się zbyt dokuczliwa; w oczach prawa byliśmy zwykłymi hochsztaplerami, oszustami żerującymi na cudzym nieszczęściu. Nagle zza drzwi dobiegł mnie zaniepokojony szept Marji.

- Proszę pani? Czy wszystko w porządku? Zaczerpnęłam głęboko powietrza, przesunęłam palcem

po kostce mydła, przetarłam zęby, po czym otworzyłam drzwi.

- W porządku. Poczulałam coś dziwnego - powiedziałam, wskazując na swój brzuch - jakby rodzaj skurczu i przestraszyłam się, czy to nie poronienie, ale chyba wszystko dobrze.

Z kolei ona spojrzała, jakby spodziewała się, że zaraz zobaczy, jak pod moją bluzką i zakietem coś się porusza, że ujrzy coraz większe kręgi rozchodzące się po powierzchni wody, do której wrzuciło się kamyczek, a potem poruszyła ustami, jakby coś licząc, i uśmiechnęła się.

- To dzidzius się porusza, proszę pani, zwykła rzecz, wchodzi pani w piąty miesiąc. Gratulacje, bo to znaczy, że jest silny. Za to pani - ciągnęła, przenosząc wzrok na moją twarz - pani jest blada jak śmierć.

- Czuję się dobrze - powtórzyłam i już miałam wrócić do gabinetu, kiedy złapała mnie za ramię.

- Chwileczkę, przyniosę pani kostkę cukru. Bo jak nie, to znów się pani zrobi niedobrze.

Oparta o ścianę czekałam w korytarzu, a ona poszła do kuchni. Usłyszałam, jak otwiera drzwi szafki, unosi pokrywkę metalowego pojemnika. Zamknęłam oczy. Pomyślałam, jak dobrze byłoby móc schronić się w mieszkaniu, po drugiej stronie drzwi działowych, zostawić w gabinecie Jonesa z tą jego miną starego szcwanego dziecka, w końcu by sobie poszedł, może by już nie wrócił, a jak nie, to poprosiłabym Marję, żeby mnie z nim nie łączyła, żeby nie wpuszczała go dalej niż do poczekalni. Wróciła Marja ze szklanką do połowy wypełnioną białym mętnym płynem.

- Rozpuściłam dwie kostki - oznajmiła. - Zawsze tak robiłam, jak byłam w ciąży z Titouanem.

Zaczekała, aż wypiję mimo obawy, że znów zrobi mi się niedobrze. Oddałam jej szklankę i przetałam dłonią twarz, poczułam, że jest zimna i wilgotna niczym obca skóra.

- Czy może pani pójść ze mną do gabinetu, Marjo? - zapytałam. - Ma pani rację, nie za dobrze się czuję. Poczekaj pani ze mną, dopóki nie załatwię tego klienta?

- Och, z miłą chęcią - powiedziała, ale popatrzyła na mnie z lekkim zdziwieniem. Zwykle nie pozwalałam jej uczestniczyć w tym, co nazywałam prezentacją, a mianowicie w pierwszym spotkaniu; sama decydowałam, jakimi sprawami może się zająć, przy czym najczęściej chodziło o najprostsze, takie, z których zdołałaby się wywiązać sprzątaczką lub damą do towarzystwa. Kiedy obie weszłyśmy do gabinetu i Marja stanęła za moim fotelem niczym prywatny ochroniarz, Jones spojrzał na nią zaskoczony, a potem przeniósł wzrok na mnie.

Uśmiechnął się porozumiewawczo, tak jakbyśmy oboje wiedzieli, że to oznacza koniec rozmowy, że żadne z nas nie zaryzykuje wymienienia imienia Adorna w obecności Marji. Sięgnął po zeszyty i schował je do torby.

- Muszę już iść, ale myślę, że się zrozumieliśmy - rzucił niedbałym tonem. - Proponuję, żebyśmy kontynuowali naszą rozmowę u mnie. Jutro po południu, czy to pani odpowiada?

- Zaraz sprawdzę - powiedziałam z wysiłkiem. - Może trzecia, czwarta?

Spojrzałam pytająco na Marję, która szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Usłyszałam, jak kartkuje notes na swoim biurku, po czym woła:

- Nie, nie ma pani żadnego spotkania o trzeciej.

- Cóż, w takim razie jutro o trzeciej - szepnęłam. Skinął głową i wstał. Pochylił się nad biurkiem - znów

poczułam zapach taniej wody kolońskiej, cytrynowej i pikantnej, a także tytoniu. Wyciągnął rękę, której jednak nie ujęłam, tylko powiedziałam:

- Uprzedziłam pana przez telefon, że pierwsza wizyta jest płatna, niezależnie od tego, jak ułoży się nasza dalsza współpraca. Płaci pan sto euro.

Wykrzywił twarz w uśmiechu, puścił do mnie oko i z kieszeni spodni wyjął portmonetkę. Nie portfel, tylko bardzo kolorową kobiecą portmonetkę. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że to Adorno mu ją podarował, Adorno, tak kochający czerwienie, żółcie i żywe zielenie. Wyjął pięć banknotów i położył je przede mną, chyląc się w ironicznym ukłonie. Wstałam.

- Odprowadzę pana - powiedziałam.

Na dworze zaczęło padać, wiosenny deszcz był lekki, a zarazem rześisty. Znad chodników unosiła się woń trawy i Jones zatrzymał się w progu, żeby naciągnąć na głowę kaptur. Przez chwilę stał nieruchomo, obserwując ulewę. Nie wyglądał już na groźnego ani pewnego siebie, przeciwnie, sprawiał wrażenie niemal smutnego i znowu jego twarz wypiękniała, nabrała podobnego uroku co jego uśmiech. „Więc ten mężczyzna - pomyślałam - staje się piękny tylko wtedy, gdy jest szczęśliwy lub nieszczęśliwy, nigdy wówczas, gdy jest obojętny”. A potem zrobił rzecz zaskakującą: udając, że chce uścisnąć mi rękę, nachylił się, ja zaś poczułam muśnięcie tkaniny kaptura i przelotny dotyk jego ust na policzku. Przypomniał mi się wcześniejszy gest Yarola, jego dłoń muskająca moją pierś, zostałam dzisiaj dwukrotnie dotknięta i w obu wypadkach ta krótkotrwała bliskość była dla mnie takim samym wstrząsem. Potem odwrócił się i odszedł, mężczyzna z twarzą ukrytą pod kapturem z szarego płótna.

Muszę powiedzieć jedno: to w tym właśnie momencie zaczęłam kochać Jonesa, to znaczy kochać go w obsesyjny sposób, zrodzony ze strachu i wspomnienia namiętności.

*Pan Jones*

*Pierwsza konsultacja. Przedstawienie prośby: przepisanie pięciu zeszytów sporządzonych odręcznie, odczytanie ich oraz uzupełnienie niektórych brakujących fragmentów.*

*Czas: dwadzieścia pięć minut.*

*Oplata za pierwszą wizytę: sto euro.*

*Rachunek zostanie wystawiony po zaakceptowaniu przez klienta.*

*Na luźnej kartce, spinaczem podpiętej do teczki, zanotowałam:*

*Jak najszybciej przeczytać zeszyty. Co Jones wie o mojej współpracy z Adornem oprócz tego, co mi dzisiaj powiedział?*

## 10

Wródlam do gabinetu. Marja poszła za mną, przytrzymując drzwi, które już miałam zamknąć. Postawiła na biurku kolejną szklankę z posłodzoną wodą.

- Kim jest ten klient, proszę pani? - zapytała. - Ten pan Jones? Był już u nas kiedyś?

Potrząsnęłam głową.

- To sprawa nie do końca jasna, Marjo. Nie sędzę, żebyśmy się jej podjęły. Nie jestem nawet pewna, czy się z nim jutro zobaczę.

Popatrzyła na mnie i chyba się domyśliła, że nic więcej nie powiem, bo wzruszyła ramionami.

- Nie podoba mi się - stwierdziła po prostu. - Myślę, że nie powinniśmy się z nim zadawać. Niech pani to wypije.

Podsunęła bliżej szklankę. Od samego zapachu słodzonej wody robiło mi się niedobrze, ale wiedziałam, że Marja nie ustąpi, dopóki nie wypiję, co też uczyniłam, starając się nie myśleć o mdłym smaku.

- Dziękuję - powiedziałam. - Już mi lepiej.

- Wciąż jest pani bardzo blada. W końcu wpędzi się pani w chorobę. Czy chociaż żywi się pani jak trzeba?

- Ależ oczywiście. Przecież pani wie, że pani Soignes prawie co wieczór coś mi przynosi.

Marja skinęła głową, ale wzrok zachowała surowy. Wiedziałam, o czym myśli. Była zdziwiona, że ciąża przebiega tak gładko, bez nudności, bez komplikacji, gdy tymczasem ona w tym stanie nie mogła przełknąć nawet kęsa. Marja miała zasady, poczucie moralności, jak często podkreślała, chodziła do kościoła i była wstrząśnięta, kiedy ją poinformowałam, co zamierzam zrobić. Gdyby któregoś dnia znalazła mnie w kałuży krwi na podłodze w Agencji, na pewno byłoby jej przykro, lecz uznałaby to, jak sądzę, za rodzaj kary boskiej.

Bowiem nie było żadnego męża, nie było nawet ojca dziecka. Nie było w mojej szafie żadnej wanienki, żadnego pluszaka, żadnej zabawki. Było tylko moje pragnienie, żeby „Dla Was” przekształcić w większą agencję, oraz plan nowego lokalu, który ukrywałam w szufladzie biurka i który przedstawiał rozkład pokoi oraz ich urządzenie, naszkicowane przeze ranie z pomocą linijki i kalkulatora. Od dawna chciałam wyprowadzić się z tej dzielnicy, marzyły mi się wnętrza podobne do apartamentów moich klientów, wysokie sufity, kominki, dywany, okna z widokiem na park. Do tego potrzebne mi były pieniądze, dużo pieniędzy, więcej, niż miałam - nawet jeśli miałam ich już dużo, pieniędzy diabła, powiedziałyby Marja, gdyby wiedziała, co musiałam zrobić, żeby je zdobyć - ale widząc, jak bardzo państwu Soignes zależy na niańczeniu Titouana przez cztery godziny w tygodniu, zrozumiałam, ile kasy może zarobić ktoś, kto tak jak ja uważa, że dziecko, choć to istota z krwi i kości, jest tylko takim samym marzeniem jak inne.

Długo nad tym myślałam. Nie znalazłam nic, co mogłoby mnie odstraszyć lub zniechęcić. Byłam przyzwyczajona

do tego, że moje ciało służy do zarabiania pieniędzy, byłam przyzwyczajona również do obchodzenia prawa, a to, co zamierzałam zrobić, nie było czymś niewykonalnym, oznaczało tylko kilkumiesięczną niedogodność. Pani Soignes była ode mnie niewiele starsza, obie miałyśmy kasztanowe włosy i byłyśmy trochę do siebie podobne, ten sam wzrost, ta sama niczym się niewyróżniająca twarz, wystarczyło, że skróci włosy i wyrobi nowe dokumenty tożsamości, a będę mogła podawać się za nią. Któregoś ranka zaprosiłam Marję do gabinetu i powiedziałam:

- Podczas następnego spotkania z państwem Soignes proszę im powiedzieć, że chciałabym z nimi porozmawiać.

Popatrzyła na mnie pytająco, niepewna, czy się uśmiechnąć.

Chyba wyobraziła sobie, że zamierzam rozwiązać umowę zmuszającą ją do wypożyczenia syna. Więc wyjaśniłam, o co chodzi - owszem, za kilka tygodni, może miesięcy nie będzie już musiała zaprowadzać Titouana do państwa Soignes - ale jej, choć powinna była poczuć ulgę, do oczu napłynęły łzy i zrozumiałam, że straciłam znaczną część szacunku, jakim mnie darzyła, szacunku jeśli nie dla mojej inteligencji, to dla własnego wyobrażenia o mojej moralności.

- To niemożliwe, proszę pani - wykrztusiła, wstrząśnięta. - Nie, nie może pani czegoś takiego zrobić.

- To o wiele prostsze, Marjo, niż się pani zdaje - powiedziałam. - Nie oddam własnego dziecka, ja tylko zajdę w ciążę zamiast pani Soignes. Jestem zdrowa. Nie rozumiem, dlaczego miałabym tego nie zrobić. Chciałabym jednak wiedzieć, czy mogę na panią liczyć.



Popatrzyła na mnie chłodno, potrząsnęła głową i mruknęła:

- Właściwie, skoro dzięki temu nie będę musiała już wypożyczać Titouana, niech pani robi, co chce. Pomogę, na ile będę mogła.

Powiedziała to z powagą, jakby moja dusza była z góry skazana na piekło, i mogłabym się roześmiać, gdyby nie to, że wiedziałam, iż będę potrzebowała jej pomocy, jej komitywy, choćby po to, żeby mnie nie wydała, a także dlatego, że ona sama już przez to przeszła.

Przez dwa dni nie wracała do tego tematu. Przypuszczam, że nie mogła się w żaden sposób zdecydować, by odezwać się do państwa Soignes poza wymuszonym dzień dobry i do widzenia.

A potem, w czwartek rano, z jej ściągniętych rysów, z tego, jak unikała mojego spojrzenia, domyśliłam się, że sposobna chwila nadeszła. Zaczekała do przerwy obiadowej i wkładając żakiet, żeby pójść po synka do żłobka, oświadczyła:

- Porozmawiam dzisiaj z państwem Soignes. Nie zmienia pani zdania, prawda? Którego wieczoru będzie pani wolna?

Zerkała na mnie ukradkiem, z podniesioną głową, nie lękając się ryzyka, że wycofam się z obietnicy obdarowania państwa Soignes dzieckiem w zamian za jej syna.

- Pasuje mi każdy dzień - powiedziałam. - Tylko proszę im nie mówić, o co chodzi, nawet jeśli będą pytać. Wolę im to wyłożyć osobiście.

- Nawet bym nie umiała im tego powiedzieć. Bo jak coś takiego powiedzieć? - mruknęła i nie patrząc na mnie, wyszła.

Miałam w nosie to, że mnie osądza, a nawet to, że nie potrafi zrozumieć. Miałam w nosie to, że uważa mnie za wyzbytą wszelkich uczuć, że w rozmowach o mnie oburza się moim brakiem serca, jak kiedyś usłyszałam przez telefon. „Jak coś takiego powiedzieć - pomyślałam. - Och, Marjo, byłabyś zdziwiona, jak łatwo będzie o tym mówić, jak łatwo jest mówić o sprawach o wiele jeszcze gorszych”.

I faktycznie, było to całkiem proste. Przedstawiłam państwu Soignes moją propozycję, posiłkując się notatkami sporządzonymi na podstawie tego, co opowiadała mi o swojej ciąży Marja, o wizytach u lekarza, o zgłoszeniu narodzin dziecka w merostwie, a oni momentalnie się zgodzili. Podczas kiedy sporządzałam umowę - „rozumieją państwo, że zobowiązują się nie tylko własnym słowem”, uściśliłam - wymienili spojrzenia i czasami zastanawiam się, czy nie z takim zamiarem przyszli do Agencji, czy nie tego właśnie chcieli, znalezienia matki zastępczej, tyle że nie wiedzieli, jak to powiedzieć.

Była chwila skrepowania, kiedy poruszyliśmy sprawę poczęcia. Pani Soignes, zda się, nagle straciła pewność siebie, wspomniała o klinikach w Belgii praktykujących sztuczne zapłodnienie. Na to spokojnie odparłam, że uważam to za zbędne, za stratę czasu i pieniędzy, jesteśmy ludźmi dorosłymi, najważniejsze jest zachowanie wszystkiego w jak najgłębszej dyskrecji.

- Proszę nie zapominać, że to nielegalne. Im mniej będzie osób wtajemniczonych, im mniej podpiszą państwo dokumentów, tym lepiej, nie mówiąc już o tym, że i koszty będą niższe. Może to państwo z sobą przedyskutują? I zadzwonią do mnie, kiedy coś postanowią. Proszę się nie

śpieszyć. I nie zapominać, że sam akt potrwa bardzo krótko, a liczy się jedynie skutek, czyli wasze dziecko.

Zadzwonili następnego dnia wieczorem. Zgadzą się, oświadczył mężczyzna nieco wymuszonym tonem, rzeczywiście, to najlepsze rozwiązanie, w każdym razie najbardziej dyskretne, pozostaje tylko mieć nadzieję, że szybko się uda. Umówiliśmy się na najbliższy poniedziałek, dobry moment, jak wynikało z moich obliczeń. Tego wieczoru miałam na sobie spódnicę, żeby się nie rozbierać, zdjęłam tylko bieliznę i położyłam się na łóżku. Pani Soignes przyniosła mi szklanę wody i ręcznik; przez chwilę zwlekała na progu, potem zamknęła drzwi i wyszła. Usłyszałam jej płacz w sąsiednim pokoju.

Mieliśmy szczęście, bo udało się już za trzecim razem. Żeby to uczcić, kupili tort i poczęstowali mnie kieliszkiem szampana, „tylko kropelkę”, zaznaczyła pani Soignes, żeby nie zaszkodzić dziecku. Zapytałam, jakie zamierzają nadać mu imię, w zależności od tego, czy będzie chłopcem, czy dziewczynką, bo wolałabym nie mówić o nim „dziecko” czy „dzidziuś” i przez cztery pierwsze miesiące nazywałam je raz Anne-Lise, raz Maxime, a potem, po trzecim USG, Anne-Lise. Nigdy nie myślałam o nim jak o własnym dziecku. Nigdy chyba nawet nie myślałam o nim jak o dziecku.

Państwo Soignes chcieli asystować przy wszystkich badaniach, oni też przechowują wyniki badań USG. Podarowali mi kasetę z dziecięcymi wyliczankami oraz drugą z nagrany bajkami, które sami czytają i które zgodnie z ustaleniami umowy przynajmniej raz na dwa dni puszczam w czasie zmywania lub sprzątania.

Wiem, że pani Soignes długo się wahała, co dalej z Titoua-nem, aż w końcu poprosiła, żeby nadal ich odwiedzał, dopóki nie urodzi się ich dziecko. Może się bała, że mogę poronić, albo też liczyła, że w ten sposób przygotowuje się na pojawienie się w ich życiu Anne-Lise. Na rozwiązanie z nie mniejszą niecierpliwością niż oni czekała też Marja, tak więc z nas czworga ja przejmowałam się najmniej, prawie nie zauważając, że staję się coraz grubsza, a państwo Soignes co miesiąc wręczali mi ustaloną w umowie kwotę.

Myślę, że nikt nie rozumiał, jak mogę czuć się do tego stopnia niezwiązana z Anne-Lise. Na pewno nie Marja, która powinna okazywać mi wdzięczność, lecz nie mogła się uwolnić od pewnej urazy i przesadnego strachu, i nie państwo Soignes, zmuszeni przemilczać swoje zgorzzenie, ani nawet Jones, który użył słowa „odkupienie” - odkupienie czyje, za co? Nigdy nie robiłam nic innego, tylko spełniałam pragnienia innych. Komu wolno mnie osądzać?

## 11

Tego popołudnia, jak w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, miałam posłużyć za posłańca i uparłam się, że to zrobię, pomimo protestów Marji, która twierdziła, że jestem blada jak prześcieradło i byłoby lepiej, gdybym położyła się do łóżka.

„Sama mogę to zrobić - powtarzała na okrągło - poradzę sobie, to żadna sztuka”. Odpowiedziałam, że zajmie mi to dwie, góra trzy godziny, a poza tym trochę świeżego powietrza tylko dobrze mi zrobi. Istotnie, było to proste: od trzech lat służyłam za pośrednika między pewnym żonatym mężczyzną i pewną zamężną kobietą, którzy, choć oboje poślubieni komu innemu, od lat się kochali, lecz, jak by to powiedzieć, nigdy się nie widywali. Kiedy Marja zajrzała do ich akt, zawołała: „Jakże muszą być w sobie zakochani!”, gdyż pomimo swojego wieku oraz faktu, że została porzucona przez ojca jej trojga dzieci, wciąż jeszcze wierzyła w takie rzeczy. „Nigdy nie wiadomo, Marjo, być może chodzi o to, a być może o coś zupełnie innego”, skwitowałam jej słowa.

To on, niczym niewyróżniający się czterdziestoletni mężczyzna w szarym garniturze i o przerzedzonych włosach, zaangażował mnie do tej roli, zatem również on z pewnym skrepowaniem zaczął pokrótce wyjaśniać mi sytuację, ale szybko mu przerwałam.

- Nie chcę o niczym wiedzieć, proszę pana. Wystarczy, że będę wykonywała pańskie instrukcje. Poproszę tylko o to, żeby były precyzyjne.

Zdjął okulary, westchnął i oschłym tonem powiedział:

- Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, mimo to proszę za każdym razem upewnić się u recepcjonistki.

Nic więcej nie wiedziałam. Nie wiedziałam na przykład, dlaczego nie widywali się częściej, co ich powstrzymywało, czy strach przed tym, że nakryją ich współmałżonkowie, czy odwrotnie, obawa, że nie będą potrafili się rozstać, jeśli się jeszcze raz zobaczą. Nie wiedziałam i, prawdę mówiąc, było mi to obojętne, nawet jeśli z twarzy kobiety odczytywałam, że żyje tylko dla tej chwili, kiedy słyszy moje kroki na schodach, że nie mogłaby bez tego istnieć. Poprzestawałam na skrupulatnym wypełnianiu otrzymywanych poleceń i inkasowaniu czeku, mając nadzieję, że ich szaleństwo potrwa jak najdłużej, gdyż tylko dzięki niemu - oraz szaleństwu innych klientów - mogła istnieć Agencja „Dla Was”.

Mężczyznę spotkałam potem jeszcze tylko raz, w okresie, kiedy kobieta straciła kogoś bliskiego, ojca czy siostrę, tego nigdy się nie dowiedziałam. Pewnego dnia recepcjonistka oznajmiła: „Chce się z panią zobaczyć” i zaprowadziła mnie korytarzem do jego gabinetu. Nie przywitał się, poczekał, aż recepcjonistka zamknie za sobą drzwi, a wtedy wyjął z szuflady parę rękawiczek z delikatnej skórki i podał mi je ze słowami:

- Proszę je zapakować. Nie zdażyłem tego zrobić. Przez jakiś czas stał twarzą zwrócony do okna, po czym nagłym tonem rzucił:

- Proszę podejść, chcę pani coś pokazać. Trzymając w dłoni rękawiczki, wykonałam polecenie, on zaś niezdarnie otoczył mnie ramionami, przyciągnął do siebie i przyłożył policzek do mojego. Poczułam zapach płynu po goleniu, nikotyny oraz inny jeszcze, zapach kobiety, zapewne jego żony. Staliśmy w tej pozycji przez dłuższą chwilę, aż wreszcie głosem, zda się, należącym do innego mężczyzny wyszeptał mi do ucha:

- Tak mi przykro, ukochana, tak bardzo mi przykro z powodu twojego cierpienia.

Po czym raptownie wypuścił mnie z objęć, cofnął się o krok i znanym mi już, chłodnym tonem oświadczył:

- To wszystko, może pani odejść.

Kupiłam w pobliskiej papeterii szyfonowy papier, zapakowałam rękawiczki i przeszłam przez most. Na podeście drugiego piętra czekała na mnie kobieta ze zwykłą gorączkliwością, choć tym razem blada jak śmierć. Patrzyła, jak wchodzę po schodach, z taką miną, jakby mnie z trudem rozpoznawała. Ujęłam jej dłoń, położyłam na niej zapakowane w bibułkę rękawiczki, a potem łagodnie, tak jak przed chwilą zrobił to ze mną mężczyzna, objęłam ją, przyciągnęłam do siebie i przytuliłam policzek do jej policzka. Pachniała zupełnie inaczej, zapachem łez i nagłej starości, ale i jej skóra również była przesiąknięta wonią małżeństwa. I wyszeptałam jej do ucha słowa mężczyzny, starając się oddać ich łagodność: „Tak mi przykro, ukochana” zaczęłam, lecz ona zniemacka objęła mnie z taką siłą, że aż się zachwiałam, i zaczęła rozpaczliwie szlochać, tak jakby to naprawdę on stanął przed nią, a nie ja, jego wysłanniczka, jakby to on zadał sobie trud przejścia przez ten most, żeby ją pocieszyć.

O czternastej znalazłam się na drugim brzegu rzeki. Było ciepło, odbłask zamglonego słońca na rzece nie oślepił, przywodził raczej na myśl słabą żarówkę, abażur okryty fularową chustką. Najpierw zgłosiłam się w sekretariacie biura, gdzie, jak wiedziałam, czekała na mnie koperta. Recepcjonistka powitała mnie uśmiechem; nie potrafiłam odgadnąć, czy zachowywała się tak wobec wszystkich kurierów, czy też wiedziała, co mnie tu sprowadza. Biuro odznaczało się wytwornością, często mówiłam sobie, że stanowiłoby dobry wzór dla mojej nowej agencji. W poczekalni zawsze stały świeże kwiaty, anturium lub orchidee w pięknym chińskim wazonie, a koperta z pakowego papieru była zawsze identyczna, z etykietką pośrodku, na której ręcznie wypisano: „Delphine M.”, bez nazwy firmy, przypuszczalnie po to, by nie wzbudzać niczyjej ciekawości. Zawartość koperty była zawsze taka sama: czek i wykaz instrukcji. Same instrukcje też były prawie zawsze takie same.

Jak zwykle zapytałam recepcjonistkę: „Czy pan X. chciałby się ze mną zobaczyć?”. Potrząsnęła głową i przesunęła kopertę w moją stronę. „Nie, dzisiaj nie”, odpowiedziała. Wzięłam kopertę, a recepcjonistka rzuciła: „Do zobaczenia”. Zeszłam po schodach, zatrzymałam się na dole i otworzyłam kopertę. W środku znajdował się czek, aksamitne puzderko oraz list; przeczytałam list, a potem go podarłam i wyrzuciłam.

Przeszłam ponownie przez most i na drugim brzegu kupiłam u kwiaciarza cztery róże, które przypuszczalnie nie dotrują do następnego dnia, pomarańczowe róże, jak było zaznaczone w liście. Weszłam do budynku stojącego naprzeciwko mostu, prawie na wprost biura, nie zdziwiłoby



mnie, gdyby z okien jednego z nich można było zobaczyć okna drugiego, przesyłanie sygnałów świetlnych prawdopodobnie byłoby prostsze i mniej kosztowne od tej skomplikowanej wymiany podarunków i liścików, lecz oni zdecydowali inaczej. Weszłam po schodach na drugie piętro. Kobieta czekała już na mnie na progu, na mój widok twarz jej pojaśniała. Podałam jej różę, następnie wyjęłam z kieszeni i wręczyłam jej puzderko, zgodnie z instrukcją zawartą w liście, mówiąc: „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, których będzie jeszcze wiele”. Wzięła puzderko, otworzyła je, przy okazji łamiąc sobie paznokieć, i krzyknęła z zachwytu. Po czym powiedziała: „Proszę chwileczkę zaczekać”, zniknęła wewnątrz mieszkania i wróciła z jakimś przedmiotem owiniętym w japońską bibułę. Spojrzała na mnie i po raz pierwszy od tamtego dnia śmierci zdobyła się na wyznanie: „To rocznica naszego spotkania - powiedziała. - Przed sześciu laty”. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wsunęłam paczuszkę do torebki, uprzejmie mówiąc: „Wszystkiego najlepszego, proszę pani”. Na te słowa może przypomniała sobie, kim jestem, zwykłą kurierką, i sięgając odruchowo ręką do kieszeni jakby po drobne na napiwek, szybko powiedziała: „Do widzenia” i zamknęła drzwi.

*Pan X/pani Y*

*Pierwsza trasa: Agencja-biuro. Odbiór obiektu (puzderko).*

*Druga trasa: biuro-mieszkanie, kupno czterech pomarańczowych róż, przekazanie obiektu. Odbiór drugiego obiektu zapakowanego w papier.*

*Trzecia trasa: mieszkanie-biuro, przekazanie obiektu.*

*Czas: pięćdziesiąt minut.*

*Osiemdziesiąt euro.*

## 12

Nie wróciłam od razu do Agencji. Wbrew temu, co obiecałam Marji, powędrowałam nabrzeżem, odprowadzając wzrokiem rozmaite szczątki unoszone nurtem rzeki, gałęzie, strzępki plastiku, nawet piłki. Kiedy odrywałam oczy od tych statków - od najmłodszych lat nazywałam tak wszystko, co pływało po wodzie - myślałam o Jonesie i jego wizycie w Agencji, o jego oskarżeniach, o jego wymaganiach, a uczucia, które mnie wówczas ogarniały, były tak silne, że szybko zaczynałam wypatrywać innej butelki, innej plamy opalizującej cieczy. Ależ tak, mówiłam sobie, to też można uznać za statek, i dorzucałam kolejną pozycję do listy. Nie byłam przyzwyczajona do bezczynności, czułam się winna, więc jakby dla usprawiedliwienia tego bezproduktywnego wałęsania się kupiłam lody truskawkowe, a potem orzeszki ziemne w czekoladowej polewie, które wyjadłam z torebki co do jednego. Miałam cukier w ustach, cukier na palcach, więc weszłam do kawiarni, żeby umyć ręce i wypić miętowe mleko. Na dworze zrobiło się już prawie ciemno i kiedy wsiadłam do autobusu jadącego w stronę Agencji, poczułam, że robi mi się niedobrze. W oknach było ciemno, ale podchodząc do drzwi, dostrzegłam na progu jakąś postać. Pomyślałam, że to Marja, która

przed chwilą zamknęła firmę, dopóki nie usłyszałam, że ktoś mówi:

- Delphine? Gdzie się pani podziewała, Delphine? Od dwudziestu minut na panią czekam.

Była to pani Soignes. Nie byłyśmy umówione, ale wiedziała, że po osiemnastej zawsze zastanie mnie w Agencji, chyba że ją uprzedzę, że będzie inaczej. Sprawiała wrażenie nie tyle zaniepokojonej, ile zirytowanej, jakbym na tych kilka minut pozbawiła ją obecności, do której miała święte prawo.

- Niech pani szybko otwiera - ciągnęła. - Aż trudno mi uwierzyć, że tyle czasu była pani na nogach. Myśli pani, że to dobre dla dziecka? No, wejdźmy już.

Zaczęłam szukać w torebce klucza. Miałam do siebie żal, że nie kontrolowałam czasu, że pani Soignes złapała mnie na uchybieniu; jak nic mi to wypomni, zarzuci mi niedbałość, tak jak dwa tygodnie temu, kiedy pośliznęłam się na kawałku plastiku i upadłam, rozcinając sobie kolano. Stała teraz obok, trzymając obiema rękami torbę, w której zazwyczaj przynosiła pojemniki z zupą, z mięsem, z warzywami, wszystko jeszcze gorące. Znalazłam w końcu klucz, otworzyłam drzwi i zapaliłam światło. Pani Soignes bez słowa ruszyła do kuchni, żeby jak zwykle, przynajmniej raz w tygodniu, nakryć stół do naszej, jak mówiła, wspólnej kolacji. Wyjęła z torby pojemniki i zaczęła nalewać zupę. Było to gazpacho, na którego słodkawy zapach znów zrobiło mi się niedobrze, ale zdjęłam płaszcz i posłusznie usiadłam przy stole. Przez chwilę stała, po czym zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Sięgnęłam po łyżkę i zanurzyłam ją w zupie, lecz nie udało mi się jej donieść do ust.

- No, Delphine, niech pani przestanie się cackać - rzuciła oschłym tonem. - Dość już, że naraziła się pani na takie ryzyko. Nie mówiąc już o mnie. Mogła pani zadzwonić.

Na początku ciąży dostałam od nich komórkę z opłaconym abonamentem, żebym telefonowała przynajmniej raz dziennie i uprzedzała ich w razie jakichś kłopotów.

Żeby gazpacho było bardziej pożywne, pani Soignes dodała do niego grzanki, które z trudem przełknęłam.

- Nie ma powodu do obaw - odezwałam się wreszcie. - Po prostu poszłam na mały spacer. Nic nie ryzykowałam.

- Dzwoniłam dziś po południu do Marji. Powiedziała, że źle się pani poczuła - zripostowała. - Czy zamierzała mi pani o tym powiedzieć? Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

- Cięża staje się trochę męcząca, to wszystko - odparłam. - Anne-Lise zaczęła wierzgać. Może pani być dumna. Krzepka z niej dziewczynka.

Przez chwilę pani Soignes przyglądała mi się z niedowierzaniem; mogłoby się wydawać, że nigdy mi do końca nie ufała, że wyobrażała sobie, że tylko symuluję ten wielki brzuch, a na echografiach szachrowałam.

- Naprawdę? - mruknęła i wstała. - Niech pani odsunie krzesło. I zechce podnieść sweter.

Wykonałam polecenie. Obeszła stół, stanęła z tyłu za mną i poczułam jej wciąż jeszcze zimne dłonie przesuwające się po moim brzuchu. Zadrżałam i przełękłam się, żeby nie uznała mojego bezwiednego odruchu za poruszenie Anne-Lise w moim ciele.

- To było tylko raz i bardzo krótko - powiedziałam. - Jestem pewna, że wkrótce stanie się o wiele częstsze.

Jeśli pani chce, możemy któregoś popołudnia lub wieczoru zorganizować spotkanie, tak żeby ją pani mogła poczuć. Mimo to stała tak przez chwilę, obejmując szeroko rozczapierzonymi palcami mój brzuch, a potem niechętnie się odsunęła i z powrotem usiadła naprzeciwko mnie z twarzą nagle posmutniałą, zawiedziona, zupełnie jakby jej dziecko przed nią się schowało, jakby nie chciało zareagować na jej wołanie.

- Długo to trwa - stwierdziła z westchnieniem. - Nigdy nie myślałam, że będzie to tak długo trwało.

Rzadko okazywała lęk i niezadowolenie inaczej niż wpadając w gniew, więc żeby ją uspokoić, z uśmiechem sięgnęłam znowu po łyżkę i nabrałam zupy.

- Dziewięć miesięcy, nie dłużej, niż gdyby to pani nosiła tę ciążę - powiedziałam.

- Ale to nie ja ją noszę - odparła posepnie. - Tylko pani. Gdybym to była ja, mogłabym się tym wszystkim cieszyć, tymi krągłościami, pierwszymi ruchami dziecka.

- Nie czerpię z tego przyjemności - zapewniłam. - Tak samo jak pani, czekam na rozwiązanie. Robię, co do mnie należy.

Skinęła głową. Wyglądała na nieco uspokojoną, tak jakby się bała, że istnienie jej dziecka sprawia mi cichą rozkosz.

- Chciałabym poczekać, aż położy się pani do łóżka, Delphine - powiedziała. - Zaczekam, aż pani zaśnie, i wyjdę. Dobrze?

Trochę mnie to zaskoczyło, ale kiwnęłam głową na znak zgody. Została w kuchni, dopóki nie umyłam zębów i twarzy i nie włożyłam pizamy, a potem poszła ze mną

do sypialni. Zaczekała, aż wejść do łóżka, a potem przysiadła na skraju materaca.

- Czy mogłabym pani opowiedzieć pewną bajkę? - zapytała z nieco zawstydzonym uśmiechem. - Matka opowiadała mi różne bajki, kiedy byłam dzieckiem. Tę lubiłam najbardziej.

Znów się zgodziłam, więc odkaszlnęła i zaczęła opowiadać.

Obserwowałam ją ukradkiem, myśląc, że faktycznie jesteście do siebie podobne, ten sam owal twarzy, gładkie rude włosy, małe usta; nic dziwnego, że z taką łatwością mogłam się za nią podawać w klinice i w różnych placówkach administracyjnych.

Jej bajka opowiadała o księżniczce, która miała wyjść za mąż i urodzić dzieci, już nawet miała piękną suknię, którą codziennie wyjmowała z szafy, rozkładała starannie na oparciu krzesła i przemawiała do niej jak do swojej najbliższej przyjaciółki.

Opowiadała tę bajkę bez zapału, tak jakby trudno jej było zapomnieć, że między nią i jej dzieckiem wciąż jeszcze znajdują się ja. Chcąc ułatwić jej zadanie, a także licząc, że w końcu zmęczy się i pójdzie, udałam, że zasnęłam. Ona jednak nadal siedziała na brzegu łóżka, ciągnąc swoją opowieść głosem coraz cichszym, coraz smutniejszym, aż w końcu naprawdę usnęłam.

Kiedy się obudziłam, światło było zgaszone; położyłam rękę na kocu w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała pani Soignes, i stwierdziłam, że jest jeszcze ciepły. Z trudem obróciłam się na bok i ukryłam twarz w poduszce. Miałam wrażenie, że przyśniła mi się opowiadana przez nią bajka, ale potem zrozumiałam, że to było coś innego, i rozplakałam się.

Przyśnił mi się dzień, w którym pomagałam pewnej młodej dziewczynie wybrać ślubną suknię, gdyż nie mówiła po francusku; jej narzeczony zadzwonił do Agencji, by, jak to ujął, zamówić na trzy godziny usługi kobiety z gustem, która pomogłaby jej dokonać zakupu. Było to małżeństwo zaaranżowane, ale dziewczyna sprawiała wrażenie szczęśliwej; po dyskusji za pomocą gestów i mimiki nasz wybór padł na suknię z satyny, haftowaną perłami. Wychodząc ze sklepu, usłyszałyśmy pisk hamulców, głuchy huk i na szosę, prawie pod nasze nogi, upadł jakiś mężczyzna. Jego głowa znalazła się na piersi, jak u ptaka, i było oczywiste, że skręcił kark. Leżał na boku, oczy miał półprzymknięte, a pod wpływem gwałtowności wstrząsu jedną dłoń uniósł do policzka. Patrzyłam na niego i nagle dostałam gwałtownej czkawki, nie miałam pojęcia, że to wspomnienie tak głęboko we mnie tkwiło. Moją piersią wstrząsał zdławiony szloch i dziewczyna, przerażona, objęła mnie, próbując pocieszyć w jakimś obcym języku. Starłam się uspokoić, żeby nie dopatrzyła się w tym wypadku i w moich łzach złej wróżby dla siebie, żeby, krótko mówiąc, pozostać profesjonalistką, ale nie mogłam. Oczami wyobraźni znowu widziałam dziesiątki przymierzonych przez nią sukien ślubnych, a na ich obraz nakładały się zakrwawione prześcieradła i miałam ochotę wykrzyknąć to, co teraz szeptem powtarzałam do poduszki mokrej od łez: „Adorno, och, Adorno”.



## 13

Adorno przyszedł do Agencji dwa lata temu i podobnie jak wielu innych klientów nie od razu powiedział prawdę. Nie mam na myśli jego choroby, bo natychmiast o niej wspomniał, zresztą z jego chudości, kaszlu i wymizerowanej twarzy mogłam się jej domyślić. Nie chodzi mi też o jego homoseksualizm, z którym bez skrępowania się obnosił: ubierał się w krzykliwe kolory, malował oczy, czasem nawet usta. Po jego wyjściu Marja, która przy całej swojej sympatii do ludzi miała też pewne uprzedzenia, nie pukając, weszła do mojego gabinetu z zaciśniętymi ustami.

- Tym się nie zajmę, proszę pani - oznajmiła. - Nie ma sensu mnie prosić, wolę to pani od razu powiedzieć, że tym się nie zajmę.

Na co odpowiedziałam:

- W porządku, Marjo, ja wezmę to zlecenie.

Któregoś kwietniowego dnia zjawił się w Agencji z miniaturowym pieskiem pod pachą. Miał cienkie przerzedzone włosy w sztucznym odcieniu blond - nie potrafiłabym powiedzieć, czy był to efekt farby, czy nadmiaru słońca - oczy barwy zblakłego błękitu i matową karnację typową dla Włochów. Wysoki i chudy, był ubrany w welurową marynarkę w jaskrawym niebieskozielonym kolorze, miał

kanciastą twarz, bardzo białe zęby, choć jeden poślizgił się od nikotyny, jak czasami palec wskazujący u palacza.

- Zechce pan usiąść - zaczęłam jak zwykle. - Cieszę się, że pan przyszedł. Co mogłabym dla pana zrobić?

- Och, proszę mi mówić Adorno - odparł z niecierpliwym gestem.

- Przyjaciele nazywają mnie Adorno, a skąd pani wie, że nie zostaniemy przyjaciółmi? W najbliższych miesiącach będę potrzebował przyjaciół.

Wyjął z kieszeni firkę, spojrzał na mnie pytająco i zapalił długiego cienkiego papierosa pachnącego mentolem.

- Szukam prywatnej sekretarki - ciągnął. - Musiałaby również robić zakupy, trochę posprzątać, no i wyprowadzać jego, Ellingtona - dodał wskazując na pieska, którego postawił na biurku jak porcelanową figurkę. - Niedługo zacznie mi być coraz trudniej. Ale przede wszystkim chodzi mi o to, żeby pani była właśnie rodzajem sekretarki, to znaczy ja będę dyktował, a pani będzie notowała. Nie musi pani nawet umieć pisać na maszynie, bo nie mam maszyny ani komputera. Mógłbym sam to robić, ale szybko się męczę.

- Rozumiem. Proszę posłuchać, Adorno, muszę pana uprzedzić, że nasze stawki są dość wysokie - odparłam po chwili milczenia, podając mu broszurę wyszczególniającą usługi oraz ich ceny w Agencji „Dla Was”. - I niezależnie od rodzaju usług, niewiele się różnią, ponieważ jesteśmy agencją elitarną i zależy nam, żeby taką pozostać. Będzie pana to kosztowało o wiele drożej, niż gdyby pan zaangażował sekretarkę lub pomoc domową.

Nawet nie zajrzał do broszury. Wzruszył tylko ramionami, pyknął ze swojej firkę i odparł z bladym uśmiechem:

- Zawsze żyłem ponad stan, droga pani. Zawsze miałem słabość do luksusu. Naprawdę sądzi pani, że powinienem się zmienić tylko dlatego, że jestem chory?

Popatrzyłam mu prosto w oczy i uśmiechnęłam się, co robię zawsze, kiedy klient podnosi głos lub sprawia wrażenie speszzonego - a tak właśnie było: Adorno stracił całą brawurę i ożywienie, nagle wydał mi się stary, samotny i chory.

- W żadnym wypadku - odpowiedziałam. - A zatem założymy panu teczkę.

Wzięłam formularz i pióro, on zaś pochylił się, żeby widzieć, co piszę, jakby się bał, żebym nie przeinaczyła jego słów. Na pytanie o zawód wzruszył ramionami i wydmuchując kłęb dymu, odpowiedział:

- Och, niech pani wpisze obojętnie co. Parałem się po trochu wszystkim, bywałem kłownem, aktorem, zajmowałem się teatrem ulicznym, ale obecnie piszę coś w rodzaju książki - wyznał z porozumiewawczą miną - a właściwie bardzo długiego listu do kogoś, kogo kocham. Dlatego potrzebuję sekretarki, która pomogłaby mi go zredagować, może nawet zaprowadzić nieco ładu w moich notatkach.

Po krótkiej chwili wahania zanotowałam: „pisarz”. Myślę, że mu się to spodobało, nawet jeśli później ciągle powtarzał: „Nie jestem prawdziwym pisarzem, Delphine, to tylko słowa miłości”. Nie, nie zatajał swojej choroby. Czasami nawet z niej żartował i kiedy pytałam: „Naprawdę chce pan, żebym poszła po papierosy? Wypalił pan już dzisiaj trzy paczki”, odpowiadał z uśmiechem: „Nie jestem chory na żadnego pieprzonego raka płuc”. Ale podobnie jak Jones, nie powiedział całej prawdy o tym, co go do mnie sprowadziło.

Faktem jest, że nie szukał do towarzystwa damy w białym fartuchu, rozsiewającej wonie eteru i leków, jak mówił, wąsatej matrony cuchnącej śmiercią, w sytuacji, gdy on sam był tak wyczulony na zapachy - jeśli mu wierzyć, z powodzeniem mógłby być badaczem woni u jakiegoś sławnego perfumiarza. Palić zaczął jakiś czas temu, od chwili kiedy zachorował i poznał żigolaka, nikotyna stępszała powonienie, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Kolekcjonował stare rozpylacze do perfum; wszystkie półki były zastawione flakonami i trzeba było uważać, żeby któregoś niechcący nie stracić. Za każdą moją wizytą nalegał, żebym wypróbowała nowy zapach. „Muszę znaleźć twój zapach, Delphine - powtarzał. - Wszyscy jakiś mamy. W twoim wypadku nie jest to kwiat, nie, bardziej jakaś substancja, coś bardziej złożonego”.

Stało się to rytuałem. „Podaj mi przegub, Delphine”, prosił, ledwie zdążyłam przestąpić próg, więc musiałam podciągać rękaw i prostować ramię, pokazując mu blade zgięcie łokcia, jakby był pielęgniarzem, który ma mi zrobić zastrzyk. Rozpylał kilka kropli perfum, potem opuszczał mi rękaw i mówił z powagą: „Zrobione, teraz trzeba poczekać, za chwilę się przekonamy”.

Powiedziałam, że kłamał, ale jak zyskać pewność? Któregoś dnia, już pod koniec, kiedy niemożliwe było już nawet pojenie go przez słomkę czy karmienie pożywieniem dla niemowląt, nie mogłam się powstrzymać i zapytałam: „To dlatego przyszedł pan do Agencji, Adorno? Teraz już może mi pan powiedzieć”, na co ze znużeniem odparł: „Postawiłem wszystko na jedną kartę, Delphine, po prostu na jedną kartę”.

A potem z niejaką złośliwością - po raz pierwszy był wobec mnie złośliwy - dodał: „Tak czy owak, nie zmuszam cię. Możesz odmówić. Na szczęście ja mam trochę pieniędzy, a ty masz na nie chrapkę”.

Z początku przychodziłam do Adorna co trzy dni, potem co dwa, aż w końcu codziennie. Zaraz po przyjściu brałam Ellingtona na smycz i wyprowadzałam go na spacer. Był to piesek o gładkiej beżowej sierści; nigdy nie słyszałam, żeby szczekał. Po powrocie do mieszkania od razu układał się w swoim koszyku, czasami, stukając pazurkami, podchodził do Adorna i z uniesionym pyszczkiem w milczeniu się w niego wpatrywał, dopóki Adorno nie pochylił się, nie podniósł go i nie położył sobie na kolanach, na których Ellington zwijał się w kłębek i momentalnie zasypiał. Kiedyś, bardziej przez grzeczność niż z innego powodu, zapytałam Adorna, od jak dawna go ma, na co odpowiedział: „Och, od niedawna, może od półtora roku. Należał do mojego przyjaciela, który umarł i który również odziedziczył go po innym przyjacielu. Ellington miał czterech czy pięciu panów. Jest znany w naszym środowisku, przyzwyczał się do przechodzenia z rąk do rąk, ja też już wiem, kto go przygarnie, kiedy mnie zabraknie. Ellington - zażartował, całując pieska w łebek - Ellington, którego przekazuje się z rąk do rąk jak trefny towar, Ellington, który przeżyje nas wszystkich”, a pies zamknął oczy i nakrył mordkę podkulonym ogonem.

Większość czasu Adorno spędzał na kanapie, leżąc z podwiniętymi nogami, z zeszytem opartym na kolanach i pisał wspomnianą książkę - niekończący się list do mężczyzny, którego kochał. Z grubości zeszytu odgadywałam,

że tekst musi mieć już jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stron. „Co on takiego ma do powiedzenia temu mężczyźnie? - zachodziłam w głowę. - Jak może mieć mu aż tyle do zrelacjonowania?”. I wtedy po raz pierwszy pomyślałam o pani Derovitski i jej romansidłach. To wtedy dostrzegłam między nimi podobieństwo, między starą Polką i chorym pederastą, i zrozumiałam, że łączył ich rodzaj skrywanej namiętności, upodobanie do ckliwych romansów i historyjek, przekonanie, że są sprawy, o których nie można głośno mówić, można o nich tylko czytać lub pisać.

Czasami myślałam, że Adorno zaangażował mnie wyłącznie po to, żeby mi opowiadać o tym chłopaku, tym Jonesie, swoim żigolaku, jak go żartobliwie nazywał. Już podczas mojej pierwszej wizyty skinął na mnie, żebym usiadła obok niego na kanapie, i oświadczył z wielką powagą:

- Muszę ci opowiedzieć o Jonesie, Delphine, mogę ci mówić po imieniu, prawda? Muszę ci o nim opowiedzieć, bo w mojej książce mowa jest wyłącznie o nim. Na pewno lepiej będzie, jeśli się o nim dowiesz tego i owego.

Nachylił się i wziął z niskiego stolika małą rzeźbioną ramkę, w którą oprawiony był prostokątny kartonik, przypuszczalnie wycięty z większej fotografii. Widać na nim było twarz nastolatka, na którego karku spoczywała czyjaś dłoń, nigdy się nie dowiedziałam, czy należąca do mężczyzny, czy kobiety.

Chłopak wyglądał na jakieś piętnaście, szesnaście lat, miał skórę zarumienioną od słońca i trądziku, włosy zaczesane gładko na skroniach, wyzywające spojrzenie i jeszcze bardziej wyzywające usta. Adorno chyba zauważył moją minę, bo z zawstydzonym uśmiechem odebrał mi ramkę.

- Na tym zdjęciu jest bardzo młody - powiedział. - Zostało zrobione, zanim go poznałem, siedem, może osiem lat temu. Sama widzisz, że jest piękny jak łobuziak, jak mały żigolo. Zresztą nim właśnie jest. Miał szesnaście lat, kiedy uciekł z domu, i od tamtej pory żył dzięki ludziom, którzy go kochali, mężczyznom lub kobietom, dla niego to bez różnicy. Dawał im zawsze to, czego chcieli, czasem seks, a czasem po prostu trochę czułości. Przypuszczam, że często na odchodnym opróżniał ich szuflady - dodał z uśmiechem - ale nikt oczywiście nie złożył skargi, bo jak złożyć skargę na żigolaka?

Po raz ostatni obrzucił ramkę spojrzeniem, potem odstawił ją na stół, odwrócił się do mnie i przesunął mi palcem po grzbiecie nosa - jeden z charakterystycznych dla niego czułych gestów.

- Myślę, że by ci się spodobał, Delphine. W pewien sposób jesteście do siebie podobni. Nie patrz tak na mnie, a jak ci się wydaje, co innego robisz ty? Naprawdę myślisz, że nie jesteś kimś w rodzaju małego żigolaka?

Później często to powtarzał, mrużąc oczy, żeby mnie zmusić do uśmiechu, i wkrótce przestałam protestować, wzruszałam tylko ramionami, uważając, że się myli. Ja byłam kimś zupełnie innym, nie kradłam ani nie sprzedawałam się temu, kto da więcej, miałam swoje zasady, swoją moralność. Agencja „Dla Was” była rodzajem instytucji charytatywnej, jak inaczej moglibyśmy tyle czasu funkcjonować?

- Spotkałem go na przyjęciu - powiedział - w willi z ogromnym ogrodem, w którym rosły drzewka bananowe, pomarańczowe, różne pnącza i krzewy obsypane kwiatami,

zupełnie jak w jakimś afrykańskim kraju. Paliły się świece i girlandy świateł na drzewach. Chodząc do baru po poncz, trzykrotnie go zauważyłem i za każdym razem patrzył na mnie tak, że wprost ugięły się pode mną nogi. Sprawiał wrażenie znudzonego i znacznie młodszego i atrakcyjniejszego od wszystkich pozostałych gości, tak jakby był synem gospodarzy, który wymknął się spod kontroli rodziców. To właśnie tamtego wieczoru po raz pierwszy straciłem przytomność. Ocknąłem się na ziemi w koszuli upapranej trawą, z policzkiem podrapanym przez jakąś gałąź, a on tam był, stał w pierwszym rzędzie kręgu, który utworzył się wokół mnie, kiedy upadłem. Zapytał, czy chciałbym, żeby mnie odwiózł do domu, a ja powiedziałem, że tak. *Tak*. Przyszedł na przyjęcie w towarzystwie pewnej starzejącej się aktorki, wciąż jeszcze sławnej, lecz kiedy ta próbowała go zatrzymać, po prostu strząsnął jej dłoń ze swojego nadgarstka. Przywiózł mnie tutaj, a tydzień później otworzyłem w banku rachunek na jego nazwisko i wpłaciłem pieniądze z niewielkiego spadku, który niedawno dostałem.

- Wiem, że jest ostatnim mężczyzną, którego będę kochał - ciągnął Adorno, ścisząc głos. - Ostatnim przed śmiercią. Widzisz, większość ludzi nie ma tej szansy - szansy, że będą wiedzieli. Za każdym razem, kiedy na niego patrzę, myślę właśnie o tym, że jego oczy będą ostatnimi, które będę kochał, jego skóra ostatnią, której będę dotykał. Wiem, że niedługo umrę. Powiedziałem mu, że zrobię go swoim spadkobiercą, a on obiecał, że zostanie ze mną do samego końca. Nie mam wielkich pieniędzy, ale te, którymi dysponuję, pozwolą mu przeżyć kilka lat.



Przez chwilę milczał, a potem wskazał na zeszyt w fioletowej okładce, leżący na stoliku obok fotografii, i powiedział:

- Piszę tę książkę, bo chcę, żeby zrozumiał, że jest kimś znacznie więcej niż zwykłym żigolakiem, którego mógłbym wybrać z katalogu, tak jak mógłbym wybrać pigułkę niebieską lub zieloną na swój ostatni odlot. Myślisz, że to zrozumie, Delphine? - zapytał z niepokojem. - Myślisz, że będzie wiedział, o co mi chodziło? Że nasza historia to historia miłości, nawet jeśli ja jestem chory, a on jest żigolakiem?

- Na pewno, Adorno - odpowiedziałam. - Na pewno zrozumie. Myślałam jednak: „Czy to bliskość śmierci sprawia, że stałeś się taki naiwny? Jesteś jeszcze gorszy niż stara kobieta, którą kiedyś znałam, bo wierzysz, że piękne, ckliwe historie naprawdę istnieją, gdy ona przynajmniej poprzestawała na karmieniu się lekturą”. Ale siedziałam cicho, bo nie za to mi płacił, żebym mówiła mu takie rzeczy, a poza tym, czy mnie było o tym sądzić - mnie, sprzedającej właśnie złudzenia?

Kiedy przychodziłam, odkładał zeszyt i krzywiąc się, zacierał dłonie, prostował chude palce z pierwszym stawem wypukłym jak pierścionek. Miał zaczerwienione powieki i wilgotne oczy, gdy mówił: „Nie masz nic przeciwko, żeby przejąć ode mnie pałeczkę, Delphine? Coraz szybciej się męczę”.

Brałam zeszyt, pióro, siadałam kilka metrów dalej przy stole, albo bliżej, na krześle, żeby nie musiał wyęczać głosu, i opierałam zeszyt na kolanach. Jak mogłabym po raz kolejny

nie pomyśleć o pani Derovitski, o godzinach, które z nią spędzałam, o moich palcach poplamionych atramentem, gdy ćwiczyłam pisanie, o głośnej lekturze romansów, tyle że ona mnie prosiła o czytanie bajek, tymczasem Adorno - o ich spisywanie.

Od czasu do czasu w połowie dyktowania przerywał i posyłając mi skrepowany uśmiech, mówił:

- Dalej już sam będę pisał, to moment osobisty. Zawołam cię, jak skończę.

To, co na jego prośbę notowałam, było tylko pochodem dni, codziennością. Resztę, czyli to, co ich obu, jednego i drugiego, rozpalało, to, co nazywał momentami osobistymi, zapisywał na luźnych kartkach, które potem wpinał pomiędzy strony zapisane moją ręką. Nigdy nie czytałam tych kartek. Mogłam sobie tylko wyobrazać, czym były, widząc poszarzałą skórę Adorna po wielu godzinach pisania, jego nieobecne spojrzenie, mogłam sobie tylko wyobrazać, jak wyrzuca z siebie te uczucia. „Wygląda, jakby się wykrwawiał - myślałam - jakby wkrótce miała mu zostać w żyłach sama woda”.

Chętnie bym powiedziała, że żigolo nigdy nie budził mojej ciekawości, ale to nieprawda; było tak z całą pewnością i stało się początkiem tego, czego nie mogę nazwać inaczej, jak fatalnym błędem. Czasami wydawało mi się, że Adorno niezupełnie się myli i że żigolo ma rzeczywiście coś wspólnego ze mną, umiejętność naginania się do ludzi i okoliczności, nieprzejmowanie się metodami, jakie stosuje, no i, rzecz jasna, oschłe serce. Ale nie miałam ochoty się nad tym zastanawiać, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że ja też jestem złodziejką, łajdaczką, rodzajem ży-

golaka, byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że Agencja „Dla Was” jest tylko cienką lśniącą powłoką skrywającą mroczne otchłanie, brudną wodą spływającą trzewiami kanalizacji.

Bywały okresy, kiedy Adorno całymi dniami, nawet tygodniami czuł się lepiej. Wtedy być może zapominał, że niedługo umrze, bo zarzucał pisanie, zaczynał wychodzić, zabierał żigolaka w podróż, wykorzystywał to chwilowe odroczenie śmierci zachłannie, pełnymi garściami, rzadko kiedy znajdując czas, by mnie zawiadomić. Zdawał się cenić każdą minutę i każda minuta, jak sądzę, faktycznie się dla niego liczyła. Niekiedy jednak zostawiał kilka słów u mnie na sekretarce lub liścik w pośpiechu przypięty pinezką do jego drzwi: „Kochana Delphine, wyszedłem, po powrocie zadzwonię, pozdrowienia - Adorno”.

Najczęściej na próżno pukałam, przytykałam usta do drzwi, wołając: „Adorno! Adorno!”, a potem: „Ellington! Ellington!”. Bo zdarzało się, że Adorno, otumaniony mieszanką alkoholu i leków, usnął i wtedy słyszałam, jak Ellington drapie w drzwi i skamle. Od czasu do czasu starszy człowiek, który zajmował sąsiednie mieszkanie, otwierał drzwi i mówił: „Pan Włoch wczoraj wyjechał, miał ze sobą walizkę i pieska” albo oznajmiał z cierpką miną: „Całą noc balował, to nie do wytrzymania, ta muzyka i te krzyki, to nie może się powtórzyć, niech mu pani powie, że następnym razem wezwę policję”, lecz odnosiłam wrażenie, że żyje tylko tym, przyjściami i wyjściami Adorna, podpatrywanymi przez judasza, dobiegającym zza ściany oddzielającej oba mieszkania wesołym gwarem, którego słuchał, leżąc w łóżku, tak czy owak bezsennie.

Kiedy sąsiad mówił, że Adorno jest w domu, albo kiedy usłyszałam skomlenie Ellingtona, wyjmowałam klucz schowany w szczelinie ściany obok okna na klatce schodowej i otwierałam drzwi mieszkania. Wchodziłam do salonu pełnego pustych butelek i poprzewracanych kieliszków, popielniczek ze stosem niedopałków, woniejących jakimiś rzadkimi ziołami, może tymi, wśród których Adorno szukał dla mnie zapachu, papierowych talerzy z resztkami jedzenia. Znajdowałam Adorna śpiącego w ubraniu w swoim łóżku albo na kanapie. Nasłuchiwałam jego oddechu, a upewniwszy się, że tylko śpi, wciąż jeszcze pijany lub naćpany, zakładałam Elling-tonowi smycz i szłam z nim na spacer. Czasami dochodziliśmy aż do pobliskiego skweru, gdzie puszczałam go wolno, ale Ellington nigdy nie bawił się tak jak inne psy, tylko z postawionymi uszami, wietrząc zapachy, siedział przy mnie, Ellington, nie tyle pies, ile towarzysz ostatnich dni, zda się, w pełni tego świadomy. Po paru minutach brałam go z powrotem na smycz i wracaliśmy do domu. Przez następne dwie godziny sprzątałam, otwierałam okna, żeby przewietrzyć mieszkanie, wyrzucałam papierowe talerze i puste butelki, zaglądając przy tym co jakiś czas do Adorna i sprawdzając, czy wciąż jeszcze śpi w tej swojej skotłowanej pościeli. Kiedy w końcu budził się z grymasem na wymiętej twarzy, przynosiłam mu aspirynę. Potem ja sprzątałam pokój odkurzaczem, a on szedł wziąć prysznic i zmyć makijaż - gdyż często przed takimi przyjęciami się malował, przyklejał sztuczne rzęsy w różnych odlotowych kolorach, malował szminką usta i nakładał na powieki cienie, których tęczowe ślady znajdowałam na ubraniu i za paznokciami jeszcze długo po bytności u niego.

Nigdy nie widziałam jego żigolaka, ani w okresach zabawy, ani w dniach choroby, kiedy Adorno pisał swoją książkę. Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo dbał o to, żebyśmy się nie spotkali. Prawda, że nieraz myślałam o tym, czy żigolo rzeczywiście istnieje, czy Adorno go nie wymyślił, chcąc wypełnić swoją samotność, czy nie był pocieszającą iluzją w godzinach oczekiwania na śmierć, ale nigdy go o to nie zapytałam. W moich oczach nie stanowiło to żadnej różnicy. Skończyliśmy pierwszy zeszyt. Zapisaliśmy drugi, potem trzeci i czwarty. Miało być ich pięć i w chwili śmierci Adorna piąty był niedokończony. Zostało dziesięć białych stron, pustych jak niedokończone życie Adorna.

*Adorno*

*Wyprowadzenie psa. Sprzątanie, zmywanie, pranie. Przygotowanie tygodniowej porcji leków. Pisanie pod dyktando. Czas: trzy i pół godziny. Sto euro.*

## 14

Nie zauważyłam, że stan Adorna się pogarsza. Nie zauważyłam tego, a przecież zbliżała się wiosna i nie było normalne, że jest mu coraz zimniej, nie było normalne, że wciąga sweter na sweter, otula szyję fularem i woła: „Zamknij to okno, Delphine, chcesz mnie przyprawić o śmierć”, kiedy je otwierałam, żeby przewietrzyć pokój. Miewał ataki gorączki i w ustach coś, co nazywał pleśniawkami, codziennie musiałam zmieniać mu pościel, tak się pocił, i kupować słoiczki z jedzeniem dla niemowląt, którym karmiłam go łyżeczką, wpierw podłożywszy mu pod plecy poduszki.

„Dziękuję, Delphine - mówił, kiedy z szyją opasaną jego ramieniem, podtrzymując go, prowadziłam do łazienki. - Jesteś jak skała”. Któregoś dnia, gdy czekałam pod drzwiami, aż wstanie z sedesu, zawołał: „Otóż to, Delphine, jesteś skałą, kamieniem. Dlatego nie mogę odkryć twojego zapachu - kamienie nie mają zapachu. Wiesz, nigdy się z czymś takim nie spotkałem”. Potem znowu wrócił do tej historii z kamieniem i z zapachem, ale tym razem nie był to już komplement, były to rzucone w chwili słabości słowa, które często słyszałam z ust innych klientów, oskarżenie, wyrzut. Potem gorączka opadała i wszystko wracało do

normy, tak przynajmniej myślałam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to już schyłek jego życia.

Pewnego razu jednak, w trakcie ostatniej remisji choroby, po powrocie z imprezy, która miała być jego ostatnią, zobaczyłam go w łazience. Szlafrok rozchylił mu się na piersi i ujrzałam same kości, tors nieletniego, niedożywionego chłopca, mostek ptaka. Bez słowa podałam mu ręcznik, o który prosił.

Kiedy wszedł do salonu, wkładałam kurtkę, szykując się do wyjścia. Wyglądał na zaniepokojonego, z jego twarzy zniknął uśmiech, nawet ten zawsze obecny, dziwny przecinek w kącie ust, który uważałam za wyryty na jego ciele stygmat czasu.

- Czy możesz jeszcze chwilę zostać, Delphine? - zapytał. -

Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Oczywiście.

Usiadłam w fotelu, czekając, aż włoży swoje szerokie spodnie i jeden z tych wielkich swetrów z golfem, które mnie tak długo wprowadzały w błąd, które musiały wprowadzać w błąd każdego, kogo tak naprawdę nie interesowało, co ukrywają pod spodem.

Zadałam sobie w duchu pytanie, czy żigolo - o ile w ogóle istniał

- o tym wiedział, czy Adorno pozwalał mu jeszcze na jakieś

pieszczoty, czy tylko na to, by ten na niego patrzył, kiedy

siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w kawiarni, zmuszeni

do zachowania rezerwy w obecności innych klientów. Mimo to

być może ich dłonie pieściły się pod stołem, wbrew wszystkiemu.

Czy żigolo obmacywał wtedy ciało Adorna jak niewidomy

ludojad obmacujący ręce dziecka, które zamierza pożreć, czy był

przerażony, czując samą tylko skórę i kości, czyjego dłonie



zapuszczały się pod rękawami w wyższe rejony ramion Adorna? Ale wtedy Adorno je na pewno odsuwał, wtedy na pewno uwalniał ręce i szybko chował je za plecami, tak jakby trzymał w nich prezent, niespodziankę, „w której ręce?” ... Ale tą niespodzianką była śmierć.

Na tę myśl ku własnemu zdziwieniu poczułam ukłucie bólu i zrozumiałam, że przywiązałam się do Adorna. Doszło do tego, że zaczęłam darzyć go sympatią, może nawet czymś więcej, uczuciem niemożliwym, które mogło narodzić się tylko dlatego, że było niespodziewane - tego transwestytę, tę wariatkę, jak często ze śmiechem o sobie mawiał: „Masz pojęcie Delphine, co pomyśleliby twoi rodzice, gdyby wiedzieli, że pracujesz u jakiejś wariatki, co by o tym pomyśleli? Dam głowę, że inaczej wyobrażali sobie twoją przyszłość”, a ja w odpowiedzi tylko się uśmiechałam.

Czekałam kilka minut, siedząc obok uchylonego okna. Za kamienicą naprzeciwko znajdował się stary klasztor z ogrodem, powiedział mi o tym kiedyś Adorno. I dodał: „Czasami zapach glicynii dociera aż tutaj. Możliwe, że wiosną go poczujesz”. Ale do mnie dobiegało stamtąd ćwierkanie ptaka o ciepłym zmierzchu i wiedziałam - tyle się o tym nasłuchawszy od klientów, którzy mi mówili właśnie takie rzeczy - że odtąd każdy śpiew ptaka przypominać mi będzie tę chwilę. Z rezygnacją oswajałam się z tą prawdą, jak ktoś, kto ma czas przygotować się na cierpienie. Słuchałam, rozmyślając, że odtąd każdy śpiew ptaka kojarzyć mi się będzie z chwilą, gdy zrozumiałam, że Adorno umrze i że bardzo mi go będzie brakować.

Żeby zagłuszyć ptaka, zaczęłam cicho nucić, mówiąc sobie, że jestem żałosna. Agencja „Dla Was” oddała usługi

stu pięćdziesięciu sześciu klientom, stu pięćdziesięciu siedmiu, jeśli liczyć panią Derovitski - sprawiało mi przyjemność uważać ją za pierwszą klientkę, chociaż poznałam ją przed oficjalnym startem Agencji - a kalendarz spotkań miałam wypełniony na najbliższe sześć tygodni. „W ostatnich miesiącach Adorno zajmował mi dużo czasu, teraz będę mogła zająć się innymi klientami”, pomyślałam. Trzy miesiące temu zatrudniłam pewną trzydziestoletnią kobietę na pół etatu - lecz Marja się na nią skarżyła, mówiła, że jest niepoważna, że nie potrafi słuchać klientów. „Nadaje się tylko do wylegiwania albo sprzedawania bułek”, twierdziła z lekceważeniem, dodając, że firma straci na prestiżu, bo Marja Agencję „Dla Was” nazywała „firmą”. Nie wiedziałam, ile w tym prawdy, a ile podszeptu zazdrości, ale w tym momencie postanowiłam, że na wszelki wypadek ją zwolnię i sama poświęcę więcej czasu Agencji. „Adorno to przestroga - pomyślałam - sygnał ostrzegawczy”. Na swój sposób byłam równie mało profesjonalna co pracownica, która nadawała się tylko do wylegiwania lub sprzedawania bułek.

A potem wrócił Adorno. Ubrał się, ale nie zadał sobie trudu, żeby włożyć obszerniejszy sweter. Chyba zrozumiał, że nie ma już czego ukrywać, i jego ramiona, i tułów nagle wydały mi się nieproporcjonalnie długie, nieproporcjonalnie chude.

„Przecinek”, mniej teraz widoczny, powrócił na jego twarz, a ja pomyślałam, że dziwna jest ta niespodziewanie pojawiająca się i znikająca bruzda. Przysunął fotel bliżej mojego, więc odruchowo wyciągnęłam rękę, żeby zamknąć okno, on jednak powiedział:

- Nie, Delphine, zostaw. Na glicynie jeszcze trochę za wcześnie - dodał, spoglądając na niebo, które zaczynało już ciemnieć - ale ten wieczór tak przyjemnie pachnie, nie uważasz?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo nie zmieniając tonu, oświadczył:

- Wczoraj widziałem się z moim żigolo ostatni raz. - Po chwili milczenia podjął: - Jeszcze o tym nie wie, nawet ja, budząc się dziś rano, nie wiedziałem. Prawdę mówiąc, nawet jeszcze godzinę temu nie wiedziałem. Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem twoją minę w łazience. Powiedziałem sobie: „Nadeszła ta chwila, Adorno, i tak już bez wątpienia zbyt długo z tym zwlekałeś”.

W tym momencie głos mu się mimo wszystko zmienił.

Poczułam, że oblewam się rumieńcem, i otworzyłam usta, by zaprotestować, skłamać, powiedzieć, że nie wiem, o czym mówi, ale on wyciągnął rękę i nakrył nią moją dłoń, ja zaś poczułam jego palce, palce chude jak u małego chłopca, którego tuczy czarownica.

- Nie, nic nie mów - ciągnął łagodnym głosem. - To również po to cię zaangażowałem. Żeby wiedzieć, kiedy nadejdzie ta chwila. Byłem pewny, że przyjaciele nic mi nie powiedzą, ale ty, ty nie zdołasz tego ukryć i któregoś dnia odgadnę to tylko z twojego spojrzenia.

A wtedy poczułam się zdradzona. Miałam ochotę odparować, że Agencja „Dla Was” oferuje wszelkiego rodzaju usługi, oczekując tylko jednego: żeby klient był wobec niej uczciwy, że nie podoba mi się myśl, iż w ciągu tych miesięcy obserwował mnie, śledząc na mojej twarzy postęp swojej choroby, i chyba się tego domyślił, bo mocniej uścisnął mi rękę.

- Gdybym poprosił, żebyś mi powiedziała, to byłoby nie to samo. Nie byłabyś równie szczerą. Jesteś profesjonalistką, Delphine - powiedział z odrobiną ironii - ale są rzeczy, których nie potrafiłabyś zrobić, niezależnie od wysokości zapłaty. Nikt by nie potrafił.

Nadal trzymał moją dłoń, a ja starałam się przyzwyczaić do jej chudości. Pod wpływem jej ciepła zapomniałam, że dotykam kości, wydała mi się miękka i znajoma. Uśmiechnęłam się i wysunęłam palce. Z lekkim smutkiem odwzajemnił mój uśmiech i nakrył zostawioną przeze mnie dłoń drugą, jak dziecko samotnie szukające pociechy.

- Chciałbym się tylko upewnić, czy zgodzisz się nadal przychodzić - ciągnął, starannie dobierając słowa. - Będzie to może trochę trudne, ale nie bardziej niż wtedy, kiedy mnie musiałaś pielęgnować.

- Oczywiście, Adorno - odpowiedziałam. - Będę przychodziła tak długo, jak długo będzie mnie pan potrzebował.

Uważnie mi się przyjrzał i znowu uśmiechnął, ale jego uśmiech nie wyrażał cienia wdzięczności. Był melancholijny, pełen rezerwy - ot, zwykła odpowiedź na uprzejmość brzmiącą w moim głosie. Pomyślałam, że być może odczytał z mojej twarzy, kiedy na niego czekałam, tok moich myśli, że odgadł mój przelotny smutek, a także postanowienie, że go opuszczę, i w duchu zadałam sobie pytanie, ilu innych ludzi w trakcie jego choroby już tak postąpiło. Wytrzymałam jego spojrzenie. „Nie masz się czego wstydzic - mówiłam sobie - pracujesz dla niego, to taki sam klient jak inni”.

- W porządku - powiedział. - Będiesz mi potrzebna, bo odtąd pewnie nieczęsto już będę wychodził. Szkoda - do-

dał, spoglądając w okno - idzie wiosna, ale nic na to nie poradzę, może ty, Delphine, w tej twojej Agencji cudów mogłabyś załatwić przedłużenie zimy, żeby mi nie było tak źal?

Wybuchnął śmiechem, jak nieraz mu się to zdarzało, śmiechem, który sam się nakręcał, który wibrował mu w gardle, aż w końcu do oczu napływały łzy i który tak był zaraźliwy, że często ja również zaczynałam się śmiać. Potem Adorno umilkł, na jego twarzy pozostało jedynie wielkie zmęczenie.

- Chciałbym, żebyś teraz już poszła, Delphine - powiedział. - Muszę jeszcze coś zrobić.

- Dobrze - mruknęłam i poszłam po torebkę.

A przecież wiedziałam, że zwykle lubił słuchać, jak zmywam naczynia, jak po powrocie z zakupów układam nabyte produkty, jak z hałasem wrzucam do szklanych pojemników makaron, ryż, czerwoną fasolę, której już nie jadał, bo usta znowu zaatakowały mu pleśniawki, ale nadal kazał mi ją kupować - również pod tym względem podobny był do pani Derovitski, której torba co rano wypełniała się niepotrzebnymi prowiantami. „Jesteś znacznie lepsza od radia, Delphine - mówił - lepsza od telewizji”. Czasami w takt moich ruchów wymyślał piosenki, rodzaj wyliczanek po francusku lub włosku, które mi tłumaczył i które sprawiały, że tak właśnie, żywiołowo, bez śladu smutku, się śmiał.

Kiedy ruszyłam do wyjścia, mówiąc mu do widzenia, nie spojrzeliśmy na siebie. Posłaliśmy swoje uśmiechy w pustkę, unikając się wzrokiem. Jakie to smutne, pomyślałam mimowolnie, ale nie podniosłam na niego oczu i zachowałam

uprzejmy uśmiech aż do momentu zamknięcia za sobą drzwi. Następne dni wyglądały podobnie. Nazajutrz poprosił, żebym zabrała klucz ze szczeliny w ścianie, żeby nie musiał wstawać, kiedy przyjdę. Otwierałam drzwi po cichutku, jakbym się bała, że go obudzę, lecz niezmiennie zastawałam go na kanapie z zeszytem na kolanach. Unosił lekko głowę, z uśmiechem mówił: „Dzień dobry, Delphine, co słychać?”, ale już na mnie nie patrzył. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie odwracał twarzy w moją stronę, tak jakby stracił wzrok, jakby nie potrafił określić, w którym miejscu pokoju przebywam, i zapewne tak właśnie było, nie wiedział gdzie, a zwłaszcza kim jestem. Nie odzywaliśmy się do siebie słowem, kiedy sprzątałam lub przygotowywałam mu dania w postaci papki, które przed wyjściem wstawiałam do lodówki, przykryte folią plastikową. Nie dojadł ich nigdy i po kilku dniach stało obok siebie rzędem pięć lub sześć identycznych pojemników, z których każdego ranka najstarszy wyrzucałam. Potem siadałam w rogu kanapy, Adorno podawał mi zeszyt i pióro i zaczynałam pod jego dyktando pisać, ciągnąc wątek dni spędzonych z żigolo - wciąż tę samą pieśń miłości, która nadal jeszcze, mimo że był wyczerpany, sprowadzała rumieńce na jego twarz. Pamiętam, że w zeszycie była jesień, potem zima, potem koniec zimy i któregoś ranka ze zdumieniem spostrzegłam, że mowa o ostatniej zimie, że zbliżamy się do końca. Od czasu do czasu Adorno wręczał mi listę zakupów, brałam więc Ellingtona na smycz, załatwiałam, co miałam do załatwienia, a potem przez chwilę błąkałam się po ulicach, zwlekając z powrotem. Rzeczywiście, nadchodziła

wiosna, z większą, jak mi się wydawało, siłą i szybkością niż w ubiegłych latach, i uważałam za smutne, że ostatnie życzenie Adorna nie zostało spełnione, uważałam za smutne, że deszcz nie pada aż po pierwsze dni lata, co często zdarzało się w tym mieście. Ale młode drzewa na chodnikach bujnie okrywały się pąkami i Adorno musiał czuć dobiegający z klasztornego ogrodu zapach glicynii, nawet jeśli teraz nie otwierał już okien i nie podnosił żaluzji. Mówiłam sobie, że pewnie to go chroni przed piękną pogodą, ale pewnego ranka zauważyłam, że patrzy na moje gołe nogi i stopy w sandałkach, pamiętam, że były to zwykłe plastikowe klapki - przez dłuższą chwilę nie mogł oderwać od nich oczu.

A potem któregoś dnia przyszedłam i spostrzegłam, że coś się zmieniło. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, o co chodzi: obie miski Ellingtona, na jedzenie i na wodę, zniknęły, podobnie jak jego koszyk oraz smycz z wieszaka przy drzwiach. Zaczęłam rozglądać się po mieszkaniu i Adorno, choć nie podniósł głowy, chyba zrozumiał, czego szukam, bo powiedział:

- Tak, wczoraj po twoim wyjściu przyszedł po Ellingtona jego nowy pan. A może chciałaś się z nim pożegnać, ostatni raz go pogłaskać?

- Nie, to nieważne - odpowiedziałam.

Ale potem, zmywając naczynia, pomyślałam o małym piesku, którego już więcej nie zobaczę, i nie wiem dlaczego, lecz wydało mi się, że poczułam to samo, co Adorno w dniu, kiedy zobaczył sandałki na moich bosych stopach.

## 15

Któregoś ranka przyszedłam i nie zastałam Adorna na kanapie. Ostatni zeszyt zniknął, krzesło było przewrócone, pokój pusty i od razu przypomniała mi się pani Derovitski. Zamknęłam drzwi i pobiegłam do sypialni. Serce mi waliło, ale nie bałam się, że ujrzę Adorna leżącego bez życia na łóżku, nieprzytomnego lub martwego, myślałam raczej, że zobaczę zmiętą i rozrzuconą pościel, pustą sypialnię. Wróciłabym wtedy do salonu, podniosłabym krzesło i usiadła na nim, czekając aż ktoś, sąsiad lub dozorczyńni, zapuka do drzwi i powie mi, że Adorno zeszłej nocy został odwieziony do szpitala - ale myliłam się, bo on tam był.

Leżał na łóżku w ubraniu, w swojej ulubionej niebiesko-zielonej marynarce, w butach, z twarzą zagrzebaną w poduszce jak w czasach swoich najbardziej szalonych imprez. Mimo dziennego światła spał, ale chyba nie był pijany ani odurzony trawką, bo kiedy przysiadłam na brzegu materaca, ocknął się. „To ty, Delphine” wyszeptał, odruchowo szukając mojej dłoni, a wtedy przepaść, którą kilka dni wcześniej wytworzyły między nami nasze słowa, znikła. Zamknął oczy, bo raziło go słońce. Oddychał miarowo, po raz pierwszy od dawna sprawiał wrażenie spokojnego, ja



zaś poczułam chęć, żeby odsunąć trochę jego nogi i położyć się obok.

- Długo tu jesteś? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałam ściszym głosem - przyszedłam przed chwilą. Myślałam, że pana nie ma - dodałam i przelekłam się, że mógł mnie źle zrozumieć, więc szybko wyjaśniłam: - To znaczy, że nie ma pana w mieszkaniu, że pan wyszedł.

Nie powiedziałam: „Że zabrali pana do szpitala i nawet nie byłam pewna, czy pan jeszcze wróci, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek odzyska pan zmysły”.

Ziewnął w poduszkę.

- Położyłem się dwie godziny temu - wymamrotał. - Przez całą noc kończyłem mój list. Spójrz, jest tu. - Pomacał wkoło ręką i wydobył spod prześcieradeł grube fioletowe zeszyty. -

Skończyłem go - powtórzył. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że dotarłem do końca. - Popatrzyłam na niego uważnie, nie wiedząc, czy ma na myśli swój tekst, czy co innego, tę miłość, którą niedługo odbierze mu śmierć. Może nawet miał na myśli swoje życie. Położył zeszyty obok mojej ręki; zauważyłam, że są opasane grubą gumką.

- Chciałbym, Delphine, żebyś mu je zaniósła - powiedział. - Nie wysyłaj ich pocztą. Na okładce pierwszego, zeszytu zanotowałem ołówkiem jego adres. W kopercie jest też liścik. Przynieś mi, że to zrobisz.

- Kiedy tylko pan zechce. Zaniosę je jutro. Mogę nawet dzisiaj. Znowu otworzył oczy i wolną dłonią osłaniając je od światła, popatrzył na mnie.

- Nie, nie dzisiaj. Posłuchaj, Delphine. Muszę ci coś powiedzieć, ale chciałbym, żebyś wysłuchała mnie do końca,

nie przerywając. Chcę, żebyś mi obiecała, że zaczekasz, aż skończę.

Zrobiłam to, o co prosił, wysłuchałam go w milczeniu. Nie powtórzę wszystkiego, co mi wtedy powiedział, tak samo jak nie powiem, czy długo musiał argumentować, żeby mnie przekonać. W pewnej chwili słońce padło na jego twarz i poprosił, żebym zaciągnęła zasłony; chociaż w pokoju nie było zbyt gorąco, spociłam się i pomyślałam, że musi mieć gorączkę. W półmroku usiadłam z powrotem na łóżku, a on trzymał moją dłoń i już do końca jej nie puścił; może się bał, że znowu się oddalę, że znowu wytworzę między nami ten kurtuazyjny dystans, a może potrzebował tylko czyjejś obecności obok. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście próbował odwołać się do moich uczuć, a przynajmniej do współczucia, bo bardzo szybko przeszedł do sprawy pieniędzy. Słuchając go, uświadomiłam sobie, że przygotowywał te słowa od dawna, że musiał podjąć tę decyzję wiele dni, może nawet tygodni temu. Był zdecydowany słono mi zapłacić - tyle, ile będzie konieczne, tyle, ile zażądam - za zrobienie tego, czego nie mógł zrobić sam. Wtedy właśnie, kiedy w końcu umilkł, zapytałam: „To dlatego przyszedł pan do Agencji, Adorno, o to panu od początku chodziło?”. Wyrecytowałam też jak automat: „Myślę, że myli się pan co do naszej oferty, Adorno. Próbujemy ludziom pomagać. Pomagać, żeby poczuli się lepiej. Pomagać, żeby...”.

- Zamknij się, Delphine - przerwał mi łagodnie. - Oszczędź mi swojej gadki. Nie mam czasu. Pomagać ludziom? A jak myślisz, o co innego cię proszę?

Popatrzyłam na niego. Mimo półmroku widziałam jego wychudzoną twarz z brunatnymi plamami, rozsianymi na

skórze jak na kamieniu lub ścianie, na czymś, co nie było człowiecze.

- Żebym pomogła panu się zabić - powiedziałam szorstko. - Właśnie o to mnie pan prosi, Adorno, niech pan nie myśli, że zwiedzie mnie pięknymi słówkami, przywykłam nazywać rzeczy po imieniu.

- Sądziłem, że wiesz, że rzeczy można nazywać na sto sposobów - odparował ze znużeniem. - Na sto sposobów je postrzegać i na sto sposobów nazywać. Czyż nie dokładnie na tej zasadzie działa twoja Agencja?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Nie zostawiając mi czasu na odpowiedź, mówił dalej:

- Widzisz tę kopertę tam, na stoliku nocnym? W środku są pieniądze w gotówce. Pomyślałem, że to uczciwa zapłata za to, o co cię proszę.

Podał wysokość sumy i faktem jest, że się zawahałam.

Prawdopodobnie to wyczuł, bo ciągnął:

- I nie bój się, wytłumaczę ci, jak to zrobić. To proste, zobaczysz. Rzeczy z pozoru najgorsze są zawsze najprostsze.

Poczułam, że na skronie występuje mi pot.

- Ale to zabronione, Adorno - wyszeptałam. - Chcę powiedzieć, zabronione przez prawo. A jeśli policja się dowie? Jeśli ktoś mnie wyda? Nie mam ochoty wylądować w więzieniu.

- Nie ma powodu do obaw. Nikt nie zna twojego imienia, nawet żigolo. Nikt nie zna twojej twarzy.

- Myli się pan. Sąsiad często mnie widywał. Nigdy panu nie mówiłam, ale czasami wychodził, żeby się poskarżyć na hałas. On mógłby mnie rozpoznać.

- Nie bój się, Delphine. Zresztą nawet jeśli policja czegoś się domyśli, będzie przesłuchiwała moją rodzinę, przyjaciół. Nie będzie podejrzewała, że mogła to zrobić sprzątaczką.

„Sprzątaczką - pomyślałam - więc tylko tym dla ciebie byłam”. Samą mnie zdziwiło rozgoryczenie, jakie w tym momencie poczułam. Nie odpowiedziałam. Pewnie uznał, że próbuję uzyskać więcej, jak najwięcej. Musiało go znużyć to, co brał za gierkę, a w każdym razie za pazerność, bo nagle wymienił kwotę o wiele większą, prawie dwukrotnie wyższą od wcześniejszej propozycji. Nie licząc spadku po pani Derovitski, nigdy nie miałam takich pieniędzy.

- To wszystko, co posiadam - dodał. - Co do ostatniego centa. Są w drugiej kopercie, w szufladzie stolika. Spodziewałem się, że być może będziesz chciała więcej. To pieniądze, które obiecałem mojemu żigolo. Ale widzisz, jestem tchórzem, zawsze wiedziałem, że mając do wyboru strach przed cierpieniem i spełnienie obietnicy, nie będę się długo wahał.

- No właśnie, a on? - zapytałam. - Czemu jego pan o to nie poprosi?

Odwrócił głowę i na tle bieli poduszki dostrzegłam, jak bardzo wyostrzył mu się profil, jak wyraźnie rysują się kości: odcisnęła już na nim swoje piętno śmierć.

- Nie - odpowiedział zmienionym głosem. - Chcę, żeby zapamiętał, co było kiedyś. Może to beznadziejnie sentymentalne, ale znam siebie, Delphine, chcę, żeby zapamiętał cekiny i sztuczne rzęsy, a nie samą skórę i kości, a jeszcze mniej opaskę hemostatyczną, jeszcze mniej wszystko inne, *merda* i całą resztę. Na pewno nigdy mi nie wybaczy, że nie

dostał tych pieniędzy. Ale takie jest życie, Delphine, takie jest życie.

Popatrzył na mnie i chyba wyczytał coś - zrozumienie, lęk - w mojej twarzy, z której ustąpiła wątpliwość. Chyba zrozumiał, że się zgadzam, bo wreszcie wypuścił z uścisku moją dłoń.

- I nie mów mi, że robisz to nie dla pieniędzy, ale dlatego, że nie chcesz, żebym odszedł samotnie - zakończył z wymuszonym uśmiechem. - Wystarczy, że powiesz „tak”.

I było to w rzeczy samej proste, już wiedziałam, że to, co powiedział Adorno, jest prawdą: rzeczy z pozoru najgorsze są zawsze najprostsze. Prowadząc moją rękę, kazał przyrzec, że zostanę z nim do końca, chcąc mieć pewność, że nie obudzi się nazajutrz z obłożonym językiem i bólem głowy, że wsiadł, jak to ujął, na właściwy statek. Obiecałam też, że kiedy już będzie po wszystkim, zapakuję jego rzeczy do torby i wyrzucę na śmietnik gdzieś bardzo daleko, w innej dzielnicy. Słońce za grubymi kotarami okrążyło niebo. W pewnej chwili Adorno wymamrotał: - Porozmawiaj ze mną, Delphine. Trochę się boję. A poza tym mam wrażenie, że nigdy mi nic nie powiedziałaś, spędziłaś tu tyle czasu i nic o tobie nie wiem, porozmawiaj ze mną, proszę, opowiedz mi coś.

A wtedy zrobiłam to, co zamierzałam zrobić wcześniej - zdjęłam sandaalki i położyłam się obok niego.

- Nie wiem, o czym mam panu opowiedzieć. Naprawdę nie wiem, Adorno.

- Więc zacznij od początku - szepnął. - Zawsze najłatwiej jest zacząć od początku.

Tak też zrobiłam.

- Nazywam się Delphine M. - powiedziałam. - Mam trzydzieści pięć lat. Prawie całe dzieciństwo spędziłam w przytułku, bo moja matka nie miała czasu się mną zajmować. Pracownicy były miłe, śpiewały różne wyliczanki, przyklejały plastry, kiedy któraś z nas skaleczyła się w łokieć lub kolano. Wolno nam było nazywać je nianią lub po imieniu, ale karmiły nas, kiedy mówiłyśmy na nie „mama”. Uważam, że mogły nam na to pozwolić, co w tym złego, może pan mi powie. Ale nie narzekam, pod choinkę dostawałyśmy prezenty, a latem jeździłyśmy nad morze. Mając szesnaście lat, wyemancypowałam się i odeszłam. Jedną z opiekunek, która znała mnie od dziecka, powiedziałam: „Obiecuj mi, Delphine, że przyjedziesz w odwiedziny”, i obiecałam, ale nigdy więcej tam nie pojechałam. Już wtedy wiedziałam, że będzie mi trudniej przetrwać niż innym, już wtedy miałam pewien pomysł, co powinnam zrobić, żeby nie być biedną, a w takiej sytuacji nie ma sensu oglądać się za siebie.

Myślałam, że Adorno jest nieprzytomny, lecz poczułam, jak przywiera do mojego ciała, ciepło lgnące do innego ciepła, i sennym głosem mruczy:

- To dlatego jesteś kamieniem, kamieniem, którego zapach nie potrafi wzruszyć. Mój mały kamyku, co oni z tobą zrobili? Przysunął twarz do mojej twarzy i poczułam jego słod-kawy oddech, tchnienie przejrzałych winogron, kiedy powtarzał: „Co oni z tobą zrobili, mój mały kamyku?”.

Przyłożył czoło do mojego czoła. Leżałam nieruchomo. Czas płynął. Chyba byłam już bliska zaśnięcia, kiedy się

znowu poruszył; jego ramię drgnęło, spoczęło na moim i prawie niedosłyszalnie wyszeptał: „Jesteś tu. Wiedziałem, że tu będziesz”. Zrozumiałam, że nie do mnie kierował te słowa, nie mnie wyobrażał sobie u swego boku, ale nie wyprowadziłam go z błędu, nie uchyliłam się, kiedy poszukał ustami moich ust, nawet jeśli wcześniej nie było o tym mowy. „To mój prezent dla ciebie, Adorno”, pomyślałam i przypomniałam sobie panią Derovitski, której pościel wygładziłam nazajutrz po jej wylewie, żeby odpędzić wspomnienie nocnych koszmarów. Pocałunek Adorna był namiętny, poczułam w ustach jego język, jego ślina wymieszała się z moją, ukąsił łagodnie moje wargi, a potem znowu przytulił twarz do mojej twarzy i jego oddech na mojej skórze zaczął stawać się coraz bardziej nieregularny.

Nie patrzyłam na niego. Nigdy więcej nie spojrzałam na jego twarz. Ze wzrokiem utkwionym w coraz ciemniejszym prostokącie okna za kotarami, nie myślałam o niczym, tylko o smaku w moich ustach, który zdawał się nie ustępować, odwrotnie, robił się coraz bardziej intensywny, niemal namacalny, jakby był jasną i zwartą żywicą. Wydawało mi się, że się duszę, i zadawałam sobie pytanie, czy poczuję jeszcze kiedyś w ustach smak inny niż warg Adorna.

Dużo później, wciąż nie patrząc na jego twarz, przyłożyłam, tak jak mi pokazał, dwa palce do jego szyi i wstałam. Zabrałam obie koperty, tę z nocnego stolika i tę z szuflady. Ale nie dotrzymałam obietnicy. Nie wzięłam fioletowych zeszytów, żeby je przekazać żigolakowi; uznałam, że to zbędne,

poza tym dopóki Jones nie dowie się o śmierci Adorna, dopóty nie będzie próbował dociec, co stało się z jego pieniędzmi. „Jedna niedotrzymana obietnica za inną - pomyślałam pod adresem Adorna - takie jest życie, sam pan to powiedział”.  
Ale również się ich nie pozbyłam. Nie wrzuciłam ich do kubła na śmieci, nie zabrałam do domu, żeby potem podrzeć albo spalić. Sama nie wiem dlaczego. Włożyłam je do szuflady razem z broszurami i starymi rachunkami, mówiąc sobie, że ten, kto je potem znajdzie, uzna je za rodzaj osobistego dziennika. I podobnie jak piętnaście lat temu u pani Derovitski, opuściłam pogrążone w ciszy mieszkanie, mieszkanie, wydawałoby się, puste, pozostawiając w nim słowa miłości ukryte, ale nie zupełnie.



## 16

Wróciłam do Agencji, wciąż trzymając w ręce plastikową torbę z rzeczami Adorna - nie wiedziałam, jak nazwać to inaczej niż jego rzeczami. Mijałam wiele śmietników, ale ciągle nie mogłam się zdobyć na to, żeby je wyrzucić, wciąż powtarzałam sobie: „w następnym” i w końcu ich nie wyrzuciłam. Pomyślałam, że wyjdę jeszcze raz, kiedy zrobi się ciemno, a jednak bałam się, czułam irracjonalny strach, że policjanci wyważą drzwi, znajdą torbę oraz to, co nieuchronnie uznają za dowody mojej winy, i wyląduję w więzieniu.

Marja poszła już do siebie. Zapaliłam wszystkie lampy i górne światła, i nie zdjawszy nawet płaszcza, zadzwoniłam do niej. Powiedziałam, że wyjeżdżam na kilka dni, że przypadkowo spotkałam na ulicy dawną przyjaciółkę, która zaprosiła mnie do swojego domu na wsi. Sprawiała wrażenie zdziwionej, ale tonem zachęty powiedziała:

- Ależ oczywiście, niech pani jedzie. Nigdy pani nie odpoczywa, dobrze pani zrobi trochę świeżego powietrza. Może pani być spokojna, wszystkim się zajmę.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam do swojego mieszkania. Bolała mnie głowa. W sypialni usiadłam na łóżku, z plastikową torbą na kolanach. Kiedy ją macałam, czułam pod

palcami jakiś miękki materiał, może pościel, może bieliznę, i jeszcze coś innego, podzwaniające o siebie flakony. Przecięłam plastik paznokciem i poczułam lekki zapach perfum, a także woń przejrzałych winogron, jakby oddech Adorna. Zrzuciłam sandaalki, rozebrałam się i położyłam do łóżka. Torba leżała obok, przy poduszce. Kiedy nie czułam już żadnego zapachu, wystarczyło mi nacisnąć torbę i znowu wydobywała się z niej fala nowych woni.

Przez trzy dni nie opuszczałam mieszkania. Pilnowałam się, żeby nie zapalać światła, nie spuszczać wody, nie robić najmniejszego hałasu. Nadal bolała mnie głowa. Chyba złapałam przeziębienie, mówiłam sobie, to śmieszne, taka ciepła wiosna. Nie poprosiłam Marji, by poszła i kupiła mi lekarstwa. A przecież jestem pewna, że z przyjemnością by mnie pielęgnowała, na pewno podawałaby mi gorące mleko jak Titouanowi, kiedy miał gorączkę, na pewno widząc mnie tak osłabioną, sama poczułaby się silniejsza. Nie wiem dlaczego, ale - jak chore zwierzę - wołałam zostać sama. Rozchylałam zasłony od strony podwórka i obserwowałam, jak wraz z upływem godzin kraty za oknem zmieniają kolor, przechodząc z głębokiej czerni w prawie pastelową szarość. Za drzwiami działowymi, które zamknęłam na klucz, słyszałam, jak Marja rozmawia przez telefon, czasami śmieje się i nuci, kiedy jest sama. Słyszałam, jak przychodzi rano i wychodzi wieczorem, jak opuszcza Agencję w ciągu dnia, kiedy ma spotkanie na mieście.

Trzeciego dnia była niedziela. Późnym popołudniem zmusiłam się do wstania z łóżka. Ubrałam się, wzięłam plastikową torbę, poszłam o dziesięć ulic dalej i wyrzuciłam ją do

kosza na śmieci. Nie dobywał się z niej już żaden zapach, w każdym razie żadnego nie czułam, i być może na to właśnie czekałam: żeby ulotniły się ostatnie ślady zapachu Adorna. Wracając, zauważyłam, że obsadzone drzewami chodniki pokrywa tak gruba warstwa płatków kwiatowych, że wygląda jak śnieg. Piękny dzień, pomyślałam, ale teraz już nieważne, że świeci słońce, bo nie ma Adorna i nie cierpi z powodu jego światła.

*Adorno*

*Pięćdziesiąt siedem tysięcy osiemset pięćdziesiąt euro.*

Pojechałam do Jonesa autobusem. Kiedy wsiadłam, jakiś staruszek wstał i ustąpił mi miejsca; podziękowawszy mu skinieniem głowy, usiadłam, a potem zamknęłam oczy, bo domyślałam się, że miałby ochotę porozmawiać. W normalnych warunkach odbyłabym drogę na stojąco, ale brzuch nadal bardzo mi ciążył. Pół godziny później wysiadłam w ubogiej dzielnicy, znanej mi wyłącznie z nazwy.

Niedaleko przystanku autobusowego znajdował się mały sklepik spożywczy; oprócz paru puszek z konserwami, proszku do prania i skrzynek pomarańczy nic więcej w nim nie było. Za kasą siedział ciemnoskóry chłopak, słuchając starego radia. Wyglądał na znudzonego. Na moje pytanie o drogę odpowiedział mi, nie odrywając wzroku od radioodbiornika. Ulica, przy której mieszkał Jones, była wąska, z obu stron okolona strużkami ciemnej wody, z której wyrastały jakieś brunatne chwasty. Domofon nie działał, wielokrotnie naciskałam guziczek, w odpowiedzi słysząc tylko słabą skargę, a potem pchnęłam drzwi, które się otworzyły. Wchodząc po schodach, pomyślałam ukradkiem o pieniądzach, które Jones miał odziedziczyć i których przeze mnie nie dostał. „Wystarczyło tam być - mówiłam sobie w duchu - wystarczyło tylko postarać się, by tam

być. Jak myślisz, co innego się przez te wszystkie lata robiłam? Zawsze starałam się znaleźć dokładnie tam, gdzie trzeba i kiedy trzeba. Myślisz, że życie robi prezenty? Nie, życie nie robi prezentów". Nie czułam się ani trochę winna, przypominałam sobie chwilę, gdy wyjęłam z szuflady kopertę z napisem „Jones”, i gdyby było trzeba, zrobiłabym to jeszcze raz. Zastanawiałam się tylko, dlaczego Jones nie znalazł sobie innego zamożnego kochanka, innego protektora. Od śmierci Adorna minął już rok, miał czas, żeby uwieść kogoś innego, mężczyznę lub kobietę. Przez okno na klatce schodowej dostrzegłam na podwórzu gąszcz hortensji i zdziwiło mnie, że któryś z lokatorów tak wytrwale próbuje wnieść do tej rudery ich ubogie piękno. Na drugim piętrze, zgodnie ze wskazówkami Jonesa, zapukałam do drzwi z prawej strony. Musiałam długo czekać, zanim mi otworzył, możliwe, że go obudziłam. Miał wymizerowaną twarz i w pośpiechu przygładzone włosy. Był ubrany w cienką koszulę we wzory równie barwne jak jego portmonetka, liście lub kwiaty, nie chciałam zbyt natarczywie wpatrywać się w materiał, ale skojarzył mi się z przyjęciem, na którym Jones poznał Adorna, z ogrodem nad rzeką, małą dżunglą, gdzie Adorno stracił przytomność i ocknął się po raz pierwszy z dłonią w dłoni młodego mężczyzny. Czy to tę historię, rozmyślałam, teraz nosił na sobie Jones, czy to z tymi pamiątkami - wspomnieniem tamtego przyjęcia - nigdy się nie rozstawał, jednego dnia ta koszula, innego zeschnięty liść w kieszeni spodni albo w portfelu zdjęcie aktorki, z którą wtedy przyszedł. Miał podwinięte rękawy i szczupłe ramiona. Sprawiał wrażenie zmęczonego,

znieciepliwionego, w uśmiechu, którym mnie przywitał, nie było cienia uprzejmości. Cofnął się, zapraszając gestem, żebym weszła.

Mieszkanie było małe, z powodu zaciągniętych zasłon pogrążone w półmroku i wypełniał je ten sam, co na klatce schodowej, słodkawy zapach wilgoci i curry. Pierwszy pokój był salonem, pomalowanym na ciemny beżowoszary kolor, stała tu czerwona kanapa oraz dwa, również czerwone, fotele, a to z kolei skojarzyło mi się z moim sobowtórem, z czerwoną suknią i czerwonym kapeluszem wysłanniczki gier wideo Yarola.

- Nie byłem pewny, czy pani przyjdzie - rzucił za moimi plecami, na co wzruszyłam ramionami.

- Tak naprawdę nie zostawił mi pan wyboru. Przewiska, pogróżki... - nie wydaje mi się, żeby decyzja należała do mnie.

Rozglądałam się wokół z większym zaciekawieniem, niż wypadało mi okazać. Jones chyba to zauważył, bo powiedział:

- Wynająłem je, kiedy tylko zdobyłem środki, żeby mieć własny kąt. Miałem dziewiętnaście lat. Często mieszkałem w szykowniejszych mieszkaniach, ale to zachowałem. Tutaj zawsze wracam w okresach gorszej passy. Pootwieram okna, trochę zamiotę i mam wrażenie, że nigdy się stąd nie ruszałem.

Nie zaproponował, że mi je pokaże, odwrotnie niż inni klienci, którzy starają się mnie zaprowadzić do swojej sypialni, do swojej łazienki, którzy otwierają szuflady i pokazują mi stare zdjęcia, jakby uważali, że ta odrobina, którą będziemy dzielić, czyni ze mnie członka rodziny,

a przynajmniej bliską przyjaciółkę. Dodał tylko z bladym uśmiechem: „Hortensje zawsze na mnie czekają” i ze zdziwieniem dowiedziałam się, że to on jest ogrodnikiem, marzycielem, który hoduje na podwórzu te kwiaty.

- Proszę usiąść - ciągnął. - Doradzam kanapę, bo sprężyny foteli są mocno sfatygowane. Napije się pani kawy, wody?

- Poproszę kawę - odpowiedziałam.

Poszedł do kuchni. Przez uchylone drzwi widziałam bojler, obwieszony girlandami sztucznych kwiatów, z rodzaju tych, jakie oferują hinduskie sklepiki, małą lodówkę, oklejoną karteczkami samoprzylepnymi, stół z zielonej sklejki; pomieszczenie, w którym z powodzeniem mogłyby jadać dzieci lub studenckie pary, w każdym razie istoty szczęśliwsze, niż zdawał się być Jones.

Posłuchałam jego rady i usiadłam na kanapie. Pluszowe obicie było wytarte i pachniało ciepłym kurzem. Siedzisko znajdowało się zbyt nisko, moje kolana zbyt wysoko i czułam się tak, jakbym trzymała na udach coś ciepłego i zawadzającego, piłkę lub wełniany pled, ale nie próbowałam usiąść wygodniej. Bałam się, że Jones zauważy moją nieporadność, że zorientuje się, jak bardzo ten brzuch jest mi obcy; nie nauczyłam się jeszcze z nim poruszać, byłam słabą tancerką, z tych, co to liczą kroki, no i nigdy nie miałam dość czasu, by zgrać własne ruchy z ruchami mojej maleńkiej partnerki. Usłyszałam, jak Jones otwiera lodówkę, nastawia wodę, a potem zalewa nią neskę. Wrócił i podał mi filiżankę. Odbierając ją z jego rąk, zauważyłam na powierzchni kawy dziwną szarą pianę i pomyślałam, czy to aby nie jakiś magiczny napój, mający mnie zmusić do



mówienia prawdy, ale zaraz upomniałam się: „Przestań fantazjować”.

- Muszę pana o coś zapytać - zaczęłam. - Czy posiada pan jakikolwiek dowód stosunków łączących pana, jak pan utrzymuje, z Adornem? Coś, co własnoręcznie napisał, list, zdjęcie?

Nie odpowiedział, tylko podszedł do małego stolika z marmurowym blatem w rogu pokoju i sięgnął po stojące na nim, oparte o pusty wazon zdjęcie. Nie było oprawione, tak jak zdjęcie w mieszkaniu Adorna, w srebrną ramkę, tylko w złożoną na pół kartkę pergaminu, który chronił je przed kurzem, ale również prawie całkiem zasłaniał.

Wróciwszy, wręczył mi zdjęcie. Ono również było kiepskiej jakości, prześwietlone i trochę zamazane, ale od razu rozpoznałam obu widocznych na nim mężczyzn. Drobniejszym z nich był Jones; obejmował drugiego mężczyznę, który wysuwał do obiektywu język różowy i spiczasty jak u kota - Adorna, zanim choroba nie stoczyła jego ciała, nie pokryła jego skóry brunatnymi plamami. Mimo pełnych policzków, mimo mięsistych i umalowanych ust, natychmiast go rozpoznałam. Sam Jones niewiele się zmienił, tyle że był trochę młodszy, mniej sfatygowany, mniej zmęczony życiem. Oddałam mu fotografię, którą z powrotem odstawił na stół, wpierw wsunawszy ją starannie w pergaminową osłonę.

- Chciałabym też wiedzieć, jak udało się panu nas znaleźć - ciągnęłam. - Pytam o to, bo bardzo przestrzegamy zasady pełnej poufności.

„Naprawdę nie powinieneś nigdy wejść w posiadanie tych listów” - pomyślałam - nie powinieneś nawet wiedzieć

o ich istnieniu, tak starannie je ukryłam w tej szufladzie, w której znajdowały się tylko różne nieważne szpargały. Kto domyślił się, że nie są to zwykłe bruliony, kto domyślił się, że to ty jesteś ich adresatem, kto zadał sobie ten trud, żeby cię odszukać?"

Po raz pierwszy Jones uśmiechnął się, jakby nie wychwycił nuty podejrzliwości w moim pytaniu, tylko wciąż jeszcze czuł ulgę i satysfakcję z powodu pomyślnego zakończenia poszukiwań.

- Nie było to łatwe. Wiedziałem, że Adorno kogoś zatrudnił, sprzątaczkę, damę do towarzystwa, nie pamiętam już, jakiego określenia użył, i że ta osoba pomagała mu w pisaniu.

Pomyślałem, że tylko ona jedna będzie mi w stanie pomóc je przepisać. Są prawie nieczytelne, a w czytaniu nigdy nie byłem mocny. - Tu przerwał, po raz pierwszy zmieszany, a mnie przypomniały się moje trudne początki u pani Derovitski, tak odległe już kursy wieczorowe. - W ciągu roku odwiedziłem wszystkie agencje oferujące tego typu usługi. Wziąłem książkę telefoniczną i skreślałem jedną po drugiej. Umawiałem się na spotkanie, opowiadałem tę samą historię, którą usłyszała pani, obserwowałem twarze pracowników. Przywykłem przeglądać ludzi na wylot. Byłem w dziesiątkach agencji, ale żadna nie była tą, o którą mi chodziło. Prawdę mówiąc, zaczynałem się już zastanawiać, czy Adorno pani nie wymyślił.

Z trudem ukryłam zaskoczenie. Ja również myślałam, że Adorno - ze strachu przed śmiercią, spragniony pociechy - wymyślił sobie tego kochanka. Jakie to dziwne, że oboje uważaliśmy się nawzajem za wytwór wyobraźni Adorna. Choć może tak właśnie jest - pomyślałam - może istnieje-

my tylko w wyobraźni zmarłego, którego marzenia przetrwały".

- Kiedy weszła pani do poczekalni, od razu wiedziałem, że to pani

- ciągnął. - Wyglądała pani dokładnie jak kobieta, o której mi mówił Adorno. Nawet jeśli pewnych rzeczy nie brałem pod uwagę. Że oczekuje pani dziecka. Że jest pani ładna.

Popatrzył na mnie z uśmiechem, ja zaś poczułam, że jego słowa trafiają w jakieś czułe miejsce we mnie, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam, zaraz jednak zachnęłam się, że reaguję na tak banalne pochlebstwo.

- Dziękuję, że odpowiedział pan na moje pytania, panie Jones - powiedziałam chłodno. - A teraz proszę mi powiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje.

Odchylił się na oparcie fotela, splótł ręce na karku, i nie mogłam się powstrzymać, by nie zerknąć na trójkąt opalonego ciała w zgięciu ramienia.

- Już pani mówiłem - powtórzył cierpliwym, niemal łagodnym tonem, jakby próbował przemówić do rozsądku upartemu dziecku. - Chcę, żeby pani przepisała te zeszyty, ale przede wszystkim, żeby je pani uzupełniła. Chcę, żeby pani zanotowała, co robił Adorno pod sam koniec, kiedy był już zbyt chory, żeby pisać. Chcę wiedzieć, co mówił, co robił, co jadł. Czy dobrze sypiał, czy go bolało. Czy opowiadał pani o mnie.

- Zanim przejdziemy dalej, chciałabym zaznaczyć, że Adorno nie zatrudniał mnie aż do samej śmierci - skłamałam. - W marcu oświadczył, że nie jestem mu już potrzebna i że woli zaangażować pielęgniarkę. Nie wiem, co się działo później.

- Nie wie pani?
  - Wiem tylko, że między marcem i latem umarł. Ostatni rachunek wrócił do mnie w lipcu z adnotacją „nie żyje”.
  - Zmarł na niewydolność płuc - powiedział Jones.
  - Piętnastego maja. We czwartek.
  - Tak mi przykro - powiedziałam oficjalnym, przyciszonym tonem, jakiego zwykle używam w podobnych sytuacjach. Jones obserwował mnie w półmroku pokoju. Wytrzymałam jego spojrzenie, po czym uniosłam do ust filiżankę. Szara pianka miała smak cukru i sztucznej śmietanki.
  - Pracowała pani u niego przez cały rok - ciągnął.
  - Z pewnością opowiadał pani o wielu rzeczach. Widzi pani, obracałem się wśród bogatych ludzi. Mówili zawsze, że najlepiej zna ich własna sprzątaczką.
- Spuściłam oczy. „Sprzątaczką” - takiego określenia użył Adorno: „Policja nie będzie podejrzewała sprzątaczkę”, powiedział, a mnie to bardzo zabolalo, co było idiotyczne, bo trzymania ścierki nigdy nie uważałam za bardziej uwłaczające od trzymania książki. Mimo to nie mogłam się powstrzymać, by nie zaoponować:
- Naprawdę to nie byłam sprzątaczką.
- Zamiast odpowiedzi Jones tylko się uśmiechnął, ale równie dobrze mógłby powiedzieć: „Ja jestem żigolakiem, a pani jest sprzątaczką, oboje robimy to, co nam każą robić, po co ta zabawa w słówka”.
- Po raz ostatni powtarzam - powiedziałam - że nie pamiętam pańskiego przyjaciela. Nie może pan ode mnie żądać, żebym wymyśliła wspomnienia, bo to nie miałyby najmniejszego sensu. Naprawdę nic nie pamiętam.

Nie wiem, skąd Jones czerpał przekonanie, że wbrew temu, co twierdziłam, zapamiętałam wszystko, co robił Adorno. I uświadomiłam sobie, że był obdarzony tą samą co ja zdolnością czytania w myślach ludzi, mimo najbardziej gwałtownych zaprzeczeń z ich strony. Każdy na jego miejscu już by zwątpił, dał za wygraną, pogodził się z tym, że fioletowe zeszyty to złudna obietnica, chimera, ale on nie stracił pewności siebie, nie wyglądał nawet na zmieszanego. Pokiwał tylko palcem, jakby mnie ostrzegał.

- Delphine, Delphine - powiedział. - Dlaczego pani kłamie? Jestem pewny, że pani pamięć, ta śliczna główka, to mała maszynka rejestrująca. Wystarczy nacisnąć klawisz i wszystko wyskakuje z dokładnością co do minuty, dzień po dniu, godzina po godzinie.

- Do czego jestem panu potrzebna? - zapytałam szorstko. - Z jakiego powodu te zeszyty są takie ważne? Przecież wszystkie te dni, wszystkie te godziny musi pan dobrze pamiętać, bo jestem pewna, że pan również jest maszyną, która wszystko rejestruje. Nie jestem panu potrzebna - chyba że Adorno tak znów pana nie kochał, że łączyło was mniej, niż pan utrzymuje, że był pan tylko drobnym epizodem w jego życiu. Być może nie jedynym. Chcę powiedzieć, nie jedynym mężczyzną w jego sercu. Być może to tego drugiego mężczyznę należałoby odszukać, żeby odtworzyć ostatnie dni Adorna.

Nie wiem, skąd ta sugestia, skoro myślałam: „Dlaczego nie przyznasz, że szukasz czegoś zupełnie innego, śladu dnia, kiedy cię przy nim nie było, zwłaszcza tej chwili, gdy czyjaś dłoń wbiła mu igłę w żyłę, zabrała kopertę

z nocnego stolika, ukryła fioletowe zeszyty w szufladzie, licząc, że nikt ich nie będzie tam szukał.

Gniew - mówię „gniew”, bo nie wiem, czym było uczucie, które odmalowało się wówczas na twarzy Jonesa - był tak gwałtowny, że się przeraziłam, ale poczułam coś jeszcze, to samo zmieszanie, ten sam wstrząs co za naszym pierwszym spotkaniem. Jones wstał, okrążył niski stolik i usiadł obok mnie. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, tak blisko, że widziałam szramę na jego prawym policzku, brązowe plamki w tęczęwce oka, jedną tak dużą, że zakrywała prawie całą źrenicę. Potem westchnął i poczułam woń kawy w jego oddechu.

- Nie ma pani bladego pojęcia o tym, co nas łączyło, Adorna i mnie. Zabraniam pani nas osądzać. Dotarło?

Strach musiał we mnie wziąć górę nad innymi uczuciami, bo bez słowa skinęłam tylko głową. Jones wyciągnął rękę i ujął mój podbródek w dwa palce, nie brutalnie, ale też i nie łagodnie.

- Dyskusja skończona, Delphine - oświadczył. - Niech pani zapamięta, co powiedziałem wczoraj: nie ma pani wyboru. W pani interesie nie leży, żeby pani pokątny biznes został ujawniony. Nie jest pani niczym więcej, jak prostytutką, stręczycielką w każdym tego słowa znaczeniu.

Poczerwieniałam. Nikt mi jeszcze nigdy tak nie groził, od nikogo nie usłyszałam, że Agencja „Dla Was” jest czymś haniebnym, nawet najbardziej gwałtowne wyrzuty klientów były zawsze zabarwione niejakim szacunkiem.

- Ja też wiem, czym pan się zajmuje - odcięłam się z wysiłkiem. - Adorno mi powiedział. Znam pańskie na-

zwisko, wiem, gdzie pan mieszka. Mogłabym wezwać policję. Znam prawo równie dobrze jak pan.

- Wezwać policję i co im powiedzieć, *cara?* - spytał ze słodkim, a zarazem jadowitym uśmiechem. - Owszem, bogaci ludzie dają mi pieniądze. Ale ja nie każę im podpisywać umów, nie prowadzę kupieckiej księgowości. Nie znajdzie pani tutaj nic, co mogłoby zainteresować policję. Ale w pani przypadku, dam głowę, jest inaczej. Tak, dam głowę, że pani śliczne biuro jest pełne starannie posegregowanych akt, jest pani tego typu kobietą, ma to pani wypisane na twarzy. Nie mam racji?

Nie odpowiedziałam. Myślałam o umowach, z których byłam taka dumna, o polaroidowych zdjęciach klientów podpiętych do każdej fiszki, o kopiach przechowywanych u notariusza. Jones odwrócił głowę, a potem znowu się do mnie nachylił, ja zaś jak idiotka pomyślałam, że chce mnie pocałować. Ale on tylko otworzył moją torebkę, włożył do środka zeszyty i przewiesił mi pasek przez ramię.

- Ot co, droga Delphine. Zajmie się pani tym, o co proszę, bez dalszych ceregieli. Za tydzień lub dziesięć dni będziemy mogli o wszystkim zapomnieć, zapomnieć nawet o tym, żeśmy się w ogóle spotkali.

Z wielkim trudem dźwignęłam się z kanapy - nie byłam już dłużej w stanie ukrywać nieporadności ruchów, obcości mojego brzucha. Roztrzęsionymi rękami zapięłam płaszcz.

- Wydaje się panu, że wie, kim jestem - powiedziałam. - Ale myli się pan. A pańskich pogroźek wcale się nie boję.

Miałam uczucie, że się duszę, sama nie wiedziałam, czy ze złości, czy z upokorzenia. Jones popatrzył na mnie z okrutnym uśmiechem.

- Że wiem, kim pani jest? - odpalił. - Nie sędzę, żeby tak znów było się czego dowiadywać. Zresztą, mam pani powiedzieć prawdę? Pani mnie kompletnie nie interesuje.

Wzruszyłam ramionami. Nie wiem, jaką resztką sił, w jakim zawodowym odruchu zdołałam powstrzymać się od zrobienia tego, co bym najchętniej w tym momencie zrobiła: od spoliczkowania tego dwulicowego faceta, plunięcia mu w twarz, zwymyślenia. Zamiast tego skinęłam mu głową na pożegnanie i wyszłam. Schodząc po schodach, nie rzuciłam nawet okiem na kwitnące hortensje. Byłam już na dole, kiedy zorientowałam się, że zapomniałam wystawić Jonesowi rachunek za konsultację na kwotę pięćdziesięciu euro; zirytowało mnie to, ale i uspokoiło, tak jakbym z powrotem przypomniała sobie, co w istocie się liczy; zanotowałam w pamięci, żeby zażądać od niego tej sumy przy najbliższej wizycie. Nie stanęłam na przystanku przed sklepem spożywczym, postanowiłam pójść pieszo, a idąc, próbowałam obmyślić jakiś plan ratunkowy, rozwiązanie awaryjne, nic mi jednak nie przychodziło do głowy. „Możesz wszystkim opowiadać, że interesują cię ostatnie dni Adorna - rozmyślałam - wszystkim, ale nie mnie. Zeszyty? Świadectwa miłości? Szukasz tylko pieniędzy, które ci obiecał. Nie jesteś taki, jak moi klienci, Jones, nie kolekcjonujesz pukli włosów, spreparowanych listów, wymyślonych pożegnań, masz w nosie to, co było i minęło, co skończyło się, co zostało pogrzebane” - i z zaskoczeniem stwierdziłam, że powtarzam coś, z czym nigdy się nie zgadzałam, kiedy mówił to Adorno: „Jesteś taki jak ja, Jones, jesteś taki jak ja, kochasz pieniądze, kochasz tylko siebie”.



Zorientowałam się, że idąc, mówię głośno: „Nigdy nie zwrócę ci tego, co uważasz za swój spadek, nigdy nie pozwolę ci zniszczyć tego, na co przez dwadzieścia lat ciężko pracowałam”, ale nawet wtedy wiedziałam, że myślę o pieniądzach, żeby nie myśleć o Jonesie, o Jonesie, który zdołał zachwiać moją obojętnością na strach i przyjemność. A potem zaczerpnęłam głęboko powietrza i zwolniłam kroku, bo bawiące się na chodniku dzieci wpatrywały się we mnie ze zdumieniem. „Źle się to wszystko skończy”, powiedziałam sobie i przypomniały mi się motyle czy muszki, które zdawały się towarzyszyć Jonesowi, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy w parku.

Na nic się nie zdała cała staranność, z jaką się zabezpieczałam, bo miłość i śmierć wkraczały dziś w moje życie ręka w rękę, niczym para starych przyjaciół.

## 18

Nie wiem, jak długo tak wędrowałam. Nie płakałam, ale piekły mnie oczy, i na próżno wypatrywałam przystanku autobusowego, marzyłam o jego daszku z pleksi i brudnych pomarańczowych ławkach i gdyby jakiś staruszek ustąpił mi miejsca, z wdzięcznością bym z niego skorzystała, byłabym gotowa nawet go wysłuchać, jeśliby miał ochotę porozmawiać. Byłam tak zmęczona, że co rusz potykałam się mimo pantofli na płaskich obcasach, do których noszenia zmuszała mnie pani Soignes, samo miasto zaś wydawało mi się coraz bardziej obce, budynki coraz bardziej zdewastowane. Rozdzielały je skrawki ziemi, porośnięte chwastami i kwitnącymi krzewami; mimo potłuczonych butelek i plastikowych reklamówek, mimo smrodu uryny przywodziły mi na myśl ogród, w którym Adorno spotkał Jonesa - ta sama płatanina zieleni, ten sam klimat rozpasania, w pewnej chwili dostrzegłam nawet oparte o mur dwie postaci, zwrócone do siebie twarzami, tak ciasno z sobą splecione, że nie mogłam rozpoznać, czy to kobieta i mężczyzna, czy dwóch mężczyzn. Kątem oka dostrzegłam tylko ich nagie nogi i odwróciłam wzrok.

Skuter musiał jechać za mną już od dłuższej chwili, powoli i z pomrukiem silnika tak nikiłym, że tonął w hałasie

ruchu drogowego, cicha muzyka, na którą nie zwracałam uwagi, piosenka, która bardziej koła, niż zakłócała spokój, a może byłam po prostu zbyt roztrzęsiona, żeby ją usłyszeć. Ulica, którą wędrowałam od wyjścia z mieszkania Jonesa, nagle się zmieniła, asfalt był poślizgony, spękany, droga sprawiała wrażenie nieuczyszczanej. Z wahaniem zatrzymałam się przy krawężniku, a wtedy skuter podjechał i zagroził mi drogę.

Był to stary czerwony jednośląd, a jego kierowca miał na głowie kask przypominający wojskowy hełm, metalowy kołpak z rzemieniem pod brodą, który nie zasłaniał twarzy. Stałam jednak pod światło i nie widziałam jego rysów. Oczy miał ukryte za lotniczymi goglami.

- Zgubiła się pani - powiedział.

Było to nie tyle pytanie, ile stwierdzenie faktu. Podjechał bliżej, a ja przycisnęłam do siebie torebkę. W ciągu tych wszystkich lat wyszłam obronną ręką z tysiąca niebezpiecznych sytuacji, ale wtedy nie miałam tego wielkiego brzucha, tych zaczerwienionych od łez oczu i smug tuszu na policzkach, nie poruszałam się tak niezdarnie. Wydawało mi się, że jedno i drugie czyni mnie równie bezradną.

- Nie, nie zgubiłam się - odparłam obojętnym tonem. - Szukam najbliższego przystanku autobusowego.

- Źle go pani szuka. Mogłaby pani iść tak godzinami. Pętla autobusowa znajduje się w przeciwnym kierunku, o dwadzieścia minut drogi stąd. Zgubiła się pani, Delphine.

Usłyszawszy swoje imię, zdziwiłam się, próbowałam dojrzeć oczy młodego mężczyzny ukryte za goglami, lecz wciąż oślepiało mnie słońce, więc zesłam z chodnika, żeby

go lepiej widzieć. Głos wydawał mi się znajomy, ale nie mogłam go skojarzyć z osobą. „Może to Jones - pomyślałam nagle - może chciał się upewnić, czy znalazłam drogę, może wyszedł, żeby sprawdzić, czy się dobrze czuję, przeprosić mnie, pocieszyć”. Na tę myśl nie wiedzieć czemu ogarnęła mnie wielka radość, tak źle się rozstaliśmy, jeszcze przed chwilą go nienawidziłam, ale teraz, w tym momencie miałam ochotę się roześmiać, ująć w dłonie jego twarz. Powiedzieć: „Tak, zgubiłam się, na szczęście przyjechałeś”. Przypomniała mi się moja dzisiejsza niedyspozycja w biurze, w gruncie rzeczy nikt, no może tylko Marja, się mną nie przejmował, tylko ja przejmowałam się innymi i nie mogłam nawet liczyć na nagrodę, bo mi za to płacili, nie mogłam sobie nawet na pocieszenie powiedzieć, że jestem dobra czy wspaniałomyślna. Słońce przesunęło się w prawo i skryło za dachem budynku. Już się rozpogodziłam, zapomniałam o zmęczeniu, nie próbowałam nawet zrozumieć, skąd u mnie ochota do takiego śmiechu, śmiechu lekkiego jak dzwonek, i wtedy ujrzałam kasztanowe włosy, bladozielone oczy, uśmiech jak zwykle sprawiający wrażenie nieco wymuszonego. To był Yarol.

Poczułam, jak uśmiech zastyga mi na ustach, jak dźwięczny śmiech zamiera mi w piersi. Szybko uniosłam rękę, żeby zetrzeć ślady tuszu. W tym metalowym kasku Yarol rzeczywiście miał w sobie coś z żołnierza, wojskową minę, a może triumfalną, jak po pomyślnie zakończonej misji, lecz kiedy dostrzegł wyraz mojej twarzy, jego uśmiech przygasł.

- Czekala pani na kogoś innego - powiedział, a ja potrząsnęłam głową.

- Wcale nie - skłamałam. - Zaskoczyłeś mnie swoim widokiem, i tyle. Nie wiedziałam, że masz skuter.

Spuścił wzrok, przejechał palcem po kierownicy.

- Matka mi go wczoraj kupiła - powiedział - żebyś częściej wychodził z domu. Chciała mi kupić nowy, razem z takim nowoczesnym kaskiem, który zakrywa twarz, ale nie chciałem. Chciałem mieć skuter i kask, które już swoje zwojowały, rozumie pani.

Kiwnęłam głową, mimo że ta historia ze skuterem i kaskiem zupełnie mnie nie obchodziła. „Co ty wiesz o wojnie - pomyślałam ponuro - ledwie wyrosłeś z dzieciństwa”. Czasem zapomniałam, że ja sama zaczęłam pracować, mając szesnaście lat, a wtedy to rzeczywiście była wojna, bo jak inaczej nazwać to, co wtedy przeżywałam.

- Co robisz w tej dzielnicy? - zapytałam, rozglądając się dookoła. Szosa była tak wyboista, że jego skuter dalej by już nie pojechał, zagony chaszczy między zrujnowanymi budynkami były usiane strzykawkami i zużytymi prezerwatywami. - Znasz kogoś, kto tu mieszka?

Spojrzał na mnie, rozpinając rzemień kasku, a kiedy go zdjął, zauważyłam, że włosy na czole ma sklezione potem, jakby spał na słońcu.

- Nie - odpowiedział z tą szczerością, która czasem mnie wzruszała, a czasem irytowała, bo Yarol jeszcze nie zrozumiał, że trzeba umieć kłamać, że świat opiera się na kłamstwie i że zbyt wiele prawdy puściłoby go z dymem jak słomiany domek. - Nie, jechałem za panią od Agencji do przystanku autobusowego, potem pojechałem za autobusem i poczekałem pod domem. Nie zauważyła mnie pani, wychodząc. Płakała pani.

- Wcale nie płakałam - zaprzeczyłam oschle - i nie lubię, kiedy mnie śledzisz, Yarol. Przyjechałam zobaczyć się z klientem, życie innych cię nie dotyczy.

- Ale pani życie tak - odparł z powagą - i dlatego tu jestem. Wiedziałem, że ma pani kłopoty, Delphine. Że jest pani zgubiona, tak, zgubiona.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu, on zaś, odgarnąwszy wilgotne kosmyki z czoła, nałożył z powrotem kask i tym samym poważnym tonem ciągnął:

- Pani sobowtór w „Yours”. Pani postać w czerwonej sukni i czerwonym kapeluszu dziś rano źle się czuła. Bardzo źle. Jak zawieszona na nitce. Dlatego pomyślałem, że może mnie pani potrzebować.

Wzruszyłam ramionami, zawróciłam i powędrowałam na przystanek autobusu, ale nogi miałam ciężkie i czułam się wykończona. Yarol jechał za mną, nie włączając silnika: toczył po prostu skuter, odpychając się nogami.

- Dobrze wiesz, co myślę o tym twoim świątku, Yarol - rzuciłam, nie oglądając się za siebie. - Mówiłam ci już, że nie chcę do niego należeć. I że twoja matka płaci mi za to, żebym ja się tobą zajmowała, a nie odwrotnie.

- Rzeki płyną w obu kierunkach - oznajmił tajemniczo, a mnie zabrakło odwagi, by odpalić: „I znowu ten żargon, Yarol, pewnie pochodzi z twojej strony internetowej, oszczędź mi go, bardzo cię proszę”.

Wydawało mi się, że zapada noc; choć było jeszcze wcześniej, dygotałam z zimna. Yarol przekręcił kluczyk i na nowo rozległ się pomruk silnika.

- Mogę panią odwieźć do domu - powiedział cicho i poklepał siodełko z tyłu.

Spojrzałam z niedowierzaniem na wysokie siedzisko pasażera, zdziwiona, że Yarol mógł przypuszczać, że z tym wielkim brzuchem się na nim utrzymam. Wyobraziłam sobie nas oboje na skuterze, kruchych jak owady, jak biedronki.

- Umiem prowadzić - zapewnił mnie z uśmiechem. - A poza tym włoży pani to.

Zdjął swój kask i podał mi go, ale pokręciłam głową, że nie chcę.

- Nie - odparłam sucho. - Poczekam na autobus. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Yarol, na pewno nie masz ubezpieczenia na jazdę z pasażerem, i nie sędzę, żeby twojej matce spodobało się, że wsiadłam na twój skuter.

Ale znowu popatrzyłam na siodełko. Robiło się coraz chłodniej, chłód zdawał się spływać nie z góry, tylko podnosić znad ziemi, jakby pod naszymi stopami znajdowały się piwnice i przejścia, takie jak te między budynkami, tyle że nieporośnięte chwastami i krzakami, miejsca, w których dyszał podziemny oddech, przenikając powłokę asfaltu. Nagle poczułam się jak zbudzona z narkozy, przelęknłam się, że na ulicy pojawi się Jones i mnie zobaczy, zapragnęłam, gorąco zapragnęłam jakoś się stąd wydostać.

- Straciłbyś przeze mnie równowagę - powiedziałam z ociąganiem. - Oboje byśmy się przewrócili.

- Nie, na pewno nie. Umiem prowadzić - zapewnił ponownie. - Niech pani wsiada.

Blokując skuter między udami, nachylił się w moją stronę, wyciągnął rękę i łagodnym ruchem, jakby uspokajał przestraszonego psa, włożył mi na głowę kask, poprawił go, zapiął klamerkę rzemienia. Kask był ciepły, trochę wilgotny,

zadałam sobie w myślach niemądre pytanie, czy umożliwi mi czytanie w jego myślach, albo jemu w moich, czy może to jedno z tych urządzeń, jakie widuje się na filmach science fiction, coś więcej niż zwykły sprzęt chroniący przed rozbiciem czaszki na asfalcie.

- Niech pani wsiada - powtórzył Yarol. Podeszłam, oparłam ręce na siodełku i niezgrabnie

uniosłam nogę, ale było za wysoko i postawiłam ją z powrotem na ziemi. Yarol, który obserwował moje poczynania, zapytał:

- Nigdy pani nie jeździła na skuterze, Delphine?

- Nie - odpowiedziałam chłodno - kiedy byłam w twoim wieku, pracowałam - no proszę, w końcu to powiedziałam - nie miałam czasu jeździć na skuterze, jak również nie miałam pieniędzy, żeby go sobie kupić, a nie było nikogo, kto by mi go sprezentował.

Nie odpowiedział, nie przypomniał mi, że to nie jego wina, że jego sytuacja, jak to ujmowała matka, uniemożliwia mu chodzenie do szkoły, a co dopiero podjęcie pracy, i trochę się zawstydziałam swojej uwagi, ale zaraz pomyślałam: „Pewnie nawet tego nie zauważył, pewnie jest w tym swoim świecie szczęśliwszy niż wielu ludzi w prawdziwym życiu”. Wyciągnął tylko rękę, żebym się mogła na niej oprzeć, i w końcu udało mi się niezdarnie wgramolić na siodełko. Nie odwracając się, ujął moje ręce i opasał nimi swoją talię, ja jednak wolałam trzymać się jego bluzy, wczepiona dłońmi w szorstką tkaninę. Potem ruszył. Jadąc ulicą, sunęliśmy lekko, prawie jak piórko, na ramionach czułam znowu ciepłe powietrze, a pasy zieleni przy tej prędkości wydawały się wąskie - zwykłe wstążki trawy, na których



nic niezdrowego czy tragicznego nie mogłoby się zdarzyć.

Powoli, prawie bezwiednie, rozluźniłam pięści i objęłam go w pasie. Wdychałam jego zapach, nikłą woń proszku do prania i potu; byłam wszystkiego ciekawa, nie tylko jego, ale również tej bliskości. Od jak dawna niczego podobnego nie zaznałam?

Pracując, nie dotykałam moich klientów w taki sposób, oddzielał nas zawsze rodzaj szklanej przegrody. Na skrzyżowaniu skuter skręcił i znaleźliśmy się na mojej ulicy, jeszcze tylko dwa czerwone światła i Yarol łagodnie zahamował pod moimi drzwiami. Kopniakiem postawił skuter na podpórce i wyciągnął rękę, pomagając mi zejść. Oddałam mu kask.

- Dinelph? - powiedział z uśmiechem, odbierając go ode mnie. - Wybrnęła z tarapatów.

Promieniał. Ale ja nie mogłam włączyć się do jego gry i z wysiłkiem, jak ktoś z wielkim trudem zamykający okno, w którym wypaczyła się framuga lub zardzewiały zawiasy, zasunęłam z powrotem między nami szklaną przegrodę.

Otworzyłam torebkę i sięgając do środka, zapytałam:

- Jak długo na mnie czekałeś, Yarol?

Nie od razu zrozumiał. Nie przestając się uśmiechać, odpowiedział:

- Nie wiem. Godzinę. Dwie.

- Plus droga powrotna, powiedzmy pół godziny. Myślę, że można to zaokrąglić do trzech godzin. Osiemdziesiąt euro.

Wyjęłam portfel, odliczyłam cztery banknoty i podałam mu. Nie przyjął ich; przenosił spojrzenie z mojej twarzy na banknoty i z powrotem, jakby myślał, że żartuję. Wreszcie niepewnym tonem powiedział:

- Ale ja ich nie chcę. Dlaczego daje mi pani pieniądze?

- Każda praca zasługuje na zapłatę, Yarol. Weź, potraktuj to jako kieszonkowe. Kupisz sobie benzynę do skutera.

Uśmiechnęłam się, chcąc zbagatelizować swój gest, a przez to i jego reakcję, on jednak potrząsnął głową. Zauważyłam, że usta mu drżą. Poczułam się, jakbym go brutalnie wygnała z azylu jego wyobraźni.

- Nie chcę - powtórzył. - Chciałem tylko oddać pani przysługę.

- Ależ oddałeś mi przysługę - zapewniłam. - To właśnie próbuję dać ci do zrozumienia.

Nic nie powiedział. Wyciągnął rękę, przekręcił klucz w stacyjce, udało mi się jednak wsunąć mu pieniądze do kieszeni bluzy.

Zrobił ruch, jakby chciał je wyjąć, ale szybko dodałam:

- Jeśli ich nie weźmiesz, powiem twojej matce, że wykorzystałeś swój skuter do tego, żeby mnie śledzić.

Cofnął rękę, nałożył kask i nie zapinając go, ruszył. Nadjeżdżająca w tym momencie kamionetka musiała gwałtownie zahamować, żeby go nie potrącić, stłumiłam krzyk, wyobraziłam sobie Yarola na ziemi, tak słabo chronionego niezapiętym kaskiem, z głową roztrzaskaną jak skorupka jajka, z której wypływa ciecz, nie złocista jak żółtko, tylko czerwona. Ale krzyk zamarł mi na ustach, wyszeptałam tylko: „Kiedyś to zrozumiesz, Yarol, nigdy nie należy nic nikomu zawdzięczać. To żaden prezent zmusić kogoś do przyjęcia przysługi, nic w zamian nie oczekując”.

Zanim zdjęłam płaszcz, machinalnie włożyłam ręce do kieszeni, a wtedy zobaczyłam, że Yarol wsunął mi do niej

Bóg wie kiedy jedną ze swoich karteczek, na której widniało słowo **ŚNI**.

Marji nie było już w Agencji, więc poszłam prosto do mieszkania. Odłożyłam torebkę na dolną półkę szafy, kartkę Yarola wsunęłam pod przycisk do papierów, gdzie trzymałam wszystkie pozostałe. Włączyłam telewizor. Było jeszcze wcześniej i na żadnym z kanałów nie było nic ciekawego, chciałam jednak uwolnić się od myśli o zeszytach w mojej torebce, a jeszcze bardziej o niedawnym spotkaniu z Jonesem. Do późnej nocy siedziałam ze wzrokiem utkwionym w ekran, ukołysana ruchami i głosami, odbiciem światła na ścianach. Musiałam zadać sobie gwałt, żeby zgasić telewizor i pójść spać.

*Koszty prywatne: suma przekazana Yarolowi de Brettes przez Delphine M.*

*Jazda skuterem, bez pasażera. Czekanie pod budynkiem w czasie spotkania. Powrót skuterem do Agencji, przewiezenie pasażerki. Prowadzenie pojazdu zadowolające.*

*Czas: trzy godziny.*

*Osiemdziesiąt euro.*

*Świadczący usługę nie doręczył pokwitowania.*

## 19

- To zwykły amatorski film - powiedział mężczyzna tonem usprawiedliwienia, pokazując leżący na biurku aparat. - Zobacz pani, jakość nie jest za dobra.

Nakręcił go małą kamerą, jedną z tych, które z łatwością można ukryć w dłoni. Ostrożnie, jakby chodziło o dowód rzeczowy, wsunęłam kasetę do foliowej torebki.

- Ta jest ze ślubu młodej damy, czy tak? - zapytałam, a on skinął głową.

- A na tej kasecie - ciągnął, wręczając mi drugą - jestem ja. Sfilmowałem się, wcześniej obejrzawszy chyba ze sto razy pierwszą. Pomagałem sobie znajomością ruchów Camille - dodał z wymuszonym uśmiechem. - Naszkiecowałem je nawet ołówkiem na ścianie w salonie. Myślę, że to wszystko powinno ułatwić pani pracę.

- To już oceni nasz technik - powiedziałam, zapisując „Camille” na pierwszej torebce plastikowej i „Pan Ozik”, nazwisko klienta, na drugiej. - Ale owszem, wyobrażam sobie, że faktycznie będzie mu łatwiej nałożyć obrazy.

Klient siedział nieruchomo, kiedy wkładałam obie torebki foliowe do grubej biurowej koperty, a potem zawołałam Marję. Tego dnia była na obiedzie z pewnym wdowcem w średnim wieku i miała na sobie purpurowy aksamitny

top, czarną spódnicę i czarne rajstopy; w kącikach ust pozostały resztki szminki. Uśmiechnęła się do mężczyzny, który odpowiedział jej bladym uśmiechem.

- Proszę to posłać do technika, Marjo - poleciłam. - Robotę wykonuje świetnie, lecz stawki ma wysokie. Woli pan termin normalny czy ekspres?

- Ekspres - odpowiedział bez wahania, nawet nie pytając o stawkę.

Oblizął wargi. Miał worki pod oczami, dwa półksiężyce ziarnistej skóry, i wygląd człowieka, który od dawna nie zaznał spokojnego snu.

- Camille nie zaprosiła mnie nawet na swój ślub. Kiedy zobaczyła, że przyszedłem, nie zadała sobie trudu, żeby podejść i przywitać się, jak nic kazałaby mnie wyrzucić, gdyby nie obawiała się skandalu. Przypuszczam, że nigdy mu nic o mnie nie mówiła - dodał niechętnie, jakby czując się w obowiązku wytłumaczyć się, i zanim zdążyłam swoim zwyczajem wtrącić, że nie musi się usprawiedliwiać, ciągnął dalej, na co pozwoliłam, nie chodziło bowiem o samo usprawiedliwienie się, lecz o potrzebę zwierzeń. Zerknęłam tylko dyskretnie na zegarek, żeby wiedzieć, ile mu policzyć.

- A przecież sześć miesięcy temu byliśmy zaręczeni, zamierzaliśmy się pobrać, właśnie teraz, wiosną. Ale ona postanowiła poślubić innego. O tej samej porze roku. Prawie tego samego dnia. W tym samym kościele. Uważa to pani za normalne?

Nie powiedziałam ani tak, ani nie, podsunęłam mu tylko pudełko liliowych chusteczek, ale jego oczy, podkrążone ze smutku, pozostały suche.

- Skoro to jedyne, co mogę ocalić, zadowolę się tym - rzucił z nagłą pasją. - Tym filmem ze ślubu. Chcę, żeby ten mężczyzna zniknął, żeby przestał jej dotykać, chcę, żebym to ja całował Camille na stopniach kościoła, żeby to na moje włosy spadał ryż, zobaczy pani, w tym filmie obsypałem sobie nim głowę, ramiona, chcę, żebym to ja poprowadził ją do limuzyny całej w kwiatkach. Ja na pewno nie mógłbym jej zapewnić takiego ślubu - stwierdził z goryczą. - Czy to w pewnym sensie nie ironia, że na tej taśmie będzie nas otaczał taki zbytek i luksus tylko z tego powodu, że poślubiła innego?

- Życzę, żeby przyniosło to panu pociechę - przemówiłam uspokajającym, oględnym tonem, tonem numer cztery, jak wyjaśniłam kiedyś Marji, pozwalając sobie na jeden z moich rzadkich żartów, rzadkich, bo nie lubiłam dworować ani z naszych klientów, ani z naszej działalności. - Życzę, żeby ten film pozwolił panu przeżyć marzenie, które nie mogło się urzeczywistnić, i przewyciężyć pański ból. Niech pan ogląda go tak, jakby pan podziwiał piękny zachód słońca, coś, co nie ma żadnego związku z tym, co pan dziś przeżywa. To różowa pigułka, panie Ozik, magiczna dygresja. Oglądając go, niech pan zapomni, że to tylko fotomontaż, że w rzeczywistości nie wsiada pan do limuzyny, nie całuje pan Camille na stopniach kościoła. I kiedy pan wyłączy projektor, niech pan już więcej o nim nie myśli.

Tym razem sięgnął po chusteczkę, znużonym gestem otarł oczy. Nic nie powiedział, nie wiem, czy dlatego że go przekonałam, czy też przeciwnie, bo odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Wytarł nos, a następnie z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął książeczkę czekową.

- Ile jestem pani winny? - zapytał, na co, ponownie spoglądając na zegarek, odpowiedziałam:

- Za nasze dzisiejsze spotkanie sto euro. Jeśli chodzi o fotomontaż filmów, to muszę poczekać na kosztorys od naszego technika. Moja asystentka zadzwoni do pana najpóźniej jutro po południu. Muszę pana poprosić o zaliczkę w wysokości pięciuset euro.

Drobnym pochyłym pismem wypisał czek, przesunął go w moją stronę, ja zaś pewnym ruchem przyłożyłam pieczętkę na trzeciej linii, „Dla Was”. Kiedy wstałam, popatrzył na mój brzuch i powiedział niepewnie:

- My też zamierzaliśmy mieć dzieci. Wybraliśmy im już nawet imiona. Niech pani się cieszy swoim szczęściem, bo to rzadki towar.

Wzruszyłam ramionami i beznamiętnym głosem, tak żeby nie mógł odgadnąć, czy mam na myśli swoją ciążę, czy jego historię, odpowiedziałam:

- Takie już jest życie, panie Ozik, nigdy nie należy ufać pozorom, bo to najpewniejszy sposób, żeby się pomylić.

Odprowadziłam go do drzwi, dopiero teraz pozwalając sobie na lekkie uściśnięcie mu ramienia. Kiedy przechodził przez sąsiedni pokój, Marja popatrzyła na niego wzrokiem spaniela, jak go często w myślach, nie mówiąc jej o tym, nazywałam, więc się domyśliłam, że słyszała całą rozmowę. „Do widzenia, panie Ozik, i życzę odwagi”, powiedziała, on zaś wymamrotał pod jej i moim adresem „do widzenia” i powędrował jak somnambulik ulicą, wciąż ściskając w ręce liliową chusteczkę.

Kiedy zamknęłam za nim drzwi, Marja westchnęła:



- Niech pani pomyśli, jak on musi ją kochać, biedaczek. Tak bardzo mu współczuję.

I rzeczywiście, jej przesadnie wymalowane oczy były równie wilgotne jak oczy mężczyzny w chwili, gdy mi wręczał kasety. Ponownie wzruszyłam ramionami.

- Nic o nim nie wiemy, Marjo. Założę się, że prawda jest bardziej złożona, niż skłonny był nam wyznać. Może ją bił, może zdradzał, a może pił. Kobieta nie zostawia mężczyzny ot tak, bez powodu. A jeśli nic takiego nie było, to tylko sam do siebie może mieć pretensję, że wybrał trzpiotkę, kobietę sprzedajną. Jest zbyt uczuciowy? Nie ma dość siły, żeby zapomnieć? To już nie pani ani moja wina.

Marja nie od razu odpowiedziała, ale zobaczyłam, jak stwardniały jej rysy, kiedy sięgnęła po pióro, przekartkowała spis telefonów i wypisała na grubej kopercie nazwę laboratorium wywołującego zdjęcia i filmy, z którego usług miałyśmy skorzystać, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza. Już się wydawało, że sprawę przemilczy, nie mogła się jednak powstrzymać, by nie powiedzieć:

- Czasami myślę sobie, że jest pani jeszcze bardziej nierzeczywista niż film tego człowieka. Czasami myślę sobie, że jest pani jeszcze bardziej oderwana od życia niż ten film, który od nas dostanie. Ale pani bynajmniej nie z powodu nadmiernej uczuciowości...

Przerwała, odwróciła się, żeby wrzucić kopertę do koszyka z korespondencją do wysłania, a potem położyła dłonie na klawiaturze i zaczęła pisać, jakby mnie już nie było w pokoju. Ja jednak, już w drzwiach, rzuciłam:

- Prosiłam już, Marjo, żeby nie zwracała się pani do klientów takim tonem, żeby nie patrzyła pani na nich takim

wzrokiem. „Dla Was” to nie agencja matrymonialna, tutaj pani nic nie działa. Jeśli marzy się pani przeżycie pięknej przygody miłosnej - powiedziałam, wkładając w te słowa całą ironię, na jaką mogłam się zdobyć - niech pani jej szuka gdzie indziej. Zobaczyłam, że twarz jej poczerwieniała, szybko zatrzepotała rzęsami i pomyślałam, na jakiej podstawie po tych wszystkich wspólnych latach sądzi, że może bezkarnie próbować mi dokuczyć. I zamknęłam za sobą drzwi gabinetu.

Powinnam sięgnąć po słuchawkę, zadzwonić do klientów, siedziałam jednak bez ruchu, patrząc przez okno na ulicę ledwie widoczną za grubymi firankami. Obok moich nóg leżała torebka, a w niej znajdowały się zeszyty Adorna, których wciąż jeszcze nie odważyłam się wyjąć.

Myślałam o twarzy Jonesa poprzedniego dnia, kiedy mi groził, jego twarzy tak blisko mojej, że widziałam brązową nieregularną plamkę na jego lewej źrenicy, że czułam jego oddech przesiąknięty kawą. Myślałam o plecach Yarola siedzącego przede mną na skuterze, o moich rękach obejmujących go w pasie, o tych chwilach bliskości, których nagle robiło się coraz więcej, tak jakby coś pękało, kruszyło się, i sama nie wiedziałam, czy mam ochotę temu się poddać, czy stawić opór. „Mylisz się, Marjo - pomyślałam. - To, co nazywasz prawdziwym życiem, już nadchodzi, niedługo mnie dopadnie, nie chciałam tego, ale tak wyszło”.

*Pan Ozik/Camille N.*

*Przedstawienie sytuacji, przekazanie kaset. Czas: godzina i czterdzieści minut. Sto euro.*

*Zaliczka na poczet rachunku z laboratorium wywoływania filmów: pięćset euro.*

*Łączna suma: sześćset euro.*

## 20

O piątej Marja wyszła. Usłyszałam, że wkłada płaszcz, zabiera listy do wysłania z kosza na korespondencję, a potem chłodnym, uprzejmym tonem rzuca: „Do widzenia pani, do jutra”, nie podchodząc jednak, jak to miała w zwyczaju, do drzwi gabinetu. „Złość się, ile tylko chcesz - pomyślałam - nie uda ci się sprawić mi przykrości” i równie bezosobowym tonem odpowiedziałam: „Do jutra”.

Zaczekałam, aż zastukają jej obcasy, zadzwoni dzwonek przy drzwiach, a potem policzyłam do dwudziestu, żeby się upewnić, że niczego nie zapomniała, co często jej się zdarzało, żadnej rękawiczki czy apaszki, i odsunęłam fotel. Podniosłam torebkę stojącą przy moich nogach i wyszłam z gabinetu.

Było jeszcze wcześniej - tabliczka wisząca na klamce informowała, że Agencja działa do dziewiętnastej, odwróciłam ją jednak na drugą stronę z napisem: „Z przykrością informujemy, że Agencja jest zamknięta. W nagłych przypadkach prosimy o telefon pod numerem 06....., jeden z naszych doradców bezzwłocznie udzieli państwu odpowiedzi”. Potem opuściłam żaluzje we wszystkich oknach i włączyłam komputer Marji. Był to jedyny komputer w biurze, ja miałam tylko notes elektroniczny, w którym zapisywałam

spotkania. Nauczyłam się jednak obsługi komputera w ciągu tych długich lat, które spędziłam w Agencji sama, zanim Marja przejęła obowiązki sekretarki. Usiadłam na jej krześle, jeszcze ciepłym, i to ciepło, które w zwykłych okolicznościach by mi przeszkadzało, teraz wydało mi się dziwnie krzepiące.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam fioletowe zeszyty.

Kartkując je, wyczuwałam pod palcami spinacze, maleńkie metalowe zęby spinaczy, łączących strony, scalających „momenty osobiste” z „momentami mniej osobistymi”, jak je nazywał Adorno. W takich miejscach napotykałam też różnice poziomów między kartkami - choć bardzo starał się równo je spinać, górą lub dołem wystawało zawsze po kilka milimetrów zagiętego, pogniecionego papieru, tak jakby ten wąski naddatek papieru przeżył więcej niż reszta zeszytu - tak, sprawiał wrażenie, że podobnie jak skuter Yarola swoje już zwojował.

Z szuflady biurka Marji wyjęłam szkło powiększające, którego używałyśmy do odczytywania dokumentów albo kiedy chciałyśmy przyjrzeć się jakiemuś detalowi na fotografii, zapamiętać twarz osoby, której śledzenie lub odnalezienie nam zlecono - a potem ułożyłam przed sobą otwarte zeszyty jeden obok drugiego.

Trzy pierwsze były w miarę czytelne. Adorno zapełnił je niedługo po tym, jak mnie zaangażował, zanim choroba się nasiliła; były rodzajem dziennika intymnego, już wtedy świadectwem jego miłości do żigola, choć jeszcze nie testamentem miłosnym, nie tym, co nazywał niekiedy swoim listem; tę formę przybrały dopiero później. Dalej pismo robiło się niezdecydowane, przerywane, brakowało słów,

najpierw krótkich, nieistotnych, rodzajników, zaimków, co jednak nie przeszkadzało - drogą różnych ekwilibrystycznych skojarzeń - zrozumieć sensu zdań. Potem sama ich konstrukcja stawała się trudna do rozwikłania, jak łamigłówka, w końcu zaczęło brakować tak znacznych fragmentów tekstu, że można było tylko próbować odgadnąć ich treść, ale w ten sposób orientowało się całe akapity, czasem dość obszerne, w tym lub innym kierunku, w stronę światła lub cienia, bieli lub czerni. Rozumiałam, że Jones nie chciał się w to wszystko wgłębiać, że wolał powierzyć to zadanie komuś, kto nawykł do rozszyfrowywania ludzkich uczuć i kto przez długi czas obcował z Adornem - chyba że, nagle pomyślałam, tracąc całą przyjemność z przedzierania się przez ten zagmatwany tekst, chyba że zlecenie Jonesa jest tylko przynętą, że same zeszyty nic go nie obchodzą, a tylko czeka, żeby mnie schwytać w pułapkę. W dwóch ostatnich zeszytach odnalazłam własne pismo, nieregularne, a zarazem staranne pismo uczennicy, zresztą co ja o tym mogłam wiedzieć, tak krótko chodziłam do szkoły. Natomiast pismo Adorna stało się równie chwiejne i niepewne, jak jego życie w owym czasie, zwykła nić falująca na wietrze; zdarzało się, że nie potrafił nawet utrzymać słów na kratkach stronicy. Jones nie kłamał, było prawie nieczytelne, a im bliżej końca, tym bardziej robiło się nierówne, niechlujne, wreszcie tak rozwlekłe, że litery łączyły się w jeden ciąg, zda się w jedną, powtarzającą się w nieskończoność literę. Nareszcie je przed sobą miałam, te „momenty osobiste”, których Adorno nie pozwalał mi nigdy pisać pod swoje dyktando i których ja sama nie pozwoliłam sobie czytać

nawet wtedy, gdy był nieprzytomny, otumaniony morfiną, których nie pozwoliłam sobie przeczytać nawet po jego śmierci, zanim je wsunęłam w głąb szuflady, na wieczne, jak myślałam, zatracenie. A przecież nieraz zastanawiałam się, jakie to wspomnienia mogły tak nim wstrząsnąć, że potem leżał wykończony na kanapie z poszarzałą twarzą, a ja musiałam mu odmierzać krople mięty na język i przykładać do czoła wilgotną myjkę. W Agencji spotykałam wielu mężczyzn, niektórzy mieli miękkie serce i uwodzicielskie oczy, chętnie pocieszyliby się w swojej, jak twierdzili, nieutulonej rozpacz, a skoro już, to czemu nie ze swoją uzdrowicielką. Zapraszali mnie na kolację, czasem do swojego łóżka, do którego jednak nigdy nie wracałam więcej niż raz, dwa razy. Czułam się obco, to znaczy czułam, że jestem nie na swoim miejscu, że nie ma żadnego powodu, by znaleźć się w ich pościeli, w ich rękach. A teraz, w tym momencie, palce drżały mi na myśl, że za chwilę odkryję to, co zostało opisane na tych stronach, usta i seks obu mężczyzn, ten sekret, którego Adorno nie zabrał z sobą do grobu.

Wzięłam pierwszy zeszyt, zaczerpnęłam powietrza i położyłam palce na klawiaturze komputera. Otworzyłam nowy dokument, zatytułowałam go „Adorno - zeszyt pierwszy” i zabrałam się do pracy. Na górze pierwszej strony, niczym adres na kopercie, widniały wypisane dużymi literami słowa: **JONES, MOJA MIŁOŚCI**. Chociaż tekst był stosunkowo wyraźny, stukałam w klawisze powoli, zmuszona często przerywać i sięgać po szkło powiększające; niektóre zdania uzupełniałam ołówkiem, inne przepisywałam na marginesie, po czym znów wracałam do klawiatury.

Prawie połowę pierwszego zeszytu zajmował opis ich spotkania, ogrodu, o którym opowiadał mi Adorno, pełnego drzew pomarańczowych, kwiatów i woni, których nikt nie spodziewałby się w mieście, a przede wszystkim młodego mężczyzny o wyglądzie nastolatka - fakt, że od niedawna pełnoletniego - wałęsającego się wokół baru, oraz spojrzeń, jakie z sobą wymieniali. Potem Adorno wspominał swoją utratę przytomności i towarzyszące jej wrażenie, że rozstaje się z życiem, po czym budzi w innym świecie, w którym Jones trzyma go za rękę; doświadczył wtedy uczucia bezgranicznego szczęścia, mimo że był to zarazem pierwszy symptom jego choroby. Pisał o taksówce wezwanej przez gospodarza przyjęcia, o minutach, kiedy czekali na nią w hallu rezydencji, na obitej wytartym pluszem ławce, o swojej głowie opartej na ramieniu Jonesa i o zapachu w samochodzie, będącym mieszanką zapachu psiej sierści i cedrowego aromatu tekturowej choinki, wiszącej na lusterku wstecznym. Przez całą drogę Jones nie odezwał się słowem, jak również nie wypuścił z ręki dłoni Adorna.

Adorno pisał, że dokładnie pamięta ciało Jonesa, które odkrył tamtego wieczoru, wpierw wyobraziwszy je sobie pod ubraniem, szyję, kark i nadgarstki, a potem, kiedy rozpiął mu koszulę, siłę i delikatność jego torsu, zapach jego skóry oraz tę, tak charakterystyczną, woń brylantyny na jego włosach. Tej nocy do niczego między nimi nie doszło, ale spali objęci, a sen Adorna był równie głęboki i słodki jak omdlenie, z którego się ocknął pod ciemnym niebem w ogrodzie.

Musiałam przerwać. Zamknęłam zeszyt, dołączyłam go do pozostałych i obwiązałam wszystkie elastyczną taśmą,



jakbym zakładała kaganiec na paszczę potwora, jednego z tych potworów, których słowa i śmiech są okrutnie prawdziwe lub prorocze. Myślałam o swojej wczorajszej wędrowce prawie pustą ulicą, kiedy wysłuchawszy gróźb i obelg Jonesa, opuściłam jego mieszkanie. Przypomniałam sobie skuter, który nagle wychynał nie wiadomo skąd, i swoją niedorzeczną nadzieję, że to może Jones, że może zjawiał się, by mnie pocieszyć, by nachylić się i oprzeć moją głowę na swoim ramieniu, tak jak dawno temu na ramieniu Adorna; lecz nie, szłam ulicą samotnie, z wilgotnymi oczami i z wielkim brzuchem. Jones pewnie nawet nie wyjrzał przez okno, żeby się upewnić, czy idę w kierunku przystanku, a wtedy poczułam, jak do oczu powoli napływają mi ciężkie, piekące łzy.

## 21

W nocy bardzo źle spałam, źle, a zwłaszcza krótko, i kiedy o pierwszym brzasku otworzyłam oczy, wiedziałam, że nie wytrzymam dłuższego czekania, że muszę jak najszybciej wrócić do dalszego ciągu historii Adorna i Jonesa. Zapaliłam lampkę nocną, usiadłam w szlafroku na łóżku i oparłam zeszyt na kolanach. Z ołówkiem w ręku rozpracowałam blisko sto stron, gryzmołąc na nich różne gwiazdki, strzałki i notki na marginesie. O wpół do dziesiątej ubrałam się, poszłam do biura i z niecierpliwością zaczęłam czekać na przyjście Marji. Zjawiała się kilka minut przed dziesiątą, nucąc pod nosem. Nigdy się długo nie złościła; zdejmując zakiet, podeszła do drzwi gabinetu, pytając, czy nie napiłabym się ziółek, bo zaraz będzie robiła dla siebie kawę.

- Chętnie, Marjo, dziękuję - powiedziałam. Poczekałam, aż wróci z parującą filiżanką, i oświadczyłam:

- Będzie mi dziś potrzebny pani komputer. Muszę popracować nad sprawą, którą zlecono mi wczoraj po pani wyjściu. A pani mogłaby przenieść się do mojego gabinetu i zająć bieżącymi sprawami.

- Dobrze, proszę pani - powiedziała z lekkim zaskoczeniem.

Wiedziała, że do mojego biura nie ma wstępu nawet sprzątaczką; rzeczywiście - wolałam sama sprzątać i odkurzać, nie znosiłam myśli, że akta zostaną ustawione nie tak jak trzeba, że zapuści się w nie czyjś wścibski wzrok. Kiedy zabierała swój notes, długopis i filiżankę z kawą, dodałam:

- Chciałabym też, żeby odwołała pani dzisiejsze spotkania. Jest ich niewiele, pani J., M.F., nic ważnego.

Udawałam, że przez szczelinki żaluzji wyglądam na ulicę, mimo to czułam, że wpatruje się we mnie z jeszcze większym niedowierzaniem. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich ją uczyłam, było to, że nie ma spraw ważniejszych i mniej ważnych, że wszystkie są równorzędne, niezależnie, czy chodzi o zaginione dziecko, czy wypełnienie czyjś samotnego wieczoru; w ciągu dwóch lat nie odwołałam ani nie przełożyłam nawet jednego spotkania, tak samo jak nie pozwalałam, żeby odwoływała czy przekładała swoje, nawet kiedy Titouan zachorował na ospę.

„Musisz sobie pani jakoś poradzić - oświadczyłam. - Uprzedzałam panią o tym w czasie rozmowy kwalifikacyjnej”. Wiedziała, jak bardzo irytowała mnie każda zmiana programu; wymyśliłam Agencję „Dla Was” w duchu rygoryzmu i niezawodności; zawiedzenie nadziei pokładanej w nas przez klientów było rzeczą nie do pomyślenia. Trudno byłoby mi jej wytłumaczyć, dlaczego wszystko się zmieniło, dlaczego nagle cierpienia serca i duszy pani J. i M.F. przestały mnie obchodzić, a przynajmniej wydały mi się śmiechu warte w porównaniu z zeszytami, które przecież nie dalej jak rok temu chciałam zniszczyć.

Kiedy Marja przeniosła się do gabinetu, usiadłam na jej krześle, włączyłam komputer i otworzyłam zeszyt. Przezornie umieściłam go między lampą i bokiem komputera, tak żeby Marja nie mogła go zobaczyć, gdyby przyszło jej do głowy wrócić po ołówek lub gumkę do wycierania.

- Co mam powiedzieć klientom, proszę pani? - rzuciła pytanie z mojego pokoju.

- Obojętnie co - odparłam niecierpliwie. - To żadna filozofia, niech im pani powie, że musiałam wyjechać służbowo w pilnej sprawie, i przełoży spotkanie na przyszły tydzień.

- Dobrze - mruknęła i usłyszałam, jak podnosi słuchawkę i wybiera numer.

Zaczekałam, aż jej rozmówca odbierze telefon, a wtedy wstałam i przymknęłam drzwi gabinetu, na migi dając do zrozumienia, że jej głos przeszkadza mi się skupić. Usiadłam z powrotem na krześle i zabrałam się do roboty. Przez uchylone drzwi widziałam ramię i połowę twarzy Marji i starałam się nie spuszczać jej z oka; jeszcze nigdy tak pieczołowicie nie chroniałam prywatności klienta, nawet kiedy mnie o to prosili, nawet kiedy dzwoniли z komórki z pobliskiej kawiarni lub z chodnika naprzeciwko, żądając, żebym pozbyła się „tej pani, która ze mną pracuje”, a wtedy polecałam Marji, żeby na godzinę opuściła Agencję. Zimą dwukrotnie pozwoliłam jej pójść do mnie do mieszkania i pooglądać telewizję przy włączonym dźwięku, to mi nie przeszkadzało, tak czy inaczej więcej sekretów znajdowało się w moim gabinecie niż w mieszkaniu, nawet jeśli nie wątpiłam, że w nim szperała, szukała na meblach ramek z fotografiami, zajrzała do jednej czy dwóch szuflad.

Za drugim razem zastałam ją przy jakimś serialu z wyłączoną ścieżką dźwiękową, śpiącą na kanapie z głową opadłą na ramię, z rękami wetkniętymi między uda i z rozchylonymi ustami, zaślinionymi jak u pijanej kobiety. Zdjęta niesmakiem, przez chwilę w milczeniu ją obserwowałam. Nagle ku mojemu zaskoczeniu otworzyła oczy, a ja przestraszyłam się, czy aby nie zdążyła dostrzec na mojej twarzy tej odrazy. Ona jednak otarła usta i wymamrotała:

- Przepraszam, ale chyba zasnęłam, Titouanowi wyrzy-nają się ząbki i całą noc nie spałam.

Nie odpowiedziałam, oznajmiłam tylko:

- Klient już wyszedł, jeśli pani chce, może pani odświeżyć się w łazience i wrócić do pracy.

Potem już nigdy nie zaproponowałam, żeby poszła do mnie obejrzeć telewizję, kiedy jakiś dyskretny klient domagał się, żeby w biurze nikogo nie było. To nie jej wina, bo wiedziałam, dlaczego widok kobiety śpiącej na kanapie w stanie wulgarnego rozprężenia tak źle na mnie działał: był jednym z nielicznych wspomnień, jakie zachowałam z dzieciństwa.

Tak więc tego dnia miałam Marję przez cały czas na oku. Pewnie wyobrażała sobie, że wpuszczenie jej do gabinetu było z mojej strony dowodem zaufania, ale się myliła; byłam jeszcze bardziej nieufna i strzegłam zeszytu jak świętego ognia, bo myślałam, niesłusznie, że te słowa należą wyłącznie do mnie.

Chwiejnym charakterem pisma Adorno długo opisywał swoje mieszkanie, stare niebiesko-białe kafelki z Delft w hallu, trzeci od prawej odłupany, bo kiedyś przez nieuwagę upuścił na niego butelkę, maleńki balkon z balustradą z kutego żelaza, zdobną w esy-floresy niczym naszyjnik kurtyzany, balkon, na którym od niepamiętnych czasów niszczała martwa roślina w doniczce, brunatna i cała w pajęczynach, a za tą rośliną, też od zawsze, wiała sobie gniazdo para gołębi; betonowa podłoga upstrzona była ich odchodami i sąsiedzi z piętra niżej skarżyli się, że zlatuje na nich deszcz ptasiego łajna, ale Adorna to bawiło, wystawiał im ziarno na talerzyku i napełniał wodą rondel, żeby w upalne dni miały gdzie się kapać. Nigdy nie widziałam ani uschłej rośliny, ani gołębi, może dlatego, że założyły gniazdo w innym czasie, może Adorno był już zbyt chory, żeby zajmować się ptakami, a może dlatego, że nie interesowałam się tym, co nie należało do zakresu moich obowiązków. Nigdy mi też o tym nie mówił, bo mówił wyłącznie o Jonesie. Tak jak nie powiedział mi, że mieszkanie odziedziczył po swojej matce, która w wieku lat dwudziestu poznała smak aktorskiej sławy i która zginęła w wypadku lotniczym w Peru. Nie chciał sprzedać tego

dwupokojowego lokum, które ona tak kochała dla zapachu glicynii z klasztornej ogrodu. Czytając o tym - aktorka, wypadek lotniczy w Peru - pomyślałam, czy to aby nie bajka, którą Adorno wymyślił na użytek Jonesa, powiastka piękniejsza, a przynajmniej bardziej barwna od rzeczywistości; czy Jonesa, który między piętnastym i osiemnastym rokiem życia zaznał więcej miłości i seksu niż większość mężczyzn przez całe życie, mogłaby zauroczyć wizja matki kury domowej, matki ekspedientki, pielęgniarki czy sekretarki? Po namyśle jednak uznałam, że tylko to - tylko matka aktorka, spadająca z peruwiańskiego nieba prosto w objęcia śmierci - mogła wydać na świat tak osobliwego syna, rozkochanego w miłości, mężczyznach i ekstrawagancji.

Adorno opisywał również, co widział z kanapy, na której zmuszony był spędzać coraz więcej czasu: plamę wilgoci w kształcie twarzy na ścianie, szklane naczynie, w którym trzymał swoje błyskotki, trójkąt najczęściej pochmurnego, czasami niebieskiego nieba za oknem. Opisywał wzór tapety, pojedynczy motyw, wiszący po prawej stronie drzwi w sypialni, frywolne scenki z na wpół nagimi pasterkami i pasterzami, których nie zniósłby na wszystkich ścianach pokoju, ale tak tworzyły rodzaj obrazu, długiego pionowego malowidła; bardzo starą wannę na wygiętych nóżkach w łazience, którą pomalował na kolor ciemnej czerwieni.

Długo ciągnął ten swoisty inwentarz mieszkania, w którym Jones musiał przecież spędzać całe godziny i dni, w którym, jak mi powiedział, mieszkał, ja zaś zastanawiałam się, czemu służą te niekończące się opisy, po co ta

wyczerpująca lista czegoś, co stanowiło scenerię ich wspólnego życia, a potem pomyślałam, że chyba rozumiem: Adorno chciał, żeby ślad tego wszystkiego przetrwał po jego śmierci; nawet jeśli Jones pozna tyle innych pokoi, że szczegóły tego konkretnego się zatrać, to przynajmniej pamięć o nich przetrwa na kartkach zeszytu i jeśli Jones któregoś dnia, dużo później, za nim zateęskni, wtedy wystarczy, że przeczyta te strony, weźmie flamastry i na kartce papieru odtworzy układ mebli, kolory przedmiotów i ścian.

Nie wiem, jak mogłam przestać mieć się na baczności, jak Marji udało się podejść tak, że tego nie usłyszałam, nawet jeśli swoim zwyczajem zdjęła pantofle - na nogach miała grube podkolanówki w cielistym kolorze - i poruszała się jak zawsze z zaskakującą przy jej tuszy zwinnością. Nie usłyszałam, kiedy drzwi się otworzyły, nie zauważyłam, kiedy się pojawiła, dopiero wrażenie czyjejś obecności za plecami i oddech na moim karku sprawiły, że nagle zeszytniałam.

- Klienci nie byli zadowoleni - oznajmiła. - Myślę, że M.F. naprawdę chciałby się z panią zobaczyć. Obiecałam mu, że jeśli uda się pani znaleźć wolny czas przed końcem dnia, wpadnie pani do niego. Może ja mogłabym zająć się tą ważną pracą, którą wczoraj pani zlecono? O co w niej chodzi? Tylko o przepisanie tego zeszytu na komputerze?

Z nieudawanym zaskoczeniem w głosie pochyliła się, żeby przeczytać tekst na ekranie. Sparaliżowana jej obecnością za plecami, w milczeniu błagałam: „Wynoś się, Marjo, wynoś się”, ale choć marzyłam, żeby wyrwać kabel z komputera i odrzucić zeszyt w najdalszy kąt pokoju,



moje dłonie spoczywały bezwładnie na kolanach, jakby odmówiły mi posłuszeństwa.

- Ależ proszę pani, sama z powodzeniem mogę się tym zająć - ciągnęła. - Robiłam już takie rzeczy, pamięta pani? To już koniec świata, żeby przepisywała pani to na komputerze w sytuacji, kiedy klienci na panią czekają.

- To sprawa bardzo szczególna, Marjo - zdołałam w końcu wykrztusić. - Klient zażądał, żebym zajęła się tym osobiście. A poza tym aż trzy dni mi zajęło oswojenie się z jego pismem.

- Ale chyba jestem w tym dość dobra - nie dawała za wygraną z uśmiechem wyrażającym zarazem dumę i skrępowanie. - Niech mi pani chociaż pozwoli spróbować.

Pochyliła się niżej, położyła palec na lewej stronie zeszytu i gładko sunąc nim od wyrazu do wyrazu, odczytała głośno cały akapit. Głos miała spokojny i zachrypnięty. Jakże obco brzmiały słowa Adorna w jej ustach! Już ich nie poznawałam; nagle przestraszyłam się, że przestanę słyszeć ich muzykę, która przetrwała w moich uszach, choć od jego śmierci minął już rok.

Na szczęście zdania czytane przez Marję były całkiem zwyczajne, ani razu nie pojawiało się w nich nazwisko Jonesa, Adorno opowiadał o sygnecie, który wpadł mu do rury odpływowej w zlewie, sygnecie bez wartości, do którego jednak był tak przywiązany, że choć bez trudu sam mógłby odkręcić kolanko, wezwał hydraulika, bojąc się, że jakimś nieostrożnym ruchem pośle pierścionek do miejskiej kanalizacji.

Zamknęłam zeszyt tak gwałtownie, że Marja ledwie zdążyła cofnąć palec. Nie wiem, co odczytała z mojej twarzy, bo wybąkała niepewnie:

- To przecież pani uczyła mnie odczytywać każdy charakter pisma. Nie pamięta pani? Zawsze pani mówiła, że czytanie pisma klientów jest równie ważne jak wiedza o tym, co mają w głowie. Chciałam tylko pomóc.

- Wiem, Marjo - burknęłam. - Nie podważam pani kompetencji. Tyle że, jak już mówiłam, ten klient chce, żebym zajęła się tym osobiście.

Ze stropioną miną potrząsnęła głową. Na próżno usiłowałam się do niej uśmiechnąć, nie chciałam wzbudzać jej ciekawości, nie chciałam, żeby pod moją nieobecność zaczęła szukać jakiegoś nietypowego dokumentu ukrytego pośród innych na twardym dysku.

- Niech pani zadzwoni do M.F. i powie mu, że dzisiaj nie znajdę dla niego czasu - powiedziałam. - A zresztą - dodałam, spoglądając na zegarek: była trzecia - jeśli nie ma pani nic ważnego do roboty, proszę iść do domu. Zyska pani w ten sposób długi weekend. Będzie się pani mogła nacieszyć rodziną.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Wiedziałam, jak bardzo ją korci, żeby zerknąć na ekran, jednak się powstrzymała. Czułam, że jest rozdarta między niepokojem, jaki wzbudziło w niej moje zachowanie - w końcu to ja byłam tym filarem, na którym spoczywała Agencja - i pragnieniem, żeby złapać zakiet, torebkę i pobiec na przystanek autobusu niczym uczennica zwolniona z lekcji. Chęć wyjścia wzięła górę nad ciekawością. Powiedziała szybko, jakby bojąc się, że zmienię zdanie:

- Dobrze, a więc panią zostawiam. I bardzo dziękuję! Wróciła do gabinetu, otworzyła torebkę, umalowała usta, przypudrowała twarz pudrem, który zostawiał za nią smugę

zapachu konwalii; już do niego przywykłam, teraz też poczułam jego powiew, kiedy przeszła przez pokój, idąc do drzwi.

- Do poniedziałku - rzuciła rozradowanym głosem

- Pani również życzę udanego weekendu.

- Dziękuję, Marjo - odpowiedziałam, a ona otworzyła drzwi i nie oglądając się, wyszła.

Po jej wyjściu przez chwilę siedziałam bez ruchu. Poczułam się nagle znużona, zniechęcona. „Po co to wszystko

- rozmyślałam - jak mogłam choć przez chwilę wyobrażać sobie, że dzięki tym zeszytom uda mi się zbliżyć do Jonesa, nawiązać z nim kontakt? Wystarczy spojrzeć, z jaką łatwością Marja poradziła sobie z tekstem, gdy byłam przekonana, że tylko ja jedna zdołam go odczytać". Komputer automatycznie przeszedł w stan czuwania i przez ekran zaczęły przepływać różne nieznane symbole, czerwone, fioletowe, zielone. Przypomniały mi Yarola i jego gry wideo; po raz pierwszy, od kiedy podwiózł mnie do Agencji, pomyślałam z niejasnym niepokojem, co u niego słychać. Rzadko zdarzało się, żeby minęły dwadzieścia cztery godziny, a on nie zadzwonił, nie wpadł do Agencji lub nie zostawił jednej z tych swoich karteczek, owiniętej wokół prętu kraty okiennej; wydawało się, że zniknął z powierzchni ziemi. W końcu nacisnęłam klawisz i na ekranie z powrotem pojawił się dokument.

Akapit, na którym skończyłam, był przed akapitem przeczytanym przez Marję. Może mogłabym go pominąć, kogo obchodzi ta historia z sygnetem, z pewnością Adorno nigdy nikomu o tym zdarzeniu nie wspominał. Starannie wykreśliłam ołówkiem te kilka linijek, bo zdeflorowane cudzym spojrzeniem, przestały już do mnie należeć.

Gdyby w tym momencie była tu Marja, powiedziałabym:  
„Zostaw mi to, Marjo, nic innego nie mam, ty masz o tyle więcej  
ode mnie, chociaż to mi zostaw”. A potem ze zdumieniem  
zadałam sobie pytanie, jak coś podobnego mogło mi przyjść do  
głowy; myślałam zawsze o Marji z wyższością, wręcz z  
lekceważeniem, Marja była tylko pracownicą najemną, samotnie  
wychowującą trójkę dzieci i ślącą uwodzicielskie uśmiechy do  
klientów. Naprawdę nie wiedziałam, czego bym jej mogła  
zazdrościć oprócz tej właśnie naiwnej wiary w bajki i w lepsze  
jutro.

## 23

Po tej pierwszej nocy spędzonej z Jonesem Adorno obudził się w pustym łóżku. Cały dzień upłynął mu na wyglądaniu przez okno - co było niemądre, bo brama budynku wychodziła na małą prostopadłą uliczkę, ale, jak pisał, miał nadzieję w ten sposób pokierować losem - nie jedząc i nie pijąc, nie zdejmując szlafroka ani rannych pantofli, spowity wonią snu i potu, wsparty ramieniem o szybę tak długo, że aż mu w końcu zdrętwiało. Chciałby być ogolony, wykąpany i ubrany, na wypadek gdyby Jones wrócił, mimo to nie był w stanie opuścić stanowiska, które zajął kilka minut po obudzeniu, kiedy zobaczył, że Jones wyszedł. Nie wiedział, czy młody mężczyzna wróci, wydawało mu się, że pamięta, jak mu to poprzedniego wieczoru, otumanionemu gorączką, obiecał, ale być może się myli. Może Jones zmienił zdanie i uznał, że noc spędzona na czuwaniu przy mężczyźnie chorym i w dodatku znacznie od niego starszym w zupełności wystarczy.

Była już prawie siódma, kiedy rozległ się dzwonek, a jemu zamarło serce. Pognął do łazienki, przetarł język pastą do zębów, opłukał usta, odwracając wzrok od smużki krwi z dziąseł, spływającej po fajansie umywalki, skropił wodą twarz i poszedł otworzyć. Na progu stał Jones z torbą podróżną na

ramieniu, a Adorno mimo ulgi, która zwykle przyśpieszała bicie jego serca, z zaskoczeniem zauważył, że sprawia wrażenie nieśmiałego, prawie niespokojnego, jakby nie był pewny, czy zostanie ciepło przyjęty, ani nawet zaproszony do środka; nic go tak nie wzruszyło, jak właśnie to, ta niepewność, ta obawa u chłopca pięknego jak bóg i zaprawionego w bojach jak męska prostytutka. I pomyśleć, że przez cały dzień bał się, że Jones już o nim zapomniał, że już nawet przez chwilę kusiło go, żeby sprawdzić, czyjego karta kredytowa i biżuteria po matce nie zniknęły, ale zmusił się, żeby tego nie zrobić.

- Dziś w nocy poprosiłeś, żebym z tobą zamieszkał - odezwał się Jones. - Nie byłem pewny, czy mówiłeś poważnie, ale i tak jestem.

- Ależ oczywiście, że mówiłem poważnie - zapewnił go Adorno. - Wchodź, czekałem na ciebie.

Jones wyglądał na uspokojonego, na jego twarz powrócił uwodzicielski półuśmiech, ten sam, z którym na przyjęciu wpatrywał się w oczy Adorna, unosząc do ust kieliszek. A potem dostrzegł jego stary szlafrok, nagie stopy w kapciach i z autentycznym niepokojem w głosie zapytał: „Nadal źle się czujesz?”.

- Nie - odpowiedział Adorno - tylko czekałem na ciebie, tak bardzo czekałem, że nie miałem nawet czasu się ubrać.

Jones znowu się uśmiechnął, uśmiechem mężczyzny nawykłego do słuchania takich słów. Postawił na ziemi torbę, ujął w dłonie twarz Adorna i pocałował go, a jeśli poczuł smak krwi, nic po sobie nie pokazał. Ale wziął Adorna za rękę i powiedział:

- Weźmiesz kąpiel, a potem cię ubierzemy. Pokaż mi, gdzie jest łazienka.

Na widok ciemnoczerwonej wanny aż gwizdnął z podziwu. Puścił wodę, upewnił się, że ma odpowiednią temperaturę, spośród rzędu słoików na półce okiem znawcy wybrał perfumowane sole, potem rozwiązał pasek szlafroka Adorna i pomógł mu wejść do wanny. A następnie usiadł na desce sedesu i zaczęli rozmawiać o wszystkim i o niczym, o dziecku na zielonym trzykołowym rowerku, które Jones spotkał po drodze, o wannie znalezionej przez Adorna na jakimś placu budowy, o tym, jak zapłacił czwórce robotników, żeby ją wnieśli do jego łazienki, zlikwidowali nową wannę zainstalowaną przez matkę i zamontowali tę, którą przynieśli. Robotnicy dyskutowali z sobą w jakimś dziwnym języku i spoglądając na niego, co chwila wybuchali śmiechem, a Adorno zorientował się, że biorą go za wariata, który na miejscu nowej czy prawie nowej i nowoczesnej wanny instaluje starą, zardzewiałą kadź. Najmłodszy z nich łamaną francuszczyzną zapytał Adorna, czy pozwoli mu zabrać nową wannę, a kiedy Adorno się zgodził, zwrócił mu kilka banknotów z tych, które ten już im zapłacił. Słyszał, jak na schodach mimo ciężaru wanny się śmieją, nie był to jednak śmiech złośliwy, tylko wesoły i pełen niedowierzania. Opowieść bardzo ubawiła Jonesa i Adorno, patrząc na uśmiechniętego chłopaka, nagle zauważył, że dziobata skóra na jego policzku kształtem przypomina dłoń, a konkretnie cztery palce i kciuk, i łagodnie poprosił:

- Podejdź, proszę, chcę coś sprawdzić.

Jones posłuchał, nachylił się nad wanną, a Adorno wyciągnął dłoń i przyłożył mu ją do policzka, dopasowując palce do kształtu znamienia na skórze.

- Wygląda na to, że jesteśmy dla siebie stworzeni - szepnął. - Jak dłoń i rękawiczka.

Jones zgasił papierosa w filiżance służącej mu za popielniczkę, odstawił filiżankę na kaloryfer, po czym pośpiesznie, rzucając ubrania na podłogę, rozebrał się, wszedł do wanny i dołączył do Adorna w kąpielni.

Adorno patrzył na jego tors i szczupłe ramiona, na których młodość znać było jeszcze wyraźniej niż na jego twarzy, i zauważył, że ciało chłopaka usiane jest pieprzykami: jedne były prawie wielkości monety, inne - maleńkie jak piegi. Jego spojrzenie musiało się na nich zbyt długo zatrzymać, bo Jones znowu zrobił tę samą niepewną, zaniepokojoną minę co wcześniej w progu i nieco skrepowany zapytał: „Nie podobają ci się?”. „Ależ skąd - odpowiedział Adorno - jeszcze nigdy nic mi się tak nie podobało jak to” i mówiąc te słowa, zorientował się, że to prawda. A wtedy Jones nachylił się do niego, tak powoli, że na podłogę nie skapnęła nawet kropla wody, i znowu go pocałował. „W pieszczotach tego żigolaka - pisał Adorno - w jego rękach, w jego ustach na mojej męskości była bezbrzeżna czułość”. Wtedy kochali się po raz pierwszy, w tej czerwonej wannie, którą Jones ochrzcił mianem macierzy. Siedzieli w niej przez długie godziny, aż do północy, dolewając gorącej wody i wyjmując korek, żeby wypuścić wystygłą; ile w tym było słodczy, ile również prawdy, nic z tego, co przeżył dotąd Adorno, nie tchnęło nutą takiej autentyczności; patrząc wstecz, wszystko wydawało się jedynie nędzną imitacją chwili doskonałej, która tak długo kazała na siebie czekać.



## 24

Mijały godziny i w biurze również nastąpiła noc, ciepła, lekka noc późnej wiosny. Słyszałam miękkie stukanie ęmy lub chrabąszcza z niestrudzonym uporem obijającego się

O szybę i kiedy rozległo się pukanie, zareagowałam tak, jakby było równie późno jak w zeszycie, północ albo jeszcze później, pora, kiedy obaj mężczyźni wyszli w końcu z wanny, nie mając odwagi się opłukać, wypuścić wody lub wyłowić pływających po powierzchni prezerwatyw. Zostawiając po drodze z łazienki do sypialni mokre ślady, pobiegli rozgrzać się w pościeli. Dopiero kiedy zapukano ponownie i natarczywiej, spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że dopiero dochodzi dziewiąta. Wstałam, żeby pójść otworzyć, lecz zaraz zawróciłam, zamknęłam zeszyt, nastawiłam ekran na czuwanie i dopiero wtedy pośpieszyłam do drzwi. Za szybą

i wywieszką z napisem: „Z żalem informujemy...” w słabym świetle padającym z biura ujrzałam twarz pani Soignes oraz inną, której nie mogłam rozpoznać. Był to pan Soignes. Nie widziałam go od czasu, kiedy wypiliśmy lampkę szampana i jedliśmy tort, żeby uczcić sukces naszego trzeciego stosunku seksualnego, czyli poczęcie Anne-Lise. Nigdy nie przychodził z żoną do Agencji, jakby krępowało go wspomnienie naszego cielesnego zbliżenia i jakby oglądanie mnie,

nawet ubranej, nawet w biurze, kojarzyć mu się mogło wyłącznie z tą chwilą. Jednak co wieczór, puszcżając nagrany przez nich kasetę, na której oboje śpiewali swojej córeczce kołysanki, słuchałam jego głosu i kiedy otworzyłam drzwi, a on uściskał mi rękę, mówiąc: „Dobry wieczór, Delphine, jak się pani miewa”, momentalnie go rozpoznałam.

- Dobry wieczór - odpowiedziałam. - To miło, że państwo przyszli. Może się państwo czegoś napiją? Kawy?

I od razu ruszyłam do drzwi działowych, za którymi znajdowała się kuchnia, ale pani Soignes mnie powstrzymała: „Nie, dziękujemy, Delphine, przyszliśmy porozmawiać głównie o interesach”, ja zaś zauważyłam, że jest zdenerwowana, że ma na sobie surowy beżowy kostium, jakby szła do pracy, mimo że zdarzało jej się wpadać do mnie w starym dresie, w którym jej sylwetka wyglądała tak bezkształtnie, jakby to ona była w ciąży. Z wymuszonym uśmiechem położyła na stole plastikową reklamówkę, mówiąc: „Przygotowałam dla pani sałatę, melona i szynkę parmeńską, za chwilę będzie pani mogła zjeść”, po czym usiadła, a jej mąż zrobił to samo. Spojrzała na niego, on zaś położył na biurku biurową kopertę i przesunął ją w moją stronę.

- Widzieliśmy się z adwokatem, Delphine - oświadczyła. - To zwykła przezorność, proszę tylko nie pomyśleć, że pani nie ufamy, ale sprawa jest skomplikowana, sama pani przyzna. Krótko mówiąc, świadomi jesteśmy ryzyka, że po urodzeniu zdecyduje się pani zachować dziecko. Zdarzają się takie sytuacje, kobietom się wydaje, że odkryły w sobie instynkt macierzyński tylko dlatego, że dziecko wyszło z ich brzucha, niech mi pani wybaczy, że jestem tak dosadna, ale rozumie pani, że pragniemy się zabezpieczyć.

Wzięła głęboki oddech i ponownie spojrzała na męża, który podjął:

- To, co robimy, jest, rzecz jasna, nielegalne, dotyczy to w równej mierze pani i nas, dlatego chcemy mieć pewność, że istnieje dokument, który obie strony na równi obciąża odpowiedzialnością, na wypadek gdyby któreś z nas zmieniło zdanie. Nas również - dodał z uśmiechem, jakby mi wyświadczał łaskę - bo gdybyśmy postanowili jednak nie adoptować dziecka, mogłaby pani pójść z tym dokumentem na policję i zostalibyśmy oskarżeni z tego samego powodu, co pani. Wszyscy, i pani, i my, jedziemy na tym samym wózku.

Mimo to spoglądali na mnie ze skrepowaniem, kiedy wyjmowałam dokumenty z koperty. Umowa faktycznie była bardzo prosta, jej przeczytanie zajęło mi zaledwie kilka minut. Stanowiła, że państwo Soignes i pani Delphine M. doprowadzili do naturalnego zapłodnienia, w wyniku którego Delphine M. zaszła w ciążę i urodziła w terminie ich małą córeczkę w zamian za sumę piętnastu tysięcy euro; procedura we Francji nielegalna. Przelotnie pomyślałam

O rączkach i nóżkach, których poruszenia czasami czułam w swoim brzuchu, a potem wzięłam pióro i napisałam:

„Przeczytane i przyjęte do wiadomości”, wstawiłam datę i złożyłam podpis. Wręczając im dokument - wydrukowany w dwóch egzemplarzach - spostrzegłam, że się odpreżyli, a pani Soignes posłała mi nawet skąpy uśmiech. Pan Soignes zaraz potem się podniósł, domyśliłam się, że nadal w mojej obecności czuje się nieswojo, ale pani Soignes wciąż siedziała, nerwowo ściskając rączkę torebki i zagryzając wargi, a kiedy jej mąż powiedział cicho: „Nadine, proszę”, wystartowała, mówiąc:

- Wybacz pani, Delphine, ale muszę o to zapytać. Czy zamierza pani kiedykolwiek mieć dziecko?

Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi, ona zaś nerwowo podjęła:

- Ile ma paru lat? Trzydzieści siedem? Trzydzieści osiem?

- Trzydzieści pięć - odpowiedziałam.

- I nigdy nie chciała pani mieć dzieci? No cóż, skoro nigdy pani nie chciała, to niewielka jest szansa, że stanie się to teraz, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Zaskoczyła mnie pani. Naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Pan Soignes położył rękę na ramieniu żony, potem ujął ją pod pachę i łagodnie podźwignął na nogi. Otarła usta grzbietem dłoni, rozmazując szminkę na policzku, oddech miała przyśpieszony i błyszczące oczy, gdy nagle wybełkotała:

- Przypuszczam, że nie mam żadnego prawa prosić panią o jakąkolwiek gwarancję, jakąkolwiek obietnicę, Delphine, ale myśl, że Anne-Lise mogłaby mieć któregoś dnia siostrę lub brata... nieważne, czy to pani wychowa dziecko, czy znów zostanie matką zastępczą - dodała pośpiesznie - sama ta myśl, nawet gdybym się o tym nigdy nie dowiedziała... nie wiem, jak to pani wytłumaczyć... jest dla mnie nie do zniesienia.

Patrzyłam na nią w milczeniu, nie wiedząc, jak zareagować, ja, która czytałam w myślach innych jak w otwartej księdze, teraz ledwie rozumiałam, co do mnie mówi. Spojrzałam na pana Soignes, ale on odwrócił głowę.

- Nie chcę, żeby oprócz tych dziewięciu miesięcy ciąży istniał jakikolwiek związek między Anne-Lise i panią - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Nie chcę, żeby kiedyś

jakieś inne dziecko miało oczy albo kolor włosów mojej córki. To byłoby... jak by to powiedzieć... to byłoby obrzydliwe.

- No chodź, Nadine, idziemy - łagodnie zainteresował jej mąż, wciąż jednak na mnie nie patrząc, ani nie biorąc mnie w obronę, a wtedy do mnie dotarło, że choć okazuje większą powściągliwość, podziela zdanie żony.

- No cóż, zrobię, co w mojej mocy - odparłam sucho - ale przyznacie państwo, że trudno mi cokolwiek obiecywać, kto wie, co przyniesie przyszłość.

Pani Soignes sapnęła, otarła oczy, a następnie twarz wyciągniętą z rękawa chusteczką - nie zaproponowałam jej liliowej chusteczki higienicznej - a potem, wskazując plastikową reklamówkę, mruknęła:

- Niech pani zje sałatę, Delphine. I melona. I szynkę parmeńską. Dla dobra dziecka.

Chciałam się podnieść, dała mi jednak znak, żebym nie wstawała, i oboje - mąż, podtrzymując żonę w pasie, jakby to ona była w ciąży - ruszyli do wyjścia. Zamknęli drzwi tak powoli, że dzwonek przy drzwiach tylko lekko zadźwięczał. Z plastikowej torby pachniało melonem, ja zaś miałam przed oczami dokument pod groźbą zadenuncjowania na policji nakazujący mi oddanie Anne-Lise od razu, jak tylko wydam ją na świat, w ręce pani i pana Soignes, by w ten sposób zakończyć sprawę raz na zawsze. Jeszcze kilka tygodni, jeszcze kilka dni temu poczułabym się upokorzona takim brakiem zaufania, bo czyż kiedykolwiek nie wywiązałam się z podjętego zobowiązania? Niech spytają moich klientów - powiedziałabym im - czy kiedykolwiek uchyliłam się od wykonania pracy, choćby nie wiem jak

przykrej. Okłamywałam starców, dzieci i umierające kobiety, zabiłam człowieka - dodałabym niemal z dumą - nie potrzebujecie tego świstka, żeby mieć gwarancję, że wypełnię swoje zobowiązanie. I z pewnością powiedziałabym to wszystko z taką wyższością i pewnością siebie, że zaczęlibyście mnie przeproszać, a tę swoją umowę zabralibyście i schowali z powrotem do koperty. A jednak bez słowa ją podpisałam, sama nie wiedząc dlaczego, domyślałam się tylko, że ma to jakiś związek z zeszytem, z wanną, z czułością obu mężczyzn obejmujących się w ciepłej wodzie; trudno by mi to było wytłumaczyć, ale zrobiłam to z przeświadczeniem, że na nic innego nie zasługuję. Rozwiązałam uchwyty torby, wyjęłam pojemnik z pokrojonym w kostkę melonem i szynką parmeńską i unosząc kawałki do ust, zjadłam to wszystko palcami, wpatrując się pustym wzrokiem przed siebie, czego też nigdy nie robiłam - jadałam zawsze przy stole nakrytym do posiłku. Skończywszy, wrzuciłam reklamówkę do kosza na śmieci i wytarłam palce liliową chusteczką. Nie miałam nastroju do dalszej lektury, schowałam zeszyt razem z innymi do torebki i zapisałam dokument w folderze, który zatytułowałam zwyczajnie: „Rachunki klientów za rok 1999”. Potem wyłączyłam komputer i włożyłam swój egzemplarz umowy, podpisany przez państwa Soignes, do nowej teczki. Niewiele brakowało, a zapomniałabym zamknąć drzwi na klucz, może dlatego, że dzwonek zabrzmiał tak cicho, kiedy wychodzili, a może dlatego, że wszystko to przypominało mi jakiś koszmarny sen. Nie miałam chęci na samotną kąpiel, opłukałam tylko twarz i umyłam zęby. A kiedy znalazłam się już w łóżku

i zgasiałam światło, pomyślałam o Jonesie. Pomyślałam o jego twarzy i jego jakże okrutnych słowach, pomyślałam o mężczyźnie, którego poznałam i który zdawał się tak bardzo różnić od tego z opisów Adoma. A przecież również Jones setki razy się sprzedawał, do osiemnastego roku życia na pewno zdążył już stracić całą swoją niewinność, całą spontaniczność, wiedziałam o tym, bo ja też przez to przeszłam, więc jakim sposobem i dlaczego spotkanie z Adornem tak wszystko odmieniło, jakie otworzyły się w nim wtedy drzwi, jaka zbroja pękła? Jak to możliwe, że nikt z tych setek mężczyzn i kobiet, dla których pracowałam, nie przytknął nigdy palca do tego jedyne go wrażliwego skrawka mojej skóry, tym samym mnie przeobrażając lub otwierając mi oczy, lub przenosząc mnie daleko wstecz, w czasy niewinności? Bliska tego była pani Derovitski, Adorno również, nigdy jednak nie przekroczyłam tej granicy, która oddzielała mnie od innych.

Anne-Lise w moim brzuchu poruszyła się i mimo woli pojawił mi się przed oczami przelotny obrazek skulonego maleństwa ssącego kciuk. Wyobraziłam sobie - co za niedorzeczny szczegół - zalotny loczek na policzku i zapragnęłam stanąć przed czerwoną wanną, w której siedzieli obaj mężczyźni, i zapytać ich, czy okazałam się potworem, podpisując ów dokument bez zmrużenia oka, bez protestu, nie zasięgnąwszy w duchu opinii maleńkiej dziewczynki, która być może wysłuchiwała tej rozmowy i teraz czekała, jaki wykonam ruch, czy sięgnę po pióro i podpiszę, a ja tak, zrobiłam to.

Zamknęłam oczy. Przypomniały mi się usta Jonesa na moim policzku. Przypomniało mi się jego spojrzenie, kiedy

mi powiedział, że jestem ładna - nieważne, czy kłamał wtedy, czy nie. Nagle, wstrząśnięta, pomyślałam: „Przecież spotkałaś tego klienta, który przytknął palec do wrażliwego skrawka twojej skóry, jeszcze tego nie odgadłaś?”. Otworzywszy oczy, wpatrzyłam się w ciemność, przerażona, z sercem bijącym równie gwałtownie jak serce Adorna, kiedy do jego drzwi zapukał Jones. „Dlaczego wypadło akurat na ciebie - rozmyślałam - mój bracie bliźniaku, mój bracie skorpionie” i w tym momencie zrozumiałam, że jeśli Jones zdoła kiedyś pokochać mnie tak, jak kochał Adorna, będzie to moim jedynym odkupieniem, jedynym zbawieniem.



## 25

Nazajutrz była sobota i cieszyłam się, że nie będę musiała niczego przed Marją udawać. Nie wyobrażałam sobie, żebym znów miała pracować z nią siedzącą w pokoju obok: wystarczy, że poszłabym do toalety czy poszukać jakiejś teczki w szafie z archiwami i nic by jej nie powstrzymało, żeby na tych swoich bosych stopach podejść do biurka bezgłośnie jak szpieg. Nie mogłam przecież zabierać ze sobą wszędzie zeszytu, a co dopiero komputera. W tym tempie, w jakim posuwałam się naprzód, do jutra na pewno skończę, dalej nie wybiegałam myślą.

Pracowałam, nie robiąc nawet przerwy na obiad. O drugiej zachciało mi się jeść, więc zrobiłam sobie dwie kanapki i nalałam szklankę soku pomarańczowego. Jones zadomawiał się w mieszkaniu Adorna, powoli znosił wszystkie swoje rzeczy włącznie z hortensją w doniczce, którą udało mu się umieścić na balkonie obok uschłej rośliny, bo Adorno nie pozwolił jej wyrzucić - i stopniowo utrwały się ich drobne rytuały, tace ze śniadaniem, które Jones przynosił mu do łóżka, bo on sam rano pił tylko kawę i Adorno ciągle go upominał: „Nie możesz pracować z pustym żołądkiem”, na co Jones śmiał się i zapalając swojego pierwszego tego dnia papierosa, odpowiadał: „Pracować? Ależ ja, najmilszy, nie pracuję”. Czasami dodawał: „Albo jeśli pracuję, to właśnie tak,

i możesz mi wierzyć, że to nie harówka, tylko przyjemność", po czym gasił dopiero co zapalonego papierosa, odstawiał tacę na podłogę i wskakiwał do Adorna do łóżka. Owe trzy lata zdawało się wypełniać wyłącznie szczęście, nie licząc kilku kłótni, po których Jones na dwa, trzy dni znikał, lecz potem zawsze wracał, a wtedy było mnóstwo łez i miłości.

Do trzeciej skończyłam drugi zeszyt i połowę trzeciego. To od tego momentu zaczynają się pierwsze poważne symptomy choroby, pierwsze pobyty w szpitalu, decyzja Adorna, żeby Jones wrócił do siebie, żeby nie stał się, jak pisał, opiekunem chorego, pielęgniarzem. W tym też okresie zaczął szukać takiej właśnie osoby, pielęgniarki, która byłaby również sekretarką, sprzątaczką i kucharką. Po raz pierwszy pojawiła się wzmianka o mnie.

Nigdy nie znałam Adorna. Jakąż nauczka było się o tym dowiedzieć, bo wyobrażałam sobie, że znam swoich klientów lepiej niż oni samych siebie, w przeciwnym razie po co by się do mnie zwracali, i nawet jeśli się czasem buntowali, żaden mi nigdy nie zarzucił, że pomyliłam się w jego ocenie - ich rewolta była wprost proporcjonalna do trafności mojego osądu.

Kiedy Adorno po raz pierwszy wspomniał o mnie w zeszycie, nie od razu zorientowałam się, o kim mowa, przede wszystkim dlatego, że nie przyszło mi do głowy, że się w nim w ogóle znajdę - w końcu byłam tylko tą pomocą domową, sekretarką, o której pisał wcześniej - a także dlatego, że nie miałam pojęcia, że tak mnie postrzegał. Nazywał mnie kamieniem lub po prostu Pietrą, wierzę, że bez złośliwości, niemniej zabolowało mnie serce, gdyż zawsze sądziłam - dopiero teraz to rozumiałam - że Adorno darzył mnie pewną sympatią, podobnie jak ja jego. Pisał: „Nie jest ani ładna, ani

brzydka, ale nigdy jeszcze nie spotkałem osoby okazującej tak niewiele uczuć, różnica między jej obecnością i nieobecnością jest tak niewielka, że czasami mam wrażenie, że nie istnieje, że sam ją wymyśliłem".

„Co was wszystkich napadło - pomyślałam - Adorna, Marję, Yarola, skąd ta myśl, że nie istnieję, tylko dlatego, że zajmuję się innymi, a nie swoją skromną osobą?". Sądziłam, że jest na odwrót, że to właśnie czyni to moją egzystencję pełniejszą. Pomyślałam też z gniewem: „Po co o mnie mówić w takich słowach, skoro pracowałam dla ciebie, Adorno, i, jak sądzę, swoją pracę wykonywałam dobrze. Ja sama nigdy o nikim nie powiedziałam złego słowa. Czy chciałbyś, żebym wykpiwała twoje futra, twój makijaż, w żaden sposób niebędący w stanie ukryć twojej skóry człowieka umierającego; chciałbyś, żebym z ironią opowiadała, że pisząc, czasami płakałeś jak wstydlive dziecko i nie chciałeś powiedzieć dlaczego? Nawet rzewne romansidła pani Derovitski nie były tak ckliwe. Całe strony są prawie nieczytelne, bo twoje łzy rozpuściły atrament; chciałbyś, żebym mówiła o tobie jak o sentymentalnym pedale, zakochanej wariatce? Nie, nie powiedziałam o tobie nigdy złego słowa i nigdy też nie napisałam na twój temat nic, co mogłoby trafić w ręce innych, więc nie masz prawa mówić, że jestem kobietą bez serca. Nie masz prawa pisać, że najchętniej byś mnie rozłożył na części jak zegarek, by zobaczyć, co napędza mój mechanizm, bo to z pewnością nie miłość, ani nawet pogoń za miłością i nie mogły to być też tylko pieniądze, bo pieniądze, jak pisałeś, to potężny czynnik, który nigdy jednak nikogo nie utrzymał przy życiu - zresztą jak mogłeś coś takiego napisać, nie wiedząc, że pewnego dnia pokocham Jonesa tak, jak ty go kochałeś?".

## 26

Więc wszystkie te słowa, „kamień”, „Pietra”, pominęłam. Wymazałam je, zniknęły, nie z fioletowych zeszytów oczywiście, ale przynajmniej z przepisane go tekstu, który miałam przekazać Jonesowi. „Może nawet - pomyślałam

- mogłabym, usprawiedliwiając się pomyłką mojej sekretarki, powiedzieć, że zeszyty zginęły, raz na zawsze się ich pozbyć, spalić je, tak żeby jedynym śladem wspomnień Adoma pozostały wydrukowane przeze mnie stronic. Mogłam tylko mieć nadzieję, że obaj mężczyźni byli zbyt zaabsorbowani swoją miłością, żeby rozmawiać o jakiejś damie do towarzystwa, że istnieje jeszcze szansa przedstawienia rzeczy inaczej.

Metodycznie usunęłam z tekstu obecną w nim kobietę, kobietę zimną, szorstką i kompetentną. „Można przecież dobrze pracować, okazując przy tym trochę ciepła

- skarżył się Adorno - pomyśl tylko, że przez sześć miesięcy nie mogła się zdobyć na to, by zwracać się do mnie po imieniu, choć tyle razy ją o to prosiłem. Nigdy nie przyniosła z targu wiązki żonkili ani tacki truskawek, jeśli sam nie zamówiłem, a możesz mi wierzyć, że nie żałuję jej premii”. Pisał też o zapachu, o niemożliwości znalezienia zapachu, który zgodziłby się połączyć z moją skórą, lub na który moja skóra by przystała. „Nawet włosy, nawet tkaniny zatrzymu-

ją aromaty - pisał - ale z niej wszystkie zapachy się ulatniają, a ty wiesz, Jones, co ja myślę o zapachach, myślę, że lepiej od nas wyczuwają prawdziwą wartość człowieka, jak zwierzęta, jak dzieci, przypomnij sobie to szczególne połączenie piżma i gardenii, które na twojej skórze stało się najcudowniejszą wonią świata".

Wymazałam nie tylko te fragmenty - anegdoty, przypuszczalnie obliczone jako rozrywka dla Jonesa, ale mnie przyprawiające o rumieniec wstydu - kto by przypuszczał, że Adoma bawiło liczenie moich słów i uśmiechów, kto by przypuszczał, że czasami przez cały dzień nic nie mówił po to tylko, żeby sprawdzić, czy z własnej inicjatywy się odezwę. Ale nie, robiłam, co do mnie należało, myłam podłogi albo pisałam pod jego dyktando, lecz milczałam jak zaklęta, mówiąc tylko: „Dzień dobry panu" albo później: „Dzień dobry, Adorno" i „Do widzenia panu" albo: „Do widzenia, Adorno". Nie dość, że usunęłam tę kobietę, to wymyśliłam inną, tak jak ja damę do towarzystwa, tak jak ja rudowłosą, która również zmywała naczynia i szorowała wannę. Muszę przyznać, że nie było to łatwe. Bo choć byłam przyzwyczajona do takich transformacji, choć tyle razy je stosowałam na użytek innych, teraz nie wiedziałam, jak to zrobić. Ja, która rozumiałam w pół słowa nawet najbardziej niejasne życzenia moich klientów, nie wiedziałam, jaką chciałby mnie widzieć Adorno, jaka mogłabym się spodobać Jonesowi, i z pewnością bym się pogubiła, gdyby droga nie była w pewnym sensie wskazana na tych stronach. A tak wystarczyło po prostu umieszczać odwrotność tego, co pisał Adorno, wystarczyło demontować to i składać z powrotem, tyle że na wspak: przynosiłam z targu bukiety piwonii i drobne

upominki, czekoladowe eklery, wyszczerbiony, lecz niepowtarzalny flakon, zauważony przypadkiem w witrynie sklepu ze starociami, i nie chciałam za nie zwrotu pieniędzy. Adorno niecierpliwie wyczekiwał moich wizyt, byłam zawsze wesoła i cierpliwa, nawet kiedy cierpiał i bywał opryskliwy; zastanawiał się zresztą, jakim sposobem udało mi się zachować łagodność, wykonując taki zawód, przecież mogłam łatwo stać się niemila. Nie pisałam za dużo, tyle tylko, żeby rzecz uwiarygodnić, a czyniąc to, miałam uczucie, że bronię własnej sprawy przed Jonesem. Nie jestem taka, jak myślisz, mówiłam, widzisz, kim naprawdę jestem, daj mi tylko trochę czasu.

Nie zauważyłam nawet, że w końcu w pewnym sensie stałam się swoją własną klientką, że budowałam iluzję i do udziału w niej zapraszałam samą siebie. Wkraczałam do palarni opium, do zamku z piasku i myślę, że gdybym nawet sobie to uświadomiła, wolałabym to odkrycie zignorować.

Późnym popołudniem zadzwonił telefon. Odruchowo podniosłam słuchawkę, klienci rzadko dzwoniли w weekendy, niemniej zadbałam o umieszczenie na naszych wizytówkach informacji, iż „W razie potrzeby - nie nagłego wypadku, lecz potrzeby - można do nas dzwonić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu”.

- Agencja „Dla Was”, dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Delphine? Marja? - zapytał kobiecy głos.

Od razu go rozpoznałam, choć zwykle słyszałam go nie częściej niż dwa, trzy razy w roku. Zirykowałam się, nigdy nie miałam zbyt wielkiej ochoty na rozmowę z tą akurat klientką, a tego dnia jeszcze mniejszą niż zwykle.

- Marja Jeska przy telefonie - odpowiedziałam - a pani...

- Mówi M. - odparła śpiewnym głosem. - Jak się pani miewa, Marjo? Przyjechałam na kilka dni do miasta i korzystając z okazji, chciałabym się zobaczyć z Delphine. Czy zastałam ją w biurze?

- Niestety nie. Przykro mi, wyszła, lecz mogę jej przekazać wiadomość.

- Proszę zapytać, czy w poniedziałek będzie mogła zjeść ze mną obiad. Niech do mnie zadzwoni. Zostawię pani mój numer...

Zanotowałam go w kalendarzu Marji z dopiskiem „Zadzwoń i umówić spotkanie na wtorek o dwunastej” i pod pretekstem, że mam drugi telefon, rozłączyłam się. Przez chwilę myślałam o czekającym mnie obiedzie, zawsze w tym samym miejscu, w naleśnikami na rue de la Neva. Pani M. wyobrażała sobie, że lubię naleśniki, bo w dzieciństwie się je lubiło. „Co ty o tym możesz wiedzieć?”, chętnie bym jej powiedziała. Ja nie lubiłam. Przez chwilę korciło mnie, żeby wykreślić świeżą notkę z kalendarza Marji, a zamiast niej napisać: „Zadzwoń i powiedz, że będę zajęta”, lecz nigdy nie odesłałam klienta tylko z tego powodu, że nie mam ochoty go widzieć, a poza tym wszystkie te obiady były rozliczane według tej samej taryfy co nasze inne usługi.

Pani M. zapraszała mnie raz lub dwa razy do roku, najczęściej wiosną, i prawie zawsze, jak już mówiłam, do tej samej pseudobretońskiej naleśnikami ze starą siecią rybacką rozwieszoną na ścianie i latarnią nad wejściem. „Cóż za żałosna sceneria”, myślałam za każdym razem wchodząc do środka, lecz sceneria na takie spotkania w gruncie rzeczy była idealna, jako że żaden inny przypadek nie był równie nieprawdziwy, równie sfingowany jak jej. Myśl taka nie mogłaby zaświtać w głowie pani M., bo, co ciekawe, była moją jedyną klientką niemającą pojęcia, czym konkretnie się zajmuję. A przecież te obiady odbywały się od chwili otwarcia Agencji, była jedną z moich najdawniejszych klientek - nie powiedziałabym, że najwierniejszych - choć między jednym i drugim zaproszeniem nie odzywała się, ani nie dowiadywała, co u mnie słyhać. Nigdy zawczasu nie wiedziałam,



kiedy ją znów zobaczę, nie wiedziałam nawet, czy w ogóle ją jeszcze zobaczę. Mógłby ją potrącić samochód, mogłaby zachorować, zamieszkać za granicą i nie wiem, czy pofatygowałyby się mnie o tym zawiadomić. Za każdym kolejnym pojawieniem się podawała inny numer telefonu i inny adres. Czasami to były małe, jedno- lub dwugwiazdkowe hoteliki, czasami mieszkania, które prawdopodobnie ktoś jej udostępnił. W ciągu tych piętnastu lat z pięć czy sześć razy podejmowała mnie w tych mieszkaniach obiadem - zestaw dań był zawsze ten sam, sałatka warzywna, kotlet mielony z zieloną fasolką, a na deser napoleonka - domowym obiadem z rodzaju tych, które improwizuje się naprędce z dwóch wyjętych z szafki puszek konserw. Nigdy nie był to obiad wystawny, bo właśnie tę prozę codzienności starała się odtworzyć, podobnie jak tymi obiadami w naleśnikami próbowała odtworzyć czasy dzieciństwa, o czym dobrze wiedziałam. Jej także mogłabym powiedzieć: „Na próżno się starasz, co się stało, to się nie odstanie, twoje wysiłki nic tu nie zmienią”, ale podobnie jak innym klientom, nigdy nie zdradziłam tej prawdy.

Marję początkowo zaciekała ta sprawa i zapytała:

- Czy ta kobieta o tym samym nazwisku co pani to ktoś z rodziny?

Żeby uciąć dalsze pytania, krótko odpowiedziałam, że daleka krewna. Kilka dni później wróciła do tematu.

- Ta pani, która nosi to samo nazwisko co pani, dziś znowu dzwoniła - oświadczyła. - Może powinnam jej podać pani prywatny numer telefonu? Albo powiedzieć, żeby wpadła po prostu do biura?

A wtedy podeszłam blisko, wyłączyłam jej mały radioodbiornik, po czym opierając obie dłonie na blacie biurka, nachyliłam się do niej i spokojnie powiedziałam:

- Proszę posłuchać uważnie, Marjo. Kiedy znowu zadzwoni, niech jej pani powie, że jeśli chce się ze mną zobaczyć, musi się umówić na spotkanie. Niech ją pani traktuje jak innych klientów. Proszę jej tylko nie mówić o stawkach, sama to zrobię.

I faktycznie zrobiłam tak na naszym pierwszym spotkaniu po długich latach nieobecności, z których mętnie próbowała się tłumaczyć.

- Nie chcę o niczym wiedzieć - powiedziałam. - Ale dużo pracuję, mam bardzo mało wolnego czasu. Biorę wolne godziny, żeby się z panią spotkać, i chciałabym, żeby mi to pani finansowo wynagrodziła. Nie wydaje mi się, żebym żądała zbyt wiele.

Sprawiała wrażenie stropionej, ale sięgnęła po torebkę i otworzyła zamek błyskawiczny.

- Ile mam ci zapłacić? - mruknęła. - Czy ja to ustalam, czy...

- To proste. Zapłaci mi pani... - tu wymieniłam sumę. - Tyle mniej więcej zarabiam za trzy godziny pracy. Bo obiad trwa około trzech godzin, prawda?

Otworzyła portfel, miała jednak niewystarczającą ilość gotówki, więc spojrzała na mnie pytająco.

- Wystarczy mi czek - powiedziałam cicho. Przygryzając wargi, wypisała czek na rogu stolika; było to, pamiętam, nasze pierwsze spotkanie w naleśnikarni. Podała mi go z wymuszonym uśmiechem; zauważyłam, że jeden zęb ma umazany szminką.

- Twoje kieszonkowe, kochanie - zażartowała, ale w jej głosie brakowało przekonania.

Bez słowa przyjął czek. Jedyna różnica między nią i innymi moimi klientami polegała na tym, że jej nigdy nie dawałam pokwitowania, sama nie wiedząc dlaczego, może uważałam, że istnieje gdzieś jakiś papier sprawiający, że ów dokument był zbędny. Pani M. zrozumiała, nie była głupia, z pewnością wolała taki kompromis niż kilka upokarzających słów lub odmowę.

Tamtego dnia na zakończenie rozmowy oświadczyłam:

- Nie ma potrzeby, żebyś wracała do przeszłości. Nie ma nic do wyjaśnienia. Nigdy za tobą nie tęskniłam.

Potem już więcej nie wracałyśmy do tego tematu i Marja również nauczyła się trzymać język za zębami. Nie pojmowała, jak mogę kultywować w sobie taką obojętność wobec kobiety noszącej to samo nazwisko co ja, nieważne, siostry, ciotki czy kuzynki, i która być może zwierzyła się jej przez telefon, respektowała jednak ten brak sentymentu, gdyż była przekonana - jak mi to kiedyś pod wpływem impulsu powiedziała - że to ja jestem duszą i kręgosłupem Agencji „Dla Was”.

Zamknęłam kalendarz i wróciłam do przepisywania, lecz nie wkładałam już w to tyle serca. Świadomość oszustwa tak bardzo mi doskwierała, że byłam bliska łez. „Cóż za ironia - rozmyślałam - żeby właśnie dzisiaj taki telefon. Czy to sposób, by mi przypomnieć, że człowiek się nie zmienia, nie zmienia się nigdy, że wszystko to tylko czcze słowa, podobne do tych, które serwuję swoim klientom - ale tak pięknie pachniały, Adorno by to docenił, tchnęłam w nie aromat źródła, z którego piłam, będąc dzieckiem (potem

przez długi czas odmawiałam picia wody z kranu), zapach krótkich włosów przyjaciółki z dzieciństwa, której imienia i twarzy już nie pamiętałam, wody toaletowej pani Dero-vitski, woń niektórych niemal szczęśliwych chwil, małych podarunków od życia, które jako takie odbierałam, zapach tego wszystkiego, co mogło mnie uczynić kim innym, tą właśnie nową kobietą z zeszytu".

Upłynęła dłuższa chwila, zanim usłyszałam uderzenia w okno. Były prawie niedosłyszalne, więcej hałasu narobiłby zwykły grad czy nawet ciężkie krople sierpniowej ulewy. Regularne postukiwanie musiało rozlegać się od dobrych dwóch, trzech minut, nim w końcu podniosłam wzrok, dostrzegłam odbijającą się od szyby kulkę papieru, potem drugą, i wstałam. Pomyślałam, że to być może jakieś dzieci zabawiają się bombardowaniem okien, choć w kamienicy żadnych dzieci nie było, i zamierzałam im powiedzieć, żeby poszły się bawić gdzie indziej, ale kiedy wyszłam na ulicę, ujrzałam uciekającego Yarola.

Rozpoznałam go po szczupłej sylwetce i długich włosach. Nie przestając biec, odwrócił się i dał mi znak, żebym pospieszyła za nim; wtedy zobaczyłam zdeterrriinowany i niespokojny wyraz jego twarzy. „Co się dzieje, Yarol?“, pomyślałam. Trzydzieści metrów dalej otworzył furtkę wychodzącą na aleję i zniknął.

Złapałam kurtkę, wsunęłam stopy w klapki i ruszyłam za nim. Chodnik przed Agencją był usłany papierowymi kulkami, więc przystanąłam na chwilę, żeby jedną czy dwie podnieść, rozwinąć i sprawdzić, czy Yarol coś na nich napisał, ale były puste, tylko wilgotne, pewnie Yarol je poślinił, żeby

nabrały wagi. Powoli skierowałam się w stronę furtki, za którą znajdował się wąski i ciemny pasaż, prowadzący zapewne, tak jak u mnie, na zaplecze budynku. „Dlaczego Yarol próbuje mnie tu zaciągnąć?”, pomyślałam, ale nie bałam się, Yarola nigdy się nie bałam. Kiedy znalazłam się na tyłach domu, jego już nie było. Stałam przez chwilę zdezorientowana, błędząc spojrzeniem po szarym, ciasnym placu, na którym leżał stos desek, stare narzędzia, jakaś drabina. Nie wiedziałam, gdzie się podział Yarol, czy to możliwe, żeby przez jakieś uchylone okno wślizgnął się do mieszkania na parterze, a potem je za sobą zamknął? Ale dlaczego w takim razie chciał, żebym za nim poszła? Z niepokojem pomyślałam o lokatorach mieszkania, o skardze, jaką być może będą chcieli złożyć, o gniewie matki Yarola, która obciążyłaby mnie za to odpowiedzialnością, tym większą, że incydent miałby miejsce zaledwie trzydzieści metrów od Agencji. Potem jednak zauważyłam metalowe drzwi, prawie niewidoczne na tle muru, a w szparze tych drzwi machającą do mnie rękę Yarola.

Ruszyłam za nim długim korytarzem, w którym stały kubły na śmieci i sprzęt do sprzątanania. Tym razem nie zostawił mnie w tyle, szedł kilka kroków przede mną, w jego ręce pojawiła się mała latarka kieszonkowa, którą oświetlał podłogę. Śmignął mi między stopami jakiś ciemny kształt, wielki owad lub gryzoń, i zakryłam dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Dopiero kiedy wyszliśmy na mały dziedziniec i naprzeciwko rozpoznałam zielone zasłony w oknie mojej sypialni, zorientowałam się, że zrobiliśmy tę samą drogę co chodnikiem, tylko w przeciwną stronę, i znaleźliśmy się na tyłach Agencji.

A więc to tędy przychodził Yarol, kiedy chciał kawałkiem sznurka przywiązać kartkę papieru do krat mojego okna.

Zadawałam sobie pytanie, za cenę jakich to zuchwałych wypraw na zaplecza i do piwnic zdołał w końcu odkryć to przejście. W rogu dziedzińca stał rodzaj przybudówki, pokrytej spadzistym dachem z blachy, w której dozorca prawdopodobnie trzymał narzędzia lub kubły na śmieci; ale kiedy Yarol schwycił mnie za rękaw i podprowadził blisko, zobaczyłam, że dostępu do niej broni nowy łańcuch z kłódką. Ściągnął przez głowę rzemyk z zawieszonym na nim kluczem i otworzył drzwi schowka. Pomieszczenie miało nie więcej niż metr wysokości i było bardzo wąskie; w środku ujrzałam zwinięty śpiwór, manierkę i prawie puste pudełko herbatników. Na ścianach Yarol przykleił skoczem plany miasta tak gęsto przez niego pogryzmołone, że ulice, aleje i rzekę ledwie można było rozpoznać. Przykucnął i ja też musiałam to zrobić, a potem usiadłam, bo było mi zbyt niewygodnie w tej pozycji. Zastanawiałam się, jak w ogóle mógł wytrzymać w tym schowku i ile godzin dziennie w nim spędzał. Z porozumiewawczym spojrzeniem nachylił się i wyszeptał mi do ucha:

- To dobra kryjówka. Chciałem ją pani pokazać, bo na pewno się przyda. Nie zawsze tu jestem, zresztą w razie potrzeby zmieścimy się oboje. W razie prawdziwego niebezpieczeństwa.
- Jakiego niebezpieczeństwa, Yarol? - zapytałam.
- Przecież pani wie - wyszeptał, ruchem podbródka wskazując ulicę za domem. - Wiedzą, gdzie pani mieszka. Czekają.
- Nic z tego nie rozumiem, Yarol.

Przyjrzałam mu się uważniej. Szyję nadal opasywały mu słuchawki walkmana, ale kabel dyndał w powietrzu; prawdopodobnie zgubił odtwarzacz i nawet tego nie zauważył.

Miał wypieki na policzkach i rozbiegany wzrok, którego nie potrafił skupić na jednym punkcie. Podniósł klucz do ust i gryzł metal tak zapamiętałem, że pokaleczył sobie język. Pamiętałem tę minę; taką samą miał w okresie, kiedy nie chciał wyłączyć komputera, odezwać się do mnie, wyjść ze mną na ulicę. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i pomachać mu nią przed oczami, tak jak się postępuje z lunatykami.

- Widziałem go - szeptał dalej. - Widziałem go. Człowieka, który czai się w okolicy. Pilnuje pani drzwi. Czeka na panią.

- Jakiego człowieka?

Zamachał bezładnie rękami, a potem udał, że przygląda włosy i rozczapierzonymi palcami drapie się po policzku, nie musiał nic więcej dodawać, od razu zrozumiałam, że chodzi o Jonesa.

- Kiedy go widziałeś? - zapytałam, a on znowu posłał ukradkowe spojrzenie w stronę budynku i ulicy.

- Wczoraj. I przedwczoraj też. I w zeszłym tygodniu. Z początku nie zwracałem na niego uwagi, myślałem, że na kogoś czeka, a potem zobaczyłem, że samochody przejeżdżają i ludzie przechodzą, nie zatrzymując się, a on dalej stoi i patrzy w pani okna, i wtedy zrozumiałem. A jak już byłem pewny, przyszedłem pani o tym powiedzieć.

- Dziękuję ci, że mnie ostrzegłeś, Yarol - powiedziałam. - Ale teraz, jak już wiem o wszystkim, mogę sama sobie poradzić. Nie bój się o mnie. Powinieneś raczej wrócić do domu, bo twoja matka będzie się niepokoiła.

W rzeczywistości wcale się nie bałam, byłam szczęśliwa, słysząc, że Jones czaił się pod Agencją, chciałam jak najszybciej wrócić do biura i dyskretnie rozsuwając zasło-



ny, próbować go wypatrzeć przez okno. Przytrzymując się drzwi, wygramoliłam się ze schowka.

- Nie siedź tu dłużej, Yarol - powiedziałam. - Możesz mieć kłopoty ze strony dozorca. Wracaj do domu. Obiecuję, że teraz, kiedy mnie już ostrzegłeś, zachowam ostrożność.

Spuścił głowę i konspiracyjnym tonem rzucił:

- Dozorca? Ten mały człowieczek bez włosów? On nie jest po ich stronie. Dałem mu pieniądze i powiedział, że mogę tu zostać.

- Pieniądze?

- Miałem trochę - wyjaśnił, wzruszając ramionami. - Pieniądze, które dostałem od matki. Moje oszczędności.

- Och, Yarol - jęknęłam.

Wzięłam głęboki oddech i ujęłam go za ramiona.

- Chodź - powiedziałam. - Zrobię ci kawy, a potem odwiozę cię do domu. Albo zadzwonię do twojej matki i ona po ciebie przyjedzie. Jak wolisz.

- Niech pani tylko nie dzwoni do matki - powiedział z naciskiem.

- Zostanę tu jeszcze trochę, żeby popilnować. Jutro poszukam innej kryjówki. To ważne, żeby nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu. Teraz niech już pani idzie.

Gnąc swoje długie ciało, wślizgnął się do schowka, gdzie usadowił się ze skrzyżowanymi nogami, z podbródkiem opartym na kolanach i czubkiem głowy dotykając dachu. Trzymał nadal klucz, który teraz na siłę wcisnął mi do ręki.

- Niech pani zamknie drzwi, zawiesi na łańcuchu kłódkę i przez ten tutaj otwór przesunie ją do środka - wyszeptał. - I zostawi w niej klucz. Nigdy się tu nie mogłem jak należy zamknąć, ale jeśli dzisiaj przyjdą, nie uda im się mnie dopaść.

Wahałam się. Nie wiem, co zdecydowało, że go posłuchałam: gorączkowość i niecierpliwość malujące się na jego twarzy, czy też moja własna gorączkowość, moja własna niecierpliwość na myśl, że wreszcie znowu zobaczę Jonesa. Zanim zamknęłam drzwi, powiedziałam:

- Obiecuj mi, że długo nie zostaniesz. Tu jest brudno i wilgotno. Nabawisz się śmiertelnej choroby.

Podniósł na mnie oczy. Promieniał. „Rozpoczął tę podróż na swoim skuterze - pomyślałam - w dniu kiedy odwiózł mnie do Agencji, to właśnie wtedy przeszedł na drugą stronę lustra, pieniądze, które mu dałam, niczego nie zmieniły, w każdym razie nie wystarczyły, by go z powrotem sprowadzić do rzeczywistości". Siedział skulony w schowku, w plecy musiały mu się wbijać rury biegnące po ścianach i dalej schodzące pod ziemię, oddychał tym stęchłym powietrzem i nigdy jeszcze nie widziałam go tak szczęśliwym.

- Obiecuję - wyszeptał. - Teraz niech pani zamknie te drzwi i już idzie. Bo przez panią nas odkryją.

Zrobiłam, o co prosił. Zamknęłam drzwi, obróciłam klucz w kłódce, którą następnie wsunęłam przez szczelinę. Przez chwilę stałam bez ruchu przed schowkiem, a potem delikatnie zapukałam, pytając szeptem:

- Wszystko w porządku, Yarol?

Nie było odpowiedzi. Przytknęłam ucho do drzwi i powtórzyłam:

- Yarol?

Usłyszałam skrzypnięcie drewna, uznałam więc, że w ten sposób najdyskretniej jak można komunikuje mi, że tak, wszystko w porządku. Wyprostowałam się, patrzyłam przez chwilę na schowek - taki szary i ciasny - i odeszłam.

Wracając do Agencji, zmuszałam się, żeby się nie rozglądać, nie wyobrażać sobie, że w każdej grze załamujących się cieni rozpoznaję sylwetkę zbliżającego się Jonesa. Nie patrząc za siebie, weszłam do środka, z zegarkiem w ręku odczekałam pięć minut i podeszłam do okna. Rozsunęłam na dwa palce firanki i wyjrzałam na ulicę, ale nie zobaczyłam Jonesa, jedynie dwie dziewczynki, dużą i małą, które trzymając się za ręce, kroczyły z powagą dzieci wysłanych po sprawunki, zabłąkanego psa z nosem przy ziemi i obejmującą się parę. Stałam tak przez chwilę z twarzą coraz bliżej szyby, aż zaparowała od mojego oddechu. Zastanawiałam się, czy Yarol mówił prawdę, czy rzeczywiście widywał Jonesa tak często, jak twierdził; może zauważył go tylko raz lub dwa i osobnik z wybrylantynowanymi włosami i ze szramą na policzku rozszczepił się w jego wyobraźni na wiele postaci. Zastanawiałam się, jak sformułować pytania tak, by móc oddzielić to, co naprawdę widział, od tego, co mu się tylko wydawało. A potem spostrzegłam, że zrobiło się późno, i usiadłam z powrotem do komputera.

Teraz, mając już tę nową Delphine w małym palcu, wiodłam ją przez kolejne strony niczym cień - na drugim planie ich miłości, niemniej obecną i życzliwą. Posunęłam

się wręcz do tego, że napisałam: „Delphine powiedziała mi, że spotkała cię wczoraj na ulicy. Rozpoznała cię z mojego opisu. Powiedziała, że byłeś dokładnie taki, jak sobie ciebie wyobrażała, a mnie sprawiło to ogromną przyjemność. Chciałbym, żebyście się kiedyś poznali. Myślę, że to niemożliwe, żeby ci się nie spodobała”.

Oczywiście robiłam też to, za co płacił mi Jones: przepisywałam wiernie słowa Adorna, łątałam postrzępione strony. Jeśli były nieczytelne, bez cienia wahania od pierwszej do ostatniej linijki pisałam je od nowa, jakbym zszywała jakieś dobrze znane mi ubranie. W Agencji przywykłam do wypełniania luk, zasklepiania ubytków, potrafiłam bezbłędnie odtworzyć rozkład dni, których klienci już kompletnie nie pamiętali. Wiele razy udawało mi się odnajdywać różnych nastolatków, mężów i żony tylko dzięki rekonstrukcji dziesięciu czy dwudziestu dni poprzedzających ich zniknięcie. Niewykluczone, że coś istotnego, jakieś zwierzenie lub pragnienie mogłam przeoczyć; Adorno, jak już wspomniałam, nie był tak otwartą księgą, jak to sobie wyobrażałam. Ale pamiętałam wszystkie kolejne dni, kiedy go odwiedzałam: i te, kiedy zastawałam drzwi zamknięte, i te, kiedy czekał na mnie z zeszytem na kolanach, z palcami zbyt obolałymi, by utrzymać pióro; pamiętałam okresy remisji i okresy nawrotów jego choroby, jak również wszystkie jego opowieści o żigolaku, o którym rozprawiał nieznużenie, choć coraz częściej, na myśl, że niebawem rozłączy ich śmierć - z nostalgią i rozgoryczeniem. „A przecież musiałeś umrzeć - rozmyślałam - żeby ja mogła spotkać Jonesa, musiałeś umrzeć, żeby Jones znalazł te zeszyty i zaczął mnie szukać”.

Myście o mnie, co chcecie, uważajcie mnie za potwora, jeśli chcecie, ale w tym momencie cieszyłam się, że pomogłam Adornowi wkuć igłę w żyłę, podnieść szklankę gorzkiej wody do ust, bo każdy z tych gestów przybliżał mnie do Jonesa. Nie byłam zwykłym widzem, niewidzialnym świadkiem - odegrałam czynną rolę w ciągu wydarzeń, które nas połączyły; tak, już wtedy, nie wiedząc o tym, tworzyłam scenerię naszego spotkania. Ja, która zawsze ingerowałam tylko w losy innych, zabrałam się wreszcie do budowy własnego gniazda, własnego życia.

Kiedy nadszedł wieczór i z oczami piekącymi ze zmęczenia z ociąganiem wyłączyłam komputer, byłam niemal szczęśliwa. Miałam uczucie, że znalazłam swój dom, a domem tym było mieszkanie Adorna z niebieską posadzką i z czerwoną wanną, że spędziłam w nim długie lata, ale przede wszystkim, że jego drzwi nadal stały otworem; nie było opróżnione z mebli, sprzedane, nie zamieszkali w nim obcy ludzie, którzy skuli kafelki, wyrzucili starą wannę na złom i pomalowali na nowo ściany wszystkich pomieszczeń. Przez piętnaście ostatnich lat kursowałam od łóżka chorego do starej kobiety, od wdowy do sieroty, inkasowałam czeki i marzyłam o rozwinięciu Agencji „Dla Was”, ale w rzeczywistości, choć nieświadoma tego, przebywałam tam, w tym domu; byłam bezpieczna, choć o tym nie wiedziałam.

Przed pójściem spać wzięłam klucz i przez kuchenne drzwi na tyłach mieszkania wyszłam na podwórze. Myślę, że nie zdziwiłby mnie widok smugi światła pod drzwiami przybudówki, nie byłabym zaskoczona, że Yarol mnie nie posłuchał i nadal siedzi w kryjówce. Ale dziedziniec domu był ciemny, a przybudówka ledwie widoczna pośród cieni

kryjących się pod murami. Wyciągając przed siebie ramiona, żeby nie nadzieć się na jakąś przeszkodę, ruszyłam w kierunku murowanego schowka, a kiedy wyczułam pod palcami brzeg falistej blachy, przykucnęłam i wyszeptałam: - Yarol? Yarol? Po omacku poszukałam łańcucha. Wydawało mi się, że od południa nie zmienił położenia, tyle że Yarol przeciągnął przez szparę kłódkę, żeby była mniej widoczna.

Oparłam czoło o ścianę schowka i pomyślałam o promiennej twarzy Yarola, w chwili gdy zamykałam za nim drzwi. To schronienie o powierzchni metra kwadratowego, pełne wyziewów z kanalizacji i rozmaitych rur, było ucieleśnieniem jego marzeń, sednem jego fantazmatów i czuł się w nim lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Zamknęłam oczy. Wciąż chodził mi po głowie cichy recytatyw zeszytu i pomyślałam: „A cóż innego robisz ty, wyciągnięta, przycupnięta, skulona, ukryta na stronach tego zeszytu, cóż innego niż robi Yarol? Włamałaś się do miejsca, które do ciebie nie należy, ale jedyne, w którym możesz być sobą”.

## 30

Możliwe, że Adorno nie mnie okłamał; w każdym razie mogłam liczyć na to, że dotrzymał obietnicy i nie wyjawiał Jonesowi, że byłam kimś więcej niż tylko uczestniczką jego życia, że tak naprawdę byłam dość szczególną damą do towarzystwa, jako że towarzyszącą mu do samej śmierci. Pod koniec zeszytu już o mnie nie wspominał; przejrzałam na ekranie kolejne strony, szukając miejsca, kiedy po raz ostatni się pojawiaam. Było to na wiele dni, tygodni przed tym ostatnim porankiem i faktycznie można było uwierzyć, że - jak zapewniałam Jonesa - od miesiąca już u niego nie pracowałam. Wyglądało na to, że Adorno stracił wszelkie zainteresowanie moją osobą; prawdę mówiąc, wyglądało na to, że stracił wszelkie zainteresowanie moją osobą w dniu, kiedy wyczytał z moich oczu postęp choroby, a zwłaszcza gdy zobaczył, z jaką łatwością zrywam łączące mnie z nim dotąd więzy. Nie było już mowy o Piętrze, o kamieniu, o perfumach, które ulatniały się z mojej skóry zamiast rozwinąć na niej pełnię aromatu, nie było już mowy o mojej nieskorej do uśmiechu twarzy czy oziębłości i z ukłuciem w sercu zrozumiałam, że jego uwagi może niekoniecznie były pozbawione czułości, że wyrażały tyleż przywiązanie, co kpinę. Jak mogłam nie zdawać sobie z tego sprawy?

Również i Jones w okresie opisanym w znacznej części piątego zeszytu już się prawie nie pojawiał, w każdym razie fizycznie, jako że Adorno już dawno odesłał go do domu z hortensjami. Rzadsze stały się imprezy, jak również podróże; widywali się już tylko w te dni, kiedy Adorno czuł się lepiej, kiedy kieliszek wina i długie minuty spędzone przed lustrem w towarzystwie różnych pudrów i szminek dodały mu dość siły, by mógł stawić czoło spojrzeniu žigo-laka. Ale nadal go wspominał, bez przerwy o nim mówił, wymieniał sumę pieniędzy, którą mu zamierzał zostawić, z gorącą nadzieją, że umożliwi mu ona rozpoczęcie nowego życia. „Mógłbyś kupić sobie mieszkanie na wybrzeżu, nad morzem - pisał - mógłbyś wrócić do interesu, mógłbyś zainwestować pieniądze, mógłbyś robić tysiące rzeczy, ale nie, jestem pewny, że wyjedziesz do tego dalekiego kraju, o którym wciąż mówisz, i wrócisz z niego równie biedny jak wtedy, kiedy cię spotkałem, jestem pewny, że je przepuścisz, bo jesteś taki sam jak ja, pieniądze się cię nie trzymają, wiesz, że są po to, żeby je wydawać, inaczej cię zdeprawują i otumanią, a przecież tak bardzo bym chciał, moja miłości, wiedzieć, że nie spocznie na tobie żadna inna ręka niż ta, której sam zapragniesz".

Ta wzmianka o pieniądzu, o spadku, była jedyną rzeczą sprawiającą mi kłopot. Nie dlatego że wiedziałam, jak bardzo Adorno - i Jones, siłą rzeczy Jones - gardził zawsze tym mrówczym ciułaniem, które uprawiałam, bezbarwnym stylem mojego mozolnego życia, całkowitym przeciwieństwem tego, jak żył on sam, ale ponieważ istniało ryzyko, że zaintryguje ona Jonesa. Co zdarzyło się w czasie między powstaniem ostatnich zapisków w zeszycie a chwilą,



kiedy zorientował się, że pieniądze zniknęły? Czy pomyśli, że Adorno go okłamał? Czy marzył o tym majątku, czy połapie się, że ktoś go uprzedził?

Więc jeszcze raz zmieniłam wersję Adorna. Nie widziałam innego wyjścia. Teraz Adorno wyobrażał sobie żigolaka w tym małym mieszkanku z widokiem na morze, na puste plaże południowoamerykańskiego kraju, Jonesa starszego, coraz starszego, być może zakochanego, być może rodzica, ale ani razu nie wspomniał o kopercie pełnej banknotów, spoczywającej w górnej szufladzie nocnego stolika.

Późnym rankiem skończyłam ostatni zeszyt. Pot spływał mi po plecach i miałam wysuszone usta, Adorno leżał na łóżku i postawił właśnie końcową kropkę swojego listu - właściwie nie była to kropka, raczej coś na kształt skrzydła; stalówka pióra ślizga się, kreśląc jakiś znak, tajemniczy i dziwnie poruszający - i nikt oprócz mnie nie wiedział, co nastąpiło potem. Błady świt, ostatnie godziny snu, otwierające się drzwi i nasze słowa - nikt o tym nie wiedział, nikt nie wiedział o rzucanych półgłosem poleceniach, o tym, jak w milczeniu wypełniałam je z tą samą starannością i precyzją, z jaką wykonywałam zawsze każdą pracę, a potem o ostatnich słowach, o wszystkich tych ostatnich słowach, którymi towarzyszyłam umierającemu, jak sędziwy lew cyrkowy skaczący przez obręcz; nikt nie wiedział i nikt nigdy się nie dowie.

Rozpoczęłam drukowanie. Zdecydowałam się na kremowy papier, przeznaczony do ważnych listów, a nie ten, którego używamy do zwykłej korespondencji; wybrałam elegancką czcionkę, starannie rozplanowałam stronę tytułową, napisałam: *List do Jonesa, Adorno nigdy wprowadzie nie*

wspominał, że chciałby go tak nazwać, ale uznałam, że to dobry tytuł. Nie mogłam się doczekać, kiedy zadzwonię do Jonesa i zaprezentuję mu swoje dzieło, owszem, takie określenie przyszło mi do głowy: moje dzieło - pomyśleć tylko, że ktoś mógłby to uznać za zwykłe przepisanie tekstu. „To coś więcej, to moje bez mała arcydzieło - pomyślałam w uniesieniu - Jones nie mylił się, uważając, że lepiej niż ktokolwiek inny poradzę sobie z uzupełnieniem zeszytów. Chętnie bym mu za to podziękowała, tak samo jak podziękowałabym Adornowi, że umożliwił mi wymyślenie historii takiej, jaką powinna być”.

Włożyłam wydruk do kartonowej okładki, a zeszyty schowałam do sejfu. Nie wiedziałam jeszcze, co z nimi zrobię; czułam w sobie taką lekkość, że rozważałam wręcz, czy nie przekazać ich Jonesowi, zamiast je zniszczyć. „Istnieje tak niewielkie prawdopodobieństwo, że pokusi się o porównanie obu wersji - mówiłam sobie - zwłaszcza że napisana przeze mnie na nowo historia jest tak doskonała, że Jones nie będzie miał najmniejszego powodu, by głębiej dociekać jej sensu, najmniejszego powodu, by zastanawiać się, jak było naprawdę”. Oto do jakiego stopnia stałam się zarozumiała, do jakiego stopnia zatraciłam wszelkie poczucie prawdy i kłamstwa.

Wczesnym popołudniem wyjęłam teczkę Jonesa i przesunęłam palcem po formularzu, zatrzymując się przy rubryce z numerem telefonu. Kiedy go wybrałam, nagrany na automacie głos poinformował mnie, że nie ma takiego numeru, nie zniechęciło mnie to jednak, przeciwnie, byłam przyzwyczajona do tego typu podchodów. Zadzwoniłam na informację i po niekończącej się dyskusji

z oporną telefonistką uzyskałam na podstawie adresu inny numer. Jones w rzeczywistości nazywał się Jonathan B. Wzruszyło mnie to kłamstewko, ta drobna zmiana personaliów, przekształcająca banalne imię w tajemniczy pseudonim. Numer telefonu był podobny do tego, który mi podał; nie wiedziałam, czy dyktując mi go, rozmyślnie lub niechcący się pomylił, czy może ja sama, owego dnia tak poruszona, źle go zanotowałam. Natrafiłam na automatyczną sekretarkę, ale nie odłożyłam słuchawki; odsłuchałam nagranie i zadzwoniłam jeszcze dwukrotnie, za każdym razem słuchając go do ostatniego słowa i rozłączając się dopiero po końcowym sygnale. Za czwartym razem, uprzedzając lakoniczne „Jones, zostaw swoje nazwisko i numer telefonu”, odebrał, a ja, wstrzymując oddech, milczałam. „Ilu ich jeszcze będę musiała oswajać - myślałam - Jonesa z zeszytu, Jonesa z automatycznej sekretarki, którego intonację znałam już teraz na pamięć - zachrypnięcie głosu w chwili wymawiania nazwiska - i tego, który niecierpliwie powtarza teraz »halo, halo«”. Odgadując, że za moment odłoży słuchawkę, zmusiłam się do przerwania milczenia.

- Mówi Delphine M. - powiedziałam. - Z Agencji „Dla Was”. W ubiegłym tygodniu zlecił mi pan przepisanie zeszytów.

Tym razem po drugiej stronie zapadła cisza; pewnie się zastanawiał, dlaczego dzwonię w niedzielę, dlaczego trzykrotnie się rozłączyłam, nie zostawiając wiadomości.

- Delphine M. - powtórzyłam niemądrze, jakbym się spodziewała, że to go przekona o braku wrogich zamiarów z mojej strony.

W końcu odpowiedział:

- Wiem, kim pani jest. Prawdę mówiąc, nie byłem pewny, czy pani zadzwoni.

- Skończyłam przepisywanie zeszytów - oznajmiłam.

Usłyszałam, że krótko i gwałtownie złapał oddech, jakby go ktoś znieczeka uszczypnął we wrażliwe miejsce po wewnętrznej stronie ramienia.

- Odniosłam wrażenie, że to pilne - ciągnęłam. - Pomyślałam, że może nie będzie pan chciał czekać aż do poniedziałku.

Skończyłam pracę niecałe dwie godziny temu. Może pan odebrać wydruk.

Odczekałam jeszcze kilka sekund, a potem, gdy już miałam powiedzieć: „Jest pan tam, Jones?”, cichym głosem zapytał:

- Gdzie pani teraz jest?

- U siebie w biurze - odpowiedziałam, po czym zmieszana szybko się poprawiłam: - Nie, spotkajmy się raczej w parku Pod Platanami. Mam tam coś do załatwienia. Wie pan, gdzie to jest, prawda?

- Tak. Za godzinę?

Spojrzałam na biurowy zegar, potrzebowałam trochę czasu, żeby się przygotować na spotkanie, więc powiedziałam:

- Raczej za dwie.

- Za dwie - powtórzył jak echo i nie mówiąc do widzenia ani nie ustalając miejsca spotkania, odłożył słuchawkę.

Ciekawe, co robił w chwili, gdy zadzwonił telefon, czy był sam, czy z kimś, czy był czymś zajęty, czy po prostu poruszony na myśl, że zeszyty są nareszcie gotowe i będzie je mógł przeczytać.

Prawie przez godzinę siedziałam przed wyłączonym komputerem. Czułam kolejno przerażenie, ufność i dziwny spokój, wydaje mi się, że nawet na kilka minut, wsparta łokciem o poręcz fotela, przysnęłam. Potem poszłam do mieszkania, żeby się przebrać. Zamierzałam włożyć zieloną bluzkę i spódnicę z regulowaną talią, zorientowałam się jednak, że ani w jedno, ani w drugie się nie mieszczę, tak jakbym od wczoraj, czy w czasie tej godziny, kiedy czekałam, aż nadejdzie pora, by udać się na spotkanie z Jonesem, utyła.

## 31

Dzień był dziwnie chłodny, niebo zasnuwane żółtawymi chmurami i w regularnych odstępach czasu kropił deszcz. Powinnam była zadzwonić do pani Coindreau i upewnić się, czy życzy sobie, żebym wyszła na spacer z jej dziadkiem - prawdę mówiąc, byłam prawie pewna, że będzie wolała spacer odwołać - ale tego nie zrobiłam. Włożyłam prochowiec i z dużym zapasem czasu wyszłam. O wpół do trzeciej zapukałam do drzwi domu Agathe Coindreau, która otworzyła mi, ubrana w szlafrok i kapcie. Na mój widok zrobiła zdziwioną minę.

- Nie sądziłam, że pani przyjdzie - powiedziała. - Nagle tak się ochłodziło, zupełnie jakby zaraz miała być burza. Powinnam była do pani zadzwonić. Zastanawiam się, czy to rozsądne pozwolić dziadkowi wyjść na dwór, boję się, czy nie nabawi się jakiegoś kataru.

- Nie jest znów tak brzydko - odpowiedziałam. - Zresztą na dworze jest przyjemniej niż w domu. Wystarczy, że włoży sweter. Jestem pewna, że ucieszy go krótki spacer na świeżym powietrzu.

W rzeczywistości nie wierzyłam w ani jedno swoje słowo, wiedziałam, że staruszkowi zupełnie nie sprawia różnicy, czy jest tu, czy tam, czy siedzi w zamkniętym poko-

ju, czy pod drzewami w parku, śpiący czy przytomny, żywy czy niedługo już martwy. Wnuczka zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

- Skoro już pani jest - powiedziała. - Proszę wejść, zaraz go ubiorę.

Wykonałam polecenie, cicho zamknęłam za sobą drzwi i stanęłam nieruchomo w hallu, czekając. W małym owalnym lustrze nad wieszakiem z kluczami widziałam swoje odbicie. Moja twarz - być może z powodu kąta, pod jakim przez szybę w drzwiach wpadało światło - sprawiała wrażenie okrytej maską brunatnych plam. Z końca korytarza dobiegły mnie stłumione głosy, jakiś niecierpliwy okrzyk, potem terkot wózka inwalidzkiego i pojawił się starzec. Miał na sobie sztruksową koszulę z długimi rękawami i wełnianą czapkę. Za nim kroczyła Agathe Coindreau, trzymając w ręku saszetkę, którą podała mi nad ramieniem dziadka.

- To, co zwykle, trzy papierosy i dwa cukierki - powiedziała. - I oczywiście niech go pani przywiezie z powrotem, jeśli zacznie padać.

A potem nachyliła się do ucha staruszka i wskazując mnie ręką, krzyknęła:

- Oto Agathe, panie Coindreau, przyszła zabrać pana na spacer do parku.

Starszy pan posłał mi niepewny uśmiech, oczy miał jasne i załamane, ale wiedziałam, że jak tylko dotrzemy do ogrodzenia, po omacku zacznie szukać mojej ręki, powtarzając: „Agathe, Agathe”. Na co zawsze odpowiadałam machinalnie: „Tak, dziadziu, tak, dziadziu”, ale dziś byłam tak zdenerwowana, że ku własnemu zaskoczeniu zaczęłam mu opowiadać, po co przyszłam i po co idziemy do parku, nie po

to, żeby mimo chłodnego dnia posiedział pod platanami na powietrzu, lecz po to, żebym mogła się zobaczyć z przyjacielem. „Przyjacielem” - pomyślałam - co powiedziałby Jones, gdyby usłyszał, że go tak nazywam, czy byłby zdziwiony, czy może po namyśle uznałby, że faktycznie istnieją między nami pewne powinowactwa? Czy tylko ja przebyłam tę drogę od wrogości do pożądania, czy też możliwe, że z nim było podobnie - tylko co by go miało do tego skłonić, to krążenie dookoła Agencji? Dostrzeżona w przelocie za szybą moja twarz?”.

Upłynęła jeszcze prawie godzina, nim przez bramę północną wszedł do parku, a ja na jego widok aż podskoczyłam.

- Nie zrywaj tych kwiatów, wiesz, że to zabronione. Nie wstawaj. Proszę cię, nie wstawaj.

Stary człowiek zawahał się. Przytrzymując się poręczy wózka inwalidzkiego, zdążył się już podnieść i teraz, by utrzymać równowagę, stał na rozstawionych nogach, z łagodnym uśmiechem niezrozumienia na ustach - często pozwalałam mu zrobić kilka kroków alejką, a potem wracał i siadał obok mnie. „Kto by przypuszczał, że będę potrzebowała w charakterze przyzwoitki zdziecinniałego staruszka”, pomyślałam, jednak trudno mi było przywołać się do porządku, więc pośpiesznie sięgnęłam do torby i wyjęłam paczkę papierosów.

- Jeśli usiądziesz, dostaniesz o jednego więcej - obiecałam szeptem.

Z twarzą spiętą od wysiłku, równie powoli, jak się podniósł, usiadł z powrotem i wyciągnął rękę. Wyjęłam z paczki papierosa, wsunęłam mu do ust i już go miałam przypalić, kiedy Jones podsunął płomień swojej zapalniczki.



- No, no - rzuciłam sztucznie lekkim tonem. - Zeszłej niedzieli nie miał pan ognia, a dziś pamiętał pan o zabraniu zapalniczki? Jones schował zapalniczkę do kieszeni i wzruszył ramionami. Miał krótko obcięte włosy, wyglądał w nich młodziej, ja zaś uświadomiłam sobie, że jest ode mnie o dobre dziesięć lat młodszy. „W czym problem - pomyślałam - pokonaliśmy już tyle innych przeszkód”. Policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost, ale zmiany te - krótkie włosy, twarz pociemniała od zarostu - nie umniejszały wrażenia swojskości, jakie na jego widok odczuwałam. Zauważyłam, że próbuje rozszyfrować mój uśmiech, „Zawrzyjmy pokój, Jones”, zdawały się mówić moje usta i trudno mi było wyobrazić sobie, że nie wyczuł mojego strachu i pożądania. Siedzący obok pan Coindreau palił papierosa, zatopiony we własnym świetle, obojętny na to, co rozgrywało się pod jego bokiem.

- Proszę usiąść - powiedziałam do Jonesa. - Niech pan usiądzie, proszę.

Zauważyłam, że zerknął na starszego pana, więc pośpieszyłam z zapewnieniem:

- Bez obaw, nie będzie nas słuchał. To... to dziadek mojej przyjaciółki.

Nie śmiałam się przyznać, że płacono mi za zabieranie go do parku. Sięgnęłam po torbę i położyłam ją sobie na kolanach. Jones usiadł, a ja wyjęłam plik wydrukowanych stron.

- Gotowe - zaczęłam, po czym ze zdumieniem usłyszałam, jak mówię: - Może pan naturalnie wybrać inną czcionkę, jeśli pan sobie życzy. Mogłam to z panem wcześniej ustalić, ale myślę, że i ta da panu pewne wyobrażenie

o końcowym efekcie. To klasyczna czcionka, dość elegancka. Okładka też może być inna, możemy na przykład rozważyć umieszczenie na niej fotografii zmarłego...

Zdyszana, umilkłam. Spostrzegłam, że drżą mi ręce, więc położyłam wydruk na ławce między nami. Wziął go, ale nie zajrzał do środka. Przyglądał mi się z lekkim uśmiechem, choć równie dobrze mogło to być zaciśnięcie ust, być może bawiło go moje poruszenie, lub przeciwnie, sam czuł się zakłopotany, bo powiedział:

- Proszę się nie krępować. Powierzając pani te zeszyty, wiedziałem, co robię. Przypuszczam, że niewiele z mojej intymności jest jeszcze pani obce. Zewnętrznej i wewnętrznej. Ale nie przeszkadza mi to. Jestem przyzwyczajony.

Uśmiechnęłam się z przymusem.

- Och, nie jestem skrupowana - odpowiedziałam. - Ja też jestem przyzwyczajona. W moim zawodzie często się z tym stykam.

Życie innych, że tak powiem, nie ma już dla mnie tajemnic. Skinął głową ze zrozumieniem, nie wiedziałam jednak, czy uważa to za coś dobrego, czy złego, za szansę czy przekleństwo, i ja sama w tym momencie nie umiałabym na to pytanie odpowiedzieć.

- A przecież każde życie jest inne - ciągnęłam nieporadnie, bo dużo mnie kosztowało wyznanie tego; miałam wrażenie, że jednym ruchem niszcę coś, co przez tyle lat utrzymywało Agencję oraz mnie samą w pionie, ten kręgosłup, o którym mówiła Marja, miałam wrażenie, że niczym w grze w kości grzbietem dłoni demoluję go, a jego fragmenty, rozrzucone tu i tam, są tak liczne i tak rozproszone, że nie ma nawet co liczyć na złożenie ich z powrotem. - Na

ogół ich nie dostrzegam. To znaczy, nie wnikam w nie. Nie uważam tego za powód do dumy, ale jeśli mam być całkiem szczerą, nie interesują mnie. Ludzie mnie nie interesują. Z wyjątkiem pana, Jones.

Nie śmiałam na niego spojrzeć. Wystarczyłby mi jeden rzut oka, by odczytać na jego twarzy wstrząs lub obojętność, pożądanie lub wzgardę, i po raz pierwszy w życiu pożałowałam swojej intuicji, tak wielkiej, że aż bezbłędnej; najchętniej pozostałabym w niepewności, dopóki Jones jednym słowem nie odbierze mi wszelkiej nadziei, tak, bez wahania zaakceptowałabym kilka minut złudnego szczęścia. Siedziałam ze wzrokiem wlepionym w tę książkę, w plastikowy grzbiet, tak starannie umocowany, w okładkę z fiołkowego papieru, tak pasującą do fioletu zeszytów, tyle że o ton ciemniejszą, o ton wyrazistszą, i niewidoczne pod nią słowa Adorna oraz moje, odtąd nierozzerwalnie połączone. Skojarzyło mi się to z przeszczepem, o którym nie wiadomo, czy się przyjmie, czy nie; skóra i organy, które nie są skórą i organami biorcy, i tylko czas zadecyduje, czy zdołają spełnić swoją rolę, czy pacjent poczuje się dobrze, czy też nastąpi odrzucenie lub zakażenie, tak, tym to właśnie było, przeszczepem historii życia - zaszczepiłam własne życie na ich życiu.

- Od kiedy przeczytałam te zeszyty, ciągle o panu myślę - wykrztusiłam. - Niezbyt to profesjonalne, ale chcę, żeby pan o tym wiedział.

W końcu podniosłam wzrok. Teraz on z kolei wpatrywał się w okładkę książki, zupełnie jakbyśmy oboje, raz on, raz ja, kontemplowali planszę gry, z której tylko jedno z nas wyjdzie zwycięsko, i chciałam powiedzieć: „Przestańmy już grać”.

- A wydawała się pani tak zdecydowana, żeby nie podjąć się tej pracy - odezwał się wreszcie beznamiętnym tonem i poczułam w sercu ukłucie, słysząc słowo „praca”, widząc, że uchylił się od odpowiedzi na moje zawołane pytanie: „A pan, Jones?”.

- Wyjaśniłam panu powody - powiedziałam. - Nasza zasada poufności, reguły mające na celu ochronę prywatnego życia klienta. Ale miał pan rację. Już od pierwszych stron wszystko było jasne. Adorno napisał to dla pana.

A potem, zda się w ramach ostatniej gwarancji przed skokiem na głęboką wodę, ostatniej próby zmuszenia, by dowiódł swojej niewinności, dodałam:

- Chciałabym pana o coś zapytać. Kto panu dał te zeszyty?

Nie odpowiedział. Pomyślałam - a była to najmniej bolesna z możliwości - że mi nie ufa; inną było to, że najzwyczajniej nie ma ochoty wyjawiać mi czegokolwiek, że chce, byśmy pozostali przy naszych dotychczasowych rolach klienta i świadczącej usługę, a w tym charakterze, rzecz jasna, nie miałam prawa o nic pytać. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i tonem niemal proszącym ciągnęłam:

- Rozszyfrowałam te zeszyty, tak jak pan prosił, Jones.

Powiedziałam panu więcej, niż nakazuje rozsądek. Myślę, że mógłby mi pan odpowiedzieć.

Przesunął palcem po krawędzi wydruku, jakby mu brakowało nierówności zeszytów, oślich rogów pospinanych kartek, chropowatości metalowych spinaczy, i z ociąganiem odpowiedział:

- Nikt. Sam je znalazłem. U Adorna.

- Poszedł pan do Adorna? - zapytałam zaalarmowana. - Kiedy?

Mogliśmy wpaść na siebie w progu sypialni, w progu mieszkania, w progu budynku; co poczułby, ujrawszy mnie ze strzykawką w rękę niczym anioła śmierci albo niosącą białą foliową torbę z tym, co nazwałam rzeczami Adorna? Czy tajemnica śmierci na zawsze by nas związała, czy odwrotnie, byłby dla mnie stracony, bo w jego świadomości pozostałabym kobietą, która zabiła Adorna?

- Adorno co wieczór do mnie dzwonił - ciągnął. - Kiedy minęły dwa dni, a on się nie odzywał, zrozumiałem, że coś się stało. Poszedłem do niego, zadzwoniłem, ale mi nie otworzył, więc dostałem się do mieszkania za pomocą zapasowego klucza, który w tajemnicy przed nim kazałem dorobić. Wszedłem do sypialni i zobaczyłem go na łóżku. Od razu wiedziałem, że nie żyje. Chciałem podejść bliżej, ale nie mogłem się zmusić. Nigdy wcześniej nie widziałem nieboszczyka. Pewnie to panią dziwi, co? Bóg mi świadkiem, że niejedno w życiu widziałem, ale tego nie.

Więc nie ja jedna widziałam Adorna po śmierci, pomyślałam oszołomiona, nie jestem jedyną strażniczką tego czegoś sekretnego i niewysłowionego, co zniknęło z chwilą, kiedy do mieszkania wtargnął dozorca lub strażacy, kiedy na umarłym spoczęły ręce i spojrzenia innych. Poczułam ulgę tak wielką, że o mały włos nie wyznałam Jonesowi: „Ja też tam byłam”. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno było mi nieść ten ciężar, miałam ochotę powiedzieć mu: „Wiem, co czujesz, ale nie tylko ty to czujesz, pozwól, żebym ci pomogła”.

Uwaga, z jaką go słuchałam - często wykorzystywałam tę swoją umiejętność słuchania ani z nadmiernym skupieniem, ani nadmierną nonszalancją - musiała go ośmielić, bo ciągnął:

- Adorno nieraz mówił mi o tych zeszytach. Zdziwiło mnie, że nie pomyślał, by zostawić je gdzieś na widoku. Sprawdziłem na stole, na konsoli w przedpokoju, szukałem pod zlewem, opróżniłem szafy i komody i w końcu znalazłem je w szufladzie, do której Adorno nigdy nie zaglądał. Do dziś nie rozumiem, dlaczego je tam schował. Możliwe, że sam już nie wiedział, co robi. Albo nie chciał, żeby trafiły w pierwsze lepsze ręce. A pani jak uważa, Delphine? - zaskoczył mnie nagłym pytaniem.

- Tak - odpowiedziałam. - Z pewnością o to chodziło. Czułam w głowie upajającą lekkość. Nie miałam się czego bać, Jones nic nie podejrzewał, nigdy nie będzie podejrzewał, Agencji nic nie groziło i nic już nie stało na przeszkodzie, żeby nauczył się mnie kochać, bo nigdy nie dowie się, że to moja sprawka - i w tym momencie naprawdę wierzyłam, że ta nieprawdopodobna miłość jest możliwa, ta miłość, dla której, niczym laborantka, usiłowałam znaleźć wzór chemiczny. Jones wydawał się smutny i zasepiony, nie siedział na ławce w parku, tylko duchem przebywał w mieszkaniu, w którym przed chwilą zagościła śmierć, i dałabym wszystko, byle móc go pocieszyć. Dostrzegłam na jego twarzy szramę, którą tak uwielbiał jego kochanek, i tak samo jak on nazajutrz po ich pierwszym spotkaniu, przyłożyłam do niej palce, próbując wpasować je w jej zarys. „Jesteśmy dla siebie stworzeni jak dłoń i rękawiczka”, pisał Adorno, lecz bliznowata skóra nie pokrywała się z kształtem mojej dłoni, zdawała się usuwać spod palców, a moja dłoń wyglądała dokładnie na to, czym była: na dłoń przyłożoną do obcej twarzy, nie tam, gdzie było jej miejsce. „Nic dziwnego, jest drobniejsza od ręki Adorna”, pomyślałam, mimo to,

tknięta niemiłym przeczuciem, zadałam sobie pytanie: „Czyżbym była za mała dla Jonesa?” - i nie chodziło mi tylko o widok mojej ręki na jego szramie.

Mój gest go zaskoczył. Nie odepchnął mnie - podobnie jak ja, zanadto był przyzwyczajony do dotyku, i to wielu obcych dłoni, by zareagować impulsywnie - ale tak znieruchomiał, że mogłam jedynie opuścić rękę. Chciałam wyznać mu więcej, opowiedzieć o sobie, chciałam, żeby i on zrozumiał, żeby nauczył się torować sobie drogę przez labirynt, jakim było moje życie, wcale nie mniej skomplikowane niż jego. Zapomniałam o groźbie deszczu, o starym człowieku, który wypalił już papierosa i teraz płaczliwie mamrotał swoją monotonną skargę, lecz w momencie gdy opuściłam rękę, Jones otarł krople deszczu z okładki książki i wstał.

- Przeczytam to - powiedział. - I zadzwonię do pani, kiedy skończę.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem - jak może chcieć już odejść, dopiero co się spotkaliśmy - i złapałam go za rękaw, uważając, żeby nie dotknąć jego dłoni, jakże mogłabym zapomnieć o tak podstawowej zasadzie.

- Niech pan zaczeka - powiedziałam i poczułam tylko przelotny wstyd, usłyszawszy błagalny ton swojego głosu.

- Niech pan jeszcze nie odchodzi. Tak długo na to czekałam, Jones - a widząc jego zdziwione spojrzenie, dodałam ciszej:

- Naprawdę muszę z panem porozmawiać.

Przez chwilę stał z wyciągniętym ramieniem, z rękawem uwięzionym w mojej dłoni, który wreszcie z ociąganiem puściłam.

- Zadzwonię do pani - powtórzył. - Dłużej nie mogę zostać. Jestem umówiony.

Zaczęły spadać gęste, ciężkie krople deszczu i Jones postawił kołnierzyk koszuli. „Z kim umówiony?”, pomyślałam ogarnięta uczuciem, które nie od razu zidentyfikowałam - zazdrości, dzikiej zazdrości, i drżącym głosem powiedziałam:

- Musi mi pan zapłacić. Nie mogę panu pozwolić tak po prostu odejść. Proszę zaczekać, sporządzenie rachunku zajmie mi nie więcej niż minutę.

A wtedy na moich oczach jego twarz uległa metamorfozie. Przez usta przemknął mu uśmiech, jakby z powrotem znalazł się na znajomym gruncie, i potrząsnął głową.

- Bez obaw, zapłacę - powiedział. - Ale chyba pani rozumie, że najpierw muszę przeczytać. Wcześniej nie dostanie pani ani centa.

Odwrócił się i ruszył w stronę bramy parku. Okładka książki była kolorową plamą pośród szarości, a ja, bliska łez, czułam się tak, jakbym wypuściła z ręki tę jedną jedyną rzecz, która mogła związać ze mną Jonesa, ale potem pomyślałam: „Nie bądź głupia, musi najpierw to przeczytać, żeby zrozumieć, musi najpierw przeczytać te słowa, żeby możliwy stał się ciąg dalszy, tylko jaki ciąg dalszy?”.

Deszcz rozpadał się na dobre, za chwilę z żółtego nieba lunie jak z cebra, i właśnie chciałam powiedzieć Edgarowi Coindreau, że musimy wracać, kiedy zobaczyłam, że już nie siedzi obok mnie. Zdezorientowana, dostrzegłam go dalej, na kwiatowej rabacie. Wstałam, szybko podeszłam i jak dziecku kazałam mu wypuścić z ręki róże, które zdążył zerwać. Usadzony z powrotem na wózku, nadal wpatrywał się z zachwytem w zadrapania wewnątrz dłoni, zdając się nie rozumieć, że nie są to płatki róż.



Zakładałam, że lektura tekstu zajmie Jonesowi co najmniej dwa, trzy dni, ale już następnego ranka poczułam, że nie wytrzymam tego czekania. Straciłam całą pewność siebie, to przekonanie, że historia, którą od nowa napisałam, i kobieta, którą wymyśliłam, nie mogą mu się nie spodobać; teraz obawiałam się, że w rzeczywistości wie znacznie więcej, niż mi powiedział, wracały moje dawne lęki, a każda mijająca godzina tylko wzmagала wątpliwości. O dziewiątej otworzyłam Agencję, wyjęłam z sejfu zeszyty, potem otworzyłam w komputerze dokument zatytułowany *List do Jonesa* i zaczęłam porównywać wersję starą z nową. A wtedy przypomniały mi się inne rzeczy, wymyśliłam różne drobne zmiany i wprowadziłam poprawki do tekstu, mówiąc sobie, że z pewnością jest już za późno, ale może mogłabym dać Jonesowi nowy egzemplarz, a niezależnie od wszystkiego będę mogła owe fakty wykorzystać w trakcie naszych rozmów o Adornie. Siedziałam przed komputerem, kiedy - o dziesiątej - weszła Marja i wystarczyło mi jedno jej spojrzenie, by zrozumieć, że nie powinno mnie tu być, że zapomniałam o spotkaniu na mieście.

- Czy pan M.F. odwołał spotkanie? - zapytała niepewnie.

- Nie, Marjo, to ja postanowiłam, że nie pójdę - odpowiedziałam.
- Muszę się poświęcić bez reszty temu dokumentowi.

Popatrzyła na zeszyty rozrzucone na biurku, zdjęła zakiet, przesunęła językiem po wargach i ostrożnie powiedziała:

- Oczywiście zawiadomiła go pani.
- Nie miałam nawet minuty, żeby to zrobić - odparłam sucho. - Zresztą pomyślałam, że za chwilę paru będzie mogła mnie zastąpić i zająć się panią J. Już najwyższy czas, żeby powierzyć pani więcej spraw, zasłużyła pani na to. W jej aktach znajdzie pani konieczne instrukcje. Tak czy inaczej, nie mogę robić wszystkiego, a o dwunastej mam obiad z panią M. - tą akurat klientką, jak pani wie, muszę zająć się sama. W pani notesie zanotowałam jej numer. Proszę do niej zadzwonić i potwierdzić spotkanie.

Marja skinęła głową. Rozpogodziła się. Wiedziała, że od dawna marzył jej się, jak to ujmowała, awans, chciała, żebym jej powierzyła innych klientów, gdyż pod pozorami łagodności, sennego spojrzenia i skłonności do łez miała w sobie duszę pretendentki do tronu. Mimo to wyglądała na strapioną i co rusz odkaszliwała, szukając akt pani J., a potem siadając na krześle w tej części pokoju, która pełniła funkcję poczekalni - nie ośmieliłaby się skorzystać z mojego gabinetu bez wcześniejszego pozwolenia. Nie słyszałam, kiedy wstała, zobaczyłam tylko nagle, że zdecydowanym krokiem podchodzi i staje przed biurkiem.

- Znam panią od dwóch lat - oświadczyła. - Niedługo, ale to wystarczy. Nigdy jeszcze nie widziałam pani w takim stanie. Chcę powiedzieć, że jestem do dyspozycji, gdyby

pani miała ochotę porozmawiać. Wiem, że nie przepada pani za rozmowami, ale gdyby coś...

Milczałam. Otarła dłonie o spódnicę, zebrała się na odwagę i ciągnęła:

- I jeśli pani pozwoli, może lepiej by było, gdybym to ja zajęła się tymi zeszytami. Myślę, że klienci nie będą zachwyceni, kiedy przestaną panią widywać. Nie wiem, co jest w tych zeszytach, ale nie wpływają na panią dobrze, tego jestem pewna. Może zechce mi pani chociaż tyle powiedzieć... o czym jest w nich mowa?

Muszę pamiętać, żeby wprowadzić hasło do komputera i zmienić szyfr w sejfie, zajmę się tym zaraz, jak tylko Marja wyjdzie na spotkanie. Wytrzymałam jej spojrzenie i odpowiedziałam:

- Sądziłam, że ucieszy panią szerszy zakres obowiązków, Marjo. Proszę mi powiedzieć, czy się mylę. Nie musi pani szukać pretekstów.

Żywo potrząsnęła głową.

- Nie, proszę pani. Nie o to mi chodziło. Ja... ja po prostu trochę się niepokoiłam, to wszystko.

- Nie ma żadnego powodu do niepokoju. Niech się pani raczej pośpieszy z wyjściem, inaczej pani J. będzie musiała czekać.

- Dobrze, proszę pani - mruknęła. - Ale klienci...

- Dość tego, Marjo - przerwałam jej. - Nie dałam pani nigdy prawa pouczenia mnie, co powinnam, a czego nie powinnam robić.

Odwróciła głowę, jakbym ją spoliczkowała, i znowu usiadła na swoim krześle, żeby dokończyć lektury akt. Kilka minut później zerknęłam na nią i na jej twarzy, mimo

gniewu i upokorzenia, dostrzegłam poczucie ważności i dumy na myśl o nowych klientach, którymi się będzie zajmować. „Tylko że to będą drobne, nędzne sprawy, Marjo”, pomyślałam, lecz zaraz przypomniało mi się, że ja sama jeszcze kilka dni temu zachowywałam się tak samo jak ona, uważałam te wszystkie cierpienia i niedole za coś niezwykle ważnego i byłabym dumna, mogąc je umniejszyć, potem jednak powiedziałam sobie: „Mogę bez nich żyć, teraz już mogę bez nich żyć”.

W końcu Marja wstała, włożyła zakiet i zabrawszy swoją granatową torbę, z której wystawały akta, wyszła. Byłam zbyt zirytowana, żeby się z nią pożegnać, ale zrobiłabym to, co więcej, wstałabym, żeby uścisnąć jej rękę i powiedzieć, jak bardzo jestem zadowolona z jej pracy - gdybym wiedziała, że po raz ostatni przekracza próg Agencji.

### 33

Matka Yarola przyszła o jedenastej. Jej widok mnie zaskoczył; nie zwykła wpadać do Agencji bez uprzedzenia, zresztą zjawiała się tylko wtedy, kiedy musiała, na przykład jeśli nie mogłam odstawić jej syna do domu. Poślawszy mi zdawkowy uśmiech, podeszła prosto do krzesła dla klientów po drugiej stronie biurka, ale nie usiadła, tylko oparła się na nim obiema dłońmi, jakby bała się, że upadnie.

- Krążę samochodem po dzielnicy i pomyślałam, że prościej mi będzie do pani wpaść niż zadzwonić - powiedziała.

Przez oszklone drzwi zauważyłam jej samochód, czarny luksusowy mały kabriolet, krzywo zaparkowany na chodniku. Pani de Brettes wyglądała na zmęczoną i zatroskaną, a kiedy zdjęła okulary, zobaczyłam, że ma zaczerwienione oczy. Jej blade, zaciśnięte wargi okalały dwie zmarszczki biegnące od nosa do ust.

- Proszę usiąść - powiedziałam. - Napije się pani kawy? Pokręciła głową, że nie, jak również nie usiadła.

- Trzy dni temu Yarol miał rodzaj ataku - oznajmiła. - Nie pierwszy raz, ale pierwszy od dawna aż tak gwałtowny. Nie chciał zjeść kolacji, nie chciał iść spać, ale przede wszystkim odmówił wyłączenia komputera. W hallu przed

jego pokojem stoi kanapa i o drugiej nad ranem się na niej położyłam, próbując go przypilnować. Też nie pierwszy raz. Słyszałam, jak stukał w klawiaturę i mówił sam do siebie, ale nie słyszałam co. Byłam tak zmęczona, że nie wytrzymałam i zasnęłam, tylko na kilka minut, ale kiedy się obudziłam, drzwi pokoju były na oścież otwarte, a jego już nie było. Komputer jeszcze się świecił, a na ekranie zobaczyłam stworzoną przez niego postać, Dinelpha. Wzruszyła ramionami. Zadałam sobie pytanie, ile wie o tej postaci, lecz nic nie powiedziałam.

- Nie wziął ze sobą nic oprócz bluzy - ciągnęła. - Kiedy zeszłam do garażu, zobaczyłam, że zabrał swój skuter. Przez całą sobotę i niedzielę objeżdżałam wszystkie miejsca, w których lubi się obracać, różne poczekalnie, skwery, rudery, a potem pomyślałam, że na pewno czeka na otworzenie Agencji, żeby się z panią zobaczyć. Wiem, że bardzo panią lubi.

W przeciwieństwie do Yarola pani de Brettes nie wiedziała, że za Agencją znajduje się moje mieszkanie, do którego można się dostać przez podwórza i tajemne korytarze.

- Nie - powiedziałam. - Przykro mi, pani de Brettes, ale nie widziałam Yarola ani w niedzielę, ani dzisiaj.

Nie kłamałam, ale nie powiedziałam też całej prawdy: już w sobotę po południu, jak tylko zamknęłam Yarola w jego kryjówce, powinnam była zadzwonić i jej o tym powiedzieć. i na pewno bym to zrobiła, gdybym nie miała głowy tak zaprzątniętej własnymi sprawami, gdybym nie uznała, że radość malująca się na twarzy Yarola jest niegroźna; byłoby to w najlepszym wypadku przyznaniem się do nieudolności, w najgorszym - błędem zawodowym.

Pani de Brettes spuściła głowę. Wyciągnęła rękę, udając, że ogląda swoje pomalowane na różowo paznokcie, obgryzione i z łuszczącym się lakierem, ale palce tak jej drżały, że zacisnęła dłoń i schowała ją do kieszeni.

- To nie pierwszy raz, kiedy Yarol zniknął - ciągnęłam. - I zawsze wracał po jednym, dwóch dniach. Jestem pewna, że do wieczora wróci, a jak nie, to do pani zatelefonuje. Jak tylko będę coś wiedziała, zadzwonię i proszę również o telefon, jeśli pani czegoś się dowie. Zaraz zacznę go szukać.

Skinęła głową, lecz nie wyglądała na uspokojoną. Rezygnacja, jaką w sobie wypracowała wobec choroby Yarola, zdawała się słabnąć. „Czyżby instynkt macierzyński naprawdę istniał, czy to możliwe, że jej syn znalazł się w niebezpieczeństwie?”, zadałam sobie pytanie.

- Odnoszę wrażenie, że ostatnio się oddalił - szepnęła. - Wydawał mi się coraz bardziej zamknięty w sobie. Nie uderzyło to pani?

- To być może właśnie dobry znak - powiedziałam krzepiącym tonem. - Dowodzi, że staje się samodzielny, odczuwa potrzebę dystansu. To częste u nastolatków. Zachowanie jak najbardziej normalne.

- Tak pani uważa - mruknęła bez przekonania.

Z uśmiechem skinęłam głową, ale wiedziałam, że tak naprawdę od chwili, kiedy poznałam Jonesa, poświęcałam Yarolowi mniej uwagi - wszystko mi zobojętniało, sprzedalabym własnego ojca i matkę, byleby wszyscy dali mi święty spokój.

- Kiedy widziała pani mojego syna po raz ostatni? - zapytała. Zawahałam się.

- W sobotę - odpowiedziałam w końcu. - Siedziałam w Agencji, kończąc pewną pracę, i wtedy zajrzał Yarol. Nie został długo.

- Czyli zaraz po tym, jak wyszedł z domu - zawołała. - I co powiedział?

- Nic, naprawdę, pani de Brettes. Nic oprócz tego, co zwykle. Te jego zabawy z wcielaniem się w różne role, jego bujna wyobraźnia.

- A dokąd od pani poszedł?

- Powiedział, że wraca do domu - odpowiedziałam, znów z tym samym uczuciem, że tylko w połowie kłamię. - Nie miałam żadnego powodu mu nie wierzyć.

Zdjęła okulary, ukryła twarz w dłoniach, a potem długo tarła palcami oczy.

- A w niedzielę już go pani nie widziała - stwierdziła znużonym tonem, zakładając z powrotem okulary.

- Nie, faktycznie nie. - I jakby chcąc dodać odwagi w równym stopniu nam obu, dorzuciłam: - Gdyby znalazł się w tej okolicy, na pewno by tu zajrzał. A może bez pani wiedzy zdobył jakichś przyjaciół, może u nich zanocewał? W końcu tego właśnie chcieliśmy, prawda? Żeby żył jak inni jego rówieśnicy.

Niewyraźnie potaknęła, zgadzając się ze mną.

- Niech pani do mnie zadzwoni, jeśli się pani czegoś dowie - rzuciła na koniec, ruszając do drzwi.

- Naturalnie - odpowiedziałam. - I proszę się tak nie zamartwiać. Po jej wyjściu przez chwilę siedziałam nieruchomo przed komputerem. Myślałam o podwórzu za domem. Myślałam o tym tak intensywnie, że prawie poczułam unoszący się



nad nim zapach wilgotnego betonu, woń miejsca poza zasięgiem ludzkich spojrzeń, smutnego i samotnego, tak jak u mnie oddzielonego grubymi kotarami od życia toczącego się w mieszkaniach tuż obok. Popatrzyłam na pęk kluczy leżący na paterze na niskim stoliku. Pomyślałam, że może zawołałam nie dość głośno. Nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, żeby Yarol nie chciał mi odpowiedzieć, ale możliwe, że zasnął, zawinięty w śpiwór, skulony, karkiem i kolanami przywierając do ścian schowka. Już miałam wstać i sprawdzić, lecz przypomniały mi się słowa Yarola: „Jutro poszukam innej kryjówki”. Niemożliwe, żeby został w komórce. „Nie ma co się niepokoić - pomyślałam. - Tylko patrzeć, jak zadzwoni telefon albo znajdę kolejną karteczkę przyczepioną do krat za moimi oknami”. I naprawdę w to wierzyłam, przede wszystkim jednak nie potrafiłam się przyznać, że podwórze budzi we mnie lęk, podwórze, a w nim ciemna komórka, zimna i cicha jak serce, które przestało bić.

Kiedy weszłam do lokalu, pani M. już tam była. Siedziała nad kieliszkiem wina przy swoim ulubionym stoliku w głębi sali i palcem ścierała nadmiar szminki z kącika ust. Przeglądała się w lustrze, pokrywającym ten fragment ściany, i w tym lustrze, na drugim planie, w oddali zobaczyła, że nadchodzę. Nie od razu odwróciła wzrok, jakby najwyższą niechęcią napawało ją przerwanie tego milczącego tête-à-tête, ja zaś pomyślałam: „Ty, ty, ty, cała twoja historia się do tego sprowadza”.

Pani M. miała włosy zafarbowane na jasny blond, ściągnięte w tył i związane wysoko w koński ogon, kiwający się swawolnie w prawo i w lewo. Mimo co najmniej sześćdziesięciu lat twarz miała młodzieńczą, okrągłą i wesołą; co rusz wybuchała beztruskim śmiechem, opowiadała różne niestworzone historie, ale widywałam ją również tonącą we łzach, załamana - i w takich chwilach dopadał ją wiek, żłobiąc wokół jej ust gorzkie bruzdy. Czasami nie mogłam przełknąć ani kęsa, bo musiałam osuszać łzy na jej policzkach i uspokajającym tonem powtarzać, że jeszcze nie wszystko skończone, że ten romans na pewno jeszcze będzie miał dalszy ciąg, a jeśli nawet nie, to będą następne, dopóki nie przestała płakać, grzbietem dłoni nie otarła

nosa i nie wyszeptała: „Tak myślisz, Delphine? Naprawdę tak myślisz?”.

Była zawodową miłośnicą, mam na myśli nie to, że uczyniła z manipulowania sercami i ciałami bliźnich profesję, tak jak ja i Jones, tylko że całe życie upływało jej na nieustannym namiętym zakochiwaniu się. Między jedną i drugą miłością, czy raczej u zarania następnej, pojawiała się rozpromieniona, i nic to, że wiotczała jej skóra, że siwiały włosy, spojrzenie miała żywsze od najmłodszej z narzeczonych, jakie kiedykolwiek przestąpiły próg Agencji. Nie wiem, z czego żyła - kiedyś była krawcową i pewnie do dziś zarabiała trochę pieniędzy w ten sposób - obawiałam się jednak, że żyje głównie na garnuszku u swoich kochanków.

Podeszłam do stolika, rozwiązałam pasek i zdjęłam prochowiec; na widok mojego brzucha uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Witaj, Delphine - odezwała się po chwili milczenia. - No wiesz, akurat o tym mogłaś mi powiedzieć.

- Powiedzieć pani o czym? - zapytałam, udając że nie wiem, o co chodzi.

Pokazała na mój brzuch. Nagle, zda się, otrzeźwiała, nie uśmiechała się już, po obu stronach jej ust pojawiły się zmarszczki.

- Nie bardzo jest o czym mówić - powtórzyłam.

Usiadłam na kanapie w pewnej odległości od niej. Przysuwając się bliżej, przewróciła kieliszek i trochę wina skapnęło jej na sukienkę. Zakłęła cicho, rękawem wycierając plamę.

- Jak to, nie bardzo jest o czym? Kto jest ojcem? - zapytała. - Czy to ktoś, kogo znam? Opowiadałaś mi o nim ostatnim razem? Nie przypominam sobie.

- Nie ma nikogo, o kim mogłabym opowiedzieć - i mówiąc to, w tym samym momencie pomyślałam, że to oczywiście nieprawda, ale akurat o ojcu Anne-Lise nie miałam nic do powiedzenia. Potrząsnęła głową i uniosła rękę, zamawiając jeszcze jeden kieliszek wina.

- Och, Delphine - mruknęła. - Miałam cię za zbyt sprytną, żeby zafundować sobie dziecko bez ojca. Co ci przyszło do głowy? Uniknęłam odpowiedzi, bo właśnie podeszła kelnerka, żeby przyjąć od nas zamówienie. Pani M. wzięła to samo co zwykle - naleśnik sabaudzki z serem i grzybami. Nie byłam głodna, ale zamówiłam naleśnik z szynką, mówiąc sobie, że zjem tylko szynkę, a ciasto zostawię, i zrezygnowałam z cyd-ru i wina, które proponowała kelnerka. Kiedy odeszła, pani M. pośpiesznie podjęła:

- Posłuchaj, Delphine. Nie mówię tego, żeby ci dokuczyć, ale to bardzo trudne wychowywać dziecko bez ojca. Wiem coś o tym. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, z pewnością jeszcze do ciebie nie dotarło, ile ciężkiej pracy cię czeka. Nie mówię, że to coś złego, mówię tylko...

- Dokładnie to przemyślałam - odparłam spokojnie.

- Uwzględniłam każdą rzecz. Nie ma się pani czego obawiać.

- Na mnie nie będziesz mogła liczyć - ciągnęła szybko.

- Jestem ciągle w podróży. Nie będę się mogła tym zająć. Ani wziąć go do siebie. Ani nawet dać ci trochę pieniędzy. W każdym razie nie więcej niż to, co zwykle ci daję za nasze

- bezsilnie machnęła ręką - nasze spotkania. Nasze obiady.

Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale dla mnie to i tak znaczna suma.

- Ależ ja niczego od pani nie oczekuję. Proszę jeść, bo ostygnie - dodałam. Kelnerka przed chwilą postawiła przed nami talerze. - O wszystkim pomyślałam. Martwi się pani zupełnie niepotrzebnie.

Uśmiechnęła się sceptycznie.

- Skoro tak twierdzisz. I jeszcze jedno, Delphine... Czy mogłabyś wreszcie przestać tytułować mnie panią? Ze sto razy już cię o to prosiłam. To po prostu śmieszne.

- Tak - powiedziałam. - Oczywiście. Wybacz mi. Mam inne sprawy na głowie.

Miała rację, często zachowywałam się przy niej nie dość profesjonalnie, nie wiem czemu, przy innych klientach nigdy mi się to nie zdarzało; tylko do tej kobiety trudno mi było zwracać się per ty, tylko przy niej trudno mi było udawać, że łączą nas jakiegokolwiek więzy pokrewieństwa.

- Nie przejmuj się - zakończyłam lekkim tonem. - A teraz może byśmy zjadły? Trochę się śpieszę.

Przez cały czas, jak zwykle, opowiadała o nowym mężczyźnie, z którym dzieliła życie i którego nazywała narzeczoną - wszystkich zresztą nazywała narzeczoną, choć, o ile mi było wiadomo, nigdy nie wyszła za mąż. Mieszkał w białej willi na Południu i namówiła go, żeby zbudował basen, widok był nadzwyczajny, a mężczyzna wspaniały, muszę do nich przyjechać, oczywiście kiedy będę już miała z głowy to wszystko, dodała, nieokreślonym gestem wskazując mój brzuch. Wyjęła z torebki i podała mi małe zdjęcie; stali objęci na tle jakiejś wody, morza lub jeziora. Krótkim spojrzeniem obrzuciłam mężczyznę, miał siwe skronie i białą koszulę, a jeśli o nią chodzi, to widziałam ją już z dziesięć razy na dziesięciu innych fotografiach

z dziesięcioma innymi mężczyznami, wdzięczącą się i opierającą głowę na ich ramieniu. Opowiedziała mi o niedawnej podróży, którą odbyli do nie pamiętam już jakiego obcego kraju; w przeddzień ich powrotu schował pod serwetką na stole puzderko, a w tym puzderku znalazła pierścionek zaręczynowy. Popłakała się zupełnie jak młoda dziewczyna - oświadczyła z dumą - i on też się popłakał. Bez końca o nim opowiadała, ja zaś po raz pierwszy jej słuchałam. Słuchałam, bo chciałam się dowiedzieć, co sprawiło, że wiązała swoje życie z życiem jakiegoś mężczyzny, potem drugiego, i znów następnego, że kochała ich wszystkich równie namiętnie - bo w to akurat nigdy nie wątpiłam. Chciałam wiedzieć, czy mogłabym wyciągnąć jakąś naukę z jej związków, z jej życia zalotnej i egocentrycznej kurtyzany. W stosunku do tego, co nazywała swoimi miłościami, a co ja nazwałabym w najlepszym wypadku łajdaczeniem się czy złudzeniami, nie odczuwałam nigdy nic oprócz obojętności zabarwionej pogardą, ale tego dnia po raz pierwszy słuchałam jej z uwagą, zadałam jej nawet kilka pytań, co być może było dla niej zaskoczeniem, bo parę razy zmieszała się, zaczerwieniła i zamilkła. Jej romanse może i były trywialne, ale serce miała szczere i jeśli, jak mówiła pani Derovitski, wszystkie historie miłosne są do siebie podobne, to mogłabym uścisnąć dłoń tej kobiety i powiedzieć: „Rozumiem cię”. Mogłabym zapytać również: „Powiedz mi, co dzieje się potem, powiedz mi, jak zachowywać się potem, po tym odkryciu, po tym objawieniu”. To by ją zaskoczyło, już dawno temu przestała mnie wypytywać o ewentualnych boyfriendów - „Taka ładna dziewczyna jak ty, Delphine, nie powiesz mi chyba,

że nikogo nie masz", na co z chłodnym uśmiechem, żeby ją zniechęcić do dalszego drażenia tematu, odpowiadałam: „Ale to prawda". Przy deserze zapytała:

- A co słychać ostatnio u ciebie, Delphine?

Zwykle niewiele miałam do powiedzenia, bo trzymam się zasady, żeby nigdy nie mówić o innych klientach.

- To, co zawsze - odpowiedziałam - praca, rutyna.

Prawdopodobnie pod koniec miesiąca wezmę kilka dni wolnego, żeby odpocząć. Możliwe, że wybiorę się do przyjaciółki na wieś. A potem spojrzałam na zegarek i powiedziałam:

- Przykro mi, ale muszę wracać do pracy. Już trzecia.

- Nie chcesz deseru?

- Nie, dziękuję. Ale ty weź. Chyba tak bardzo się nie śpieszysz.

Potrząsnęła głową, rozejrzała się po restauracji i twarz jej na moment spochmurniała. „Czyżby dostrzegła nagle kurz w oczkach pseudorybackiej sieci - pomyślałam - i splekane pancerze krabów zdobiących półki?", ale nic nie powiedziała. Pomachała tylko na kelnerkę, prosząc o rachunek, a potem sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej grzebać ze zwykłą w takich razach nerwowością, szukając między zmiętymi chusteczkami, rękawiczkami, przyborami do makijażu i pękiem kluczy czeku, który przecież, naturalnie, zawczasu wypisała. Ostentacyjnie go rozłożyła, żeby mi pokazać, na jaką opiewa sumę.

- To, że żądasz ode mnie pieniędzy - odezwała się z urazą - że każesz mi płacić za obiad, to rzecz, której nigdy nie zrozumiem.

Nie odpowiedziałam. Wzięłam czek, wsunęłam do wewnętrznej kieszeni torebki i podniosłam się z krzesła.

- Miło było cię znowu widzieć - oświadczyłam. - Nie zapomnij dać mi swojego adresu na Południu. Wpadnę do was latem tego roku. Albo następnego.

- Oczywiście - mruknęła.

Bez przekonania nadstawiła policzek do pocałunku. Pachniała winem, pomadką do ust, zwiędłymi kwiatami. Włożyłam płaszcz i wyszłam.

Autobus wyjeżdżał właśnie zza rogu ulicy, ruszyłam więc najszybciej, jak mogłam, na przystanek. Czekając, aż otworzą się drzwi, usłyszałam, że ktoś woła moje imię; odwróciłam się i zobaczyłam, że pani M. zbliża się szybkim krokiem, prawie biegnąc i jednocześnie próbując założyć zakiet.

- Delphine - zawołała zdyszczym głosem. - Zaczekaj chwilę, zaczekaj.

- Muszę wracać do pracy - powiedziałam. - Nie mogę czekać na następny autobus. O co chodzi?

Drzwi autobusu otworzyły się, a ona chwyciła za poręcz, próbując złapać oddech. Koński ogon miała potargany, kosmyki, które się z niego wysunęły, zwisały wokół jej twarzy, a w dziennym świetle dostrzegłam odrosty w miejscach, gdzie siwe włosy przechodziły w blond.

- Posłuchaj, Delphine - powiedziała nagłym tonem. - Wiem, że masz mi za złe, że mi nigdy nie wybaczyłaś, że trochę cię zaniedbywałam, kiedy byłaś mała. Ale ze względu na niego - znowu pokazała na mój brzuch, który znajdował się na wysokości jej oczu, bo wchodziłam właśnie po stopniach do środka - mogłybyśmy zawrzeć pokój, nie uważasz?



- Na nią - sprostowałam beznamiętnie. - To dziewczynka.  
- Na nią - powtórzyła ze wzruszeniem ramion. - Chciałabym  
widzieć, jak dorasta. Może babką byłabym lepszą niż matką. Nie  
uważasz, Delphine, że każdy ma prawo do drugiej szansy? Nie  
uważasz?

Ogarnęła mnie dziwna łagodność, kiedy patrzyłam, jak z dłonią  
przyciśniętą do piersi stoi, wciąż uczepiona metalowej poręczy,  
jakby liczyła, że nie pozwoli, by autobus mnie uwiózł.

Wiedziałam, że jutro zapomni, bo znowu zniknie na całe  
tygodnie, miesiące lub lata, że po prostu nic na to nie poradzi, bo  
tylko mężczyzna mógł trochę odmienić jej charakter; mimo to w  
tym momencie była szczerą, więc cicho odpowiedziałam: „Tak,  
wszyscy mają prawo do drugiej szansy”. Ale nie o niej myślałam,  
tylko o sobie. Nie zrozumiała, jak mogłaby to zrozumieć, i do  
oczu napłynęły jej łzy wzruszenia, kiedy puściła wreszcie poręcz  
i cofnęła się o krok. Zmusiłam się, żeby się do niej uśmiechnąć.

Po raz pierwszy w życiu nie czułam goryczy, widząc ją  
szczęśliwą, ale nie miałam odwagi powiedzieć, że to nie jest jej  
wnuczka, że nie zobaczy, jak będzie rosła, że nigdy jej nie  
zobaczy

i nie zostanie ani jedno zdjęcie, nawet klisza z echografii,  
przypominające jej o dziewczynce, którą uważała za moje  
dziecko.

## 35

Najpierw był tylko gwar, szum niewyraźnych głosów, przez które przebijała nuta przestrochu. Kilka razy podnosiłam głowę, ale ulica za firankami była pusta, więc wracałam do sprawozdań ze spotkań z klientami z ubiegłego tygodnia. Marja miała rację, zanieczywałam Agencję, ale tego popołudnia chcąc nie chcąc zajęłam się w końcu robotą papierkową, którą skądinąd w normalnych okolicznościach lubiłam, gdyż odwoływała się do wszystkich umiejętności wymaganych w naszym zawodzie: niezawodnej pamięci, intuicji i daru syntezy. Ale tego dnia zauważyłam, że spotkania z klientami zatarły się w mojej głowie, nie pamiętałam wszystkich szczegółów i musiałam zaglądać do notatek, które na wszelki wypadek sporządzałam. Ale nawet wtedy moje sprawozdania były niedoskonałe, niekompletne, brakowało im przekonania i dokładności, zupełnie jakby opracowanie *Listu do Jonesa* do reszty wyczerpało moje zasoby pamięci i wyobraźni.

Właśnie skończyłam pracę, kiedy usłyszałam na ulicy wycie syren. Samochody minęły budynek, zakreśliły i zaparkowały wzdłuż chodnika pod moim oknem, po czym rozległo się ostatnie przeraźliwe wycie i trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Kogut na jednym z wozów nie został

wyłączony i omiatał w regularnych odstępach czasu moje okno niebieskimi błyskami światła; wydawało się, że dzień nagle pociemniał, jakby w krótkiej chwili rozpuściła się burza, i nie zdziwiłabym się, widząc latające nisko ptaki i owady.

Nie od razu podeszłam do okna. Siedziałam bez ruchu przy biurku, usiłując wypatrzeć coś dalej za samochodami, dwoma wozami policyjnymi i karetką pogotowia. „Może na sąsiednim skrzyżowaniu został potrącony jakiś rowerzysta lub pieszy - pomyślałam - albo przyjechali po kogoś z naszego domu, starszą osobę, inwalidę” i spróbowałam przypomnieć sobie swoich sąsiadów, ale moja pamięć nie nasunęła mi żadnej twarzy; nie umiałabym nawet powiedzieć, kiedy ostatnio któregoś z nich spotkałam. A potem usłyszałam krzyk i od razu wiedziałam, kto tak krzyczy. Nie wiem dlaczego, nigdy nie słyszałam tej osoby krzyczącej, w kontaktach ze mną bywała tylko zirytowana lub znużona, a więc możliwe, że czekałam, aż zabrzmie ten krzyk, możliwe, że przez trzy dni, sama przed sobą nie przyznając się do tego, na niego czekałam.

Podbiegłam do drzwi wejściowych. Trzęsły mi się ręce i dopiero po chwili udało mi się przekręcić klucz w zamku. Ulica i chodnik były puste, wozy sprawiały wrażenie porzuconych, drzwi jednego z nich były wciąż jeszcze otwarte od strony pasażera, dziwnie to wszystko wyglądało, najpierw ta atmosfera dramatu, a potem nagła cisza, którą ledwie zakłócał śpiew ptaka na sąsiednim dachu, głos śmierci, od odejścia Adorna już to wiedziałam.

Podeszłam szybko do samochodów, ale w środku nie było nikogo, więc rozejrzałam się wokół dezorientowana, nagle znowu rozległ się krzyk i już wiedziałam, gdzie są.

Wróciłam do Agencji, a stamtąd do mojego mieszkania. W chwili gdy znalazłam się w salonie, dźwięki stały się wyraźne, usłyszałam nieutulony płacz i poważne głosy, wydające rozkazy. Przez okno w sypialni zobaczyłam postaci krzątające się na dziedzińcu, patrzyłam na nie przez chwilę, wciąż jeszcze mając nadzieję, że chodzi o coś innego, o pęknięcie rury, inwazję jakichś gryzoni lub insektów, a potem poszłam korytarzem do kuchennego wejścia, odciągnęłam zasuwę i otworzyłam drzwi. Drzwi do komórki też stały otworem. Kłódka była wyłamana, pocięta obcęgami, które jeden z policjantów trzymał jeszcze w ręku, a na betonie klęczała matka Yarola. Ten widok był niesamowity, miała na sobie czarne, od kolan do kostek podarte rajstopy, sandałki na wysokich obcasach, z których jeden leżał kilka metrów dalej, między alejką i miejscem, gdzie opadła na kolana, elegancki jedwabny kostium, a mimo to klęczała, załamana, z zalaną łzami twarzą, na betonowej podłodze niczym kapryśna dziewczynka, która nie chce się podnieść. Przed nią spoczywało ciało, mówię ciało, ale w gruncie rzeczy nie było to ciało, tylko jakiś kształt równie szczupły i wysoki jak Yarol, zapakowany w szary plastikowy pokrowiec, jeden z umundurowanych mężczyzn właśnie zaciągnął zamek błyskawiczny. Zrobiłam kilka chwiejnych kroków po podwórzu. „Chwileczkę - chciałam powiedzieć - chwileczkę, muszę go zobaczyć, jak inaczej mam uwierzyć, że to właśnie on, jak mam nie czekać na niego dzień w dzień?”. Chciałam go zawołać, zbudzić z tego, co być może było tylko snem, równie sztucznym i głębokim jak sen śpiącej królewny, ale nie wiedziałam, jakie imię nadał sobie w swoim wirtualnym świecie.

„Dlaczego nie spytałam cię o imię - pomyślałam zrozpaczona - och, jak mogłam nigdy nie zapytać cię o imię?”.

Jakiś policjant rozłożonymi ramionami zagroził mi drogę, pytając, czy jestem z rodziny. „Nie”, odpowiedziałam, ale nie potrafiłam wyjaśnić, kim jestem, i wskazując na okno mojej sypialni, wyjąkałam tylko: „Tam mieszkam”. „Niech pani wróci do domu - powiedział - w takim stanie nie ma tu pani nic do roboty. To wypadek. Proszę wrócić do domu”.

Nie od razu posłuchałam. Cofnęłam się tylko o kilka kroków, on zaś nie obstawał przy swoim, tak jakbym dotarła do granicy, poza którą moja obecność była dopuszczalna. Nieco dalej dostrzegłam dozorcę, którego wypytywało dwóch mężczyzn w cywilu. Był blady i roztrzęsiony, „Tak, pozwoliłem mu się tutaj bawić - mówił - to był biedny chłopak, zawsze się włóczył w pobliżu, niech pan powie, skąd mogłem wiedzieć, że z przewodów ulatnia się gaz?”.

Szary i nieokreślony kształt, który uważano za Yarola, został złożony na noszach i wyniesiony. Policjant, który nie pozwolił mi podejść blisko, pomógł pani de Brettes wstać; chwiejnym krokiem ruszyła w stronę alejki, po drodze zabierając swój sandałek.

W momencie gdy przechodziła obok mnie, podniosłam rękę, chcąc zwrócić jej uwagę i wyszeptałam:

- Tak mi przykro, pani de Brettes, gdybym mogła być w czymś pomocna...

Nie zdziwiłoby mnie, gdyby mnie zwymyślała, gdyby zaczęła krzyczeć i oskarżyła mnie o śmierć swojego syna - w końcu przyszedł umrzeć na moim podwórku - nie zdziwiłoby mnie, gdyby mi napluła w twarz, ale nie oczekiwałam,

że mnie do tego stopnia zignoruje. Popatrzyła na mnie niewidzącym spojrzeniem i utykając, poszła dalej, podtrzymywana za łokieć przez policjanta. Stałam jak wrośnięta w ziemię, serce podeszło mi do gardła; wolałabym, żeby mnie uderzyła, wolałabym, żeby mnie oskarżyła, niż to, że mnie zignorowała, jakbym nie istniała, ale właściwie pewnie miała rację, nie istniałam, bo nie udało mi się uratować jej syna.

## 36

W chwilę później do drzwi kuchennych zapukał policjant; chciał wiedzieć, czy może wejść i zadać mi kilka pytań. Sporządzając notatki, spoglądał na mnie podejrzliwym wzrokiem, więc zorientowałam się, że rozmawiał z panią de Brettes. „Tak, znałam Yarola - powiedziałam. - Byłam kimś w rodzaju osoby towarzyszącej, nie opiekunką i nie prywatną nauczycielką, trudno to wytłumaczyć. Tak, wiedziałam, że Yarol lubił włóczyć się w pobliżu Agencji, ale nigdy w życiu bym nie pomyślała, że może dojść do podobnego wypadku". W odpowiedzi sceptycznie mruknął, zamykając notes.

- Będzie pani musiała pozostać do dyspozycji śledczych - oznajmił. - Nie bardzo mogę zrozumieć, na czym polega pani działalność. Będziemy musieli to wyjaśnić. W ciągu najbliższego tygodnia otrzyma pani wezwanie na komisariat.

Wzruszyłam ramionami. I tak już wiedziałam, że wszystko skończone. W progu jeszcze się odwrócił.

- W kieszeni chłopaka znaleźliśmy karteczkę z hasłem wstępu do jego komputera, jak się okazało. Od matki wiemy, że nad tym właśnie przesiadywał całymi dniami. Liczymy, że więcej informacji znajdziemy na twardym dysku.

Podobno zabawiał się tworzeniem stron i piratowaniem. Widzi pani, na dole kartki napisał na wspak pani imię. Pomyślałem, że może potrafiłaby mi pani jakoś to wyjaśnić.

Przekartkował notes, w którym na ostatniej stronie przeczytałam to, co przepisał z kartki Yarola: „Człowiek, który śni, jest bogiem, człowiek, który myśli - żebrakiem”.

- Czy pani to cokolwiek mówi? - zapytał.

Pokręciłam głową, że nie, lecz nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa. Po raz kolejny zadałam sobie pytanie, jak Yarol mógł tak dobrze rozumieć zasadę funkcjonowania Agencji.

Przypomniałam sobie ten dzień, kiedy powiedział: „Przecież to pani zawód, Delphine, czyż nie? Włączać się w grę innych.

Przestawiać pionki. Przemieszczać postaci. Chce pani wiedzieć, jak nazwałem tę grę? Nazwałem ją »Yours«”.

Policjant zamknął notes i wsunął go do kieszeni, mówiąc:

- Jeden z naszych ekspertów zamknął jego strony. Powinno się zabronić tym dzieciakom spędzania tyle czasu przed komputerem. Nic dobrego z tego dla nich nie wynika.

Kiwnęłam głową, że faktycznie, nic dobrego z tego dla nich nie wynika, zmusiłam się, żeby się do niego uśmiechnąć, i zamknęłam drzwi. Potem poszłam do sypialni, położyłam się do łóżka i spędziłam w nim długie godziny, zatykając rękami uszy, żeby nie słyszeć głosów policjantów prowadzących dochodzenie na tyłach domu. Mało brakowało, a nie usłyszałabym telefonu.

Bardzo długo nie odbierałam, a potem przypomniało mi się, że nie włączyłam sekretarki, więc z trudem przesunęłam się



na brzeg łóżka i sięgnęłam po aparat stojący na stoliku nocnym. To był Jones. Z wahaniem zapytał, czy rozmawia z panią M. - zapomniałam na wstępie się przedstawić - a następnie, czy mógłby wpaść do Agencji. Wie, że jest późno, dodał, ale obawia się, że potem przez długi czas nie będzie miał takiej możliwości. - Tak - powiedziałam - niech pan przyjdzie, Agencja jest już zamknięta, ale ja będę, wystarczy, że pan zapuka do drzwi. Usiadłam na łóżku. W głosie Jonesa nie słychać było ani nieufności, ani irytacji, nie miałam najmniejszego powodu przypuszczać, że mój podstęp nie zadziałał i byłam zaskoczona, że nie czuję się bardziej szczęśliwa. Przypomniały mi się błękitne muszki, które dwukrotnie, jak mi się wydawało, widziałam krążące wokół niego; pomyślałam wtedy, że w pobliżu czai się śmierć, ale byłam przekonana, że mierzy w Jonesa albo we mnie, nigdy bym nie przypuszczała, że upatrzy sobie Yarola, Yarola ufnie balansującego na granicy realnego świata. Zapadł wieczór i policjanci już poszli z wyjątkiem jednego, pozostawionego, by pilnował podwórka. Wstałam i zbliżyłam się do okna w nedorzecznej nadziei, że być może jakaś karteczka uszła mojej uwadze i czujności policjantów, jedno z tych słów gryzmołonych przez Yarola na kawałkach papieru, które zwykł przywiązywać sznurkiem do krat, ale za oknem nie było nic - zresztą co miałyby mi powiedzieć, skoro jego kod został odkryty. Podnosząc wzrok w górę, dostrzegłam w oknach budynku cienie sąsiadów, których doszły słuchy o czyjejs śmierci i którzy mieli nadzieję, że to jeszcze nie

koniec widowiska. Policjant na warcie wyjął małą latarkę kieszonkową, omiótł wiązką światła najpierw swoje buty, a potem drzwi komórki. Były zabite, opieczętowane, klamkę owijał łańcuch, grubszy od tego, który miał Yarol, oraz zabezpieczony kłódką.

Wyciągnęłam rękę i zapaliłam lampkę nocną; kiedy pokój wypełniło światło, zorientowałam się, że stałam się równie widoczna, jak moi nieznani sąsiedzi z wyższych pięter. Na pierwszym ktoś zakasłał, jakby chcąc przyciągnąć moją uwagę, na co tylko zasunęłam zasłony.

Poszłam po stare liściki od Yarola, które kolejno wsuwałam pod przycisk do papieru. Rozłożyłam je teraz na biurku, jeden obok drugiego: oto był kod, który Yarol próbował mi przekazać, brakowało tylko jednego słowa. Nigdy nie byłam na tyle ciekawa, żeby spróbować poskładać te karteczki. Ułożyłam je teraz w kolejności, potem sięgnęłam po flamaster, oderwałam róg koperty i dużymi literami, tej samej wielkości co pismo Yarola, napisałam: **JEST**. A następnie wsunęłam to słowo we właściwe miejsce między pozostałe, wzięłam rolkę skocza i pieczołowicie skleiliśmy wszystkie w jedną całość, pasek papieru skrywający tajemnicę życia i śmierci Yarola, a być może również moją.

Posprzątałam bałagan w mieszkaniu, zmyłam w zlewie brudne talerze i sztućce. Wydawało mi się, że w salonie panuje zaduch, więc zapaliłam kadzidełka o zapachu cynamonu, a następnie zgasiłam górną lampę i wyjęłam świece, które trzymałam na wypadek awarii prądu. Robiłam to wszystko mechanicznie, jak zegarek, który mimo upadku wciąż tyka. Miałam wrażenie, że zatrzymam się dopiero w chwili, kiedy padnę ze zmęczenia. Krążyłam po mieszkaniu tam i z powrotem, dopóki do drzwi Agencji nie zapukał Jones.

Wyglądał na zmęczonego i zakłopotanego. Z chwilą, gdy przestąpił próg, zrozumiałam, że uwierzył we wszystko, co przeczytał w liście Adorna. Jego wrogość, a zwłaszcza nieufność zniknęły, tak jakby nareszcie wiedział, co ma o mnie myśleć; strojąc się w cudze piórka udało mi się go nabrać, dowieść swojej niewinności. Tak, ten tekst był arcydziełem, szczytem mojego kunsztu, ale nawet to nie było w stanie rozwiać we mnie uczucia smutku. Jones był ubrany w marynarski sweter, płócienne spodnie i sandały, miał też jakąś dziwną broszkę, breloczek, przypięty agrafką na wysokości serca. Ubrania sprawiały wrażenie jeszcze nienoszonych; pochyliwszy się, żeby zamknąć

za nim drzwi na klucz, poczułam zapach nowego materiału i skóry.

- Chodźmy do mnie - powiedziałam. - Tędy. Mieszkam przez ścianę z Agencją. Nie lubię tu siedzieć po zamknięciu biura. Ruszyłam przodem do drzwi działowych. Serce mi waliło, po raz pierwszy wpuszczałam do swojego mieszkania kogoś oprócz Marji, sprzątaczkę i pani Soignes; przez piętnaście lat nigdy nie zaprosiłam tu żadnego klienta, przyjaciela, kochanka.

Próbowałam spojrzeć na mieszkanie bezstronnym okiem, żeby wyobrazić sobie, jak oceni je Jones. „Jakże jest bezosobowe - pomyślałam - nic w nim prawie nie zmieniłam, poprzedni właściciel mógłby się z powrotem wprowadzić z uczuciem, że go nigdy nie opuszczał. Trociczki i świece były jedynym kobiecym akcentem, ale zapach cynamonu wydał mi się nagle zbyt słodki, prawie mdlący, więc podeszłam, ujęłam kadzidełko w dwa palce i zgasłam.

- Niech pan siada - powiedziałam. - Coś do picia? Zawahał się i odpowiedział:

- Kropelkę, obojętnie czego. Dziękuję. Przyniosłam butelkę z barku zarezerwowanego dla

klientów i napełniłam alkoholem jego szklaneczkę. Sobie również nalałam odrobinę. „Anne-Lise to nie zaszkodzi

- pomyślałam - a mnie bardzo się przyda". Usiadłam na kanapie obok Jonesa i stuknęliśmy się szklaneczkami.

- Przeczytał pan list Adorna - zagaiłam tonem pytania. Wykonał gest jednocześnie zaprzeczenia i potwierdzenia.

- Tak i nie. Jeszcze nie skończyłem, to bardzo długie

- odpowiedział, jakby się usprawiedliwiając - ale przeczy-

tałem z pięćdziesiąt pierwszych stron. A potem jeszcze koniec, bo nie mogłem się już doczekać.

Byłam tak ufna, że zaniechałam wszelkiej ostrożności i nie śledziłam uważnie wyrazu jego twarzy, by móc wychwycić każdą najdrobniejszą zmianę nastroju; zstąpiłam już ze ścieżki wojennej, poprzestałam na podniesieniu szklaneczki do ust ze słowami:

- To piękny tekst. Szkoda byłoby, gdyby nie mógł pan go przeczytać. Myliłam się, dobrze pan zrobił, przychodząc do mnie. Żałuję zresztą, że sprawiłam panu tyle kłopotów. Podjęłam pewną decyzję, Jones. Chcę panu ofiarować w prezencie przepisane przeze mnie strony. Nie jest mi pan nic winien. Zerknął na mnie ze zdziwieniem, na co z uśmiechem wzruszyłam ramionami.

- Nie zajęło mi to dużo czasu - skłamałam. - Jestem przyzwyczajona do tego typu pracy. Jak już raz zaczęłam przepisywać, szybko ożyły we mnie wspomnienia. Nie miałam trudności z wypełnieniem luk.

A wtedy Jones zakręcił alkoholem w szklaneczce i powiedział to, co od pierwszego spotkania tak bardzo bałam się usłyszeć.

- Naprawdę? A jednak niektóre szczegóły pani pominęła. Właściwie pominęła pani całe zakończenie. Nie napisała pani niczego, co miałoby związek ze śmiercią Adorna.

Gwałtownie zakręciło mi się w głowie i pomyślałam, że nie powinnam była pić, nie ze względu na Anne-Lise, ale po to, by zachować jasność umysłu; naiwnością było wyobrazić sobie, że będę bardziej potrzebowała odwagi niż trzeźwości myślenia.

- Nie wiem, o czym pan mówi, Jones - odparłam mechanicznie. - Przecież mówiłam, że w chwili śmierci Adorna już od kilku miesięcy u niego nie pracowałam.

- Faktycznie, mówiła pani. Ale oboje wiemy, że to nieprawda. W jego głosie było tyle pewności siebie, że nie odezwałam się. Po dłuższej chwili Jones na mnie spojrział. Prawdopodobnie zorientował się, jak bardzo się przeraziłam - szklaneczka wysunęła mi się z ręki i alkohol kropla po kropli spływał po mojej nodze - bo ciągnął:

- Od dawna wiedziałem, że pomogła pani Adornowi umrzeć. Dziwi to panią? Myślała pani, że nigdy ze mną o tym nie rozmawiał? Że się z tym do pani zwróci, wiedziałem na długo przed panią. Mówiąc „pani”, mam naturalnie na myśli damę do towarzystwa.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego od świeczki stojącej na stole.

- Nie powiedział mi, jak się pani nazywa. Nie przyszło mu do głowy, że będę pani szukał, że aż tak mi będzie zależało, żeby się dowiedzieć. Nawet ja sam tego nie podejrzewałem. Ale z mojej strony nie musi się pani niczego obawiać, Delphine.

- Nie rozumiem - powiedziałam głucho.

- Tu nie ma nic do zrozumienia. Adorno milczał na temat swojej decyzji, bo chciał być dyskretny. Kiedy panią poznałem, z tego samego powodu o tym nie wspomniałem. Nie sądziłem, że mogłaby pani przypuszczać coś innego. Uważałem, że oboje, pani i ja, gramy w tę samą grę.

Zaciągnął się papierosem, wydmuchnął mi dym prosto w twarz, po czym odpędził go nieśpiesznym ruchem ręki.

- Poprosiłem panią o przepisanie tych zeszytów tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, jak... jak się to odbyło. Nawet przez sekundę nie przyszło mi do głowy, że może pani myśleć inaczej.

- Ale szukał pan tych zeszytów, sam pan mówił - wyjąkałam. - Gdyby Adorno panu o mnie powiedział, to powiedziałby też... Już miałam dokończyć: „że prosił mnie, żebym je panu zaniósła”. W porę ugryzłam się w język, ale Jones się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że istnieje ryzyko, że pani tego nie zrobi. I wiedziałem też dlaczego.

- Więc zapewne pan też wie - podjęłam z trudem - że z powodu pieniędzy. - Po czym wzięłam głęboki oddech i pośpiesznie dodałam: - Mogę panu wszystko zwrócić. Jeśli pan chce, nawet dzisiaj. Pieniądze wciąż leżą na moim koncie. Nie wydałam ich. Rozejrzał się za popielniczką, nie znalazł żadnej, więc strząsnął sobie popiół na dłoń. Potem wzruszył ramionami.

- Niech je pani zachowa - powiedział. - Nie wątpiłem, że Adorno da je pani, jeśli uzna to za konieczne. Co mam powiedzieć?

Wygrała pani. Ale - tu się do mnie nachylił - ale chcę, żeby mi pani opowiedziała to, o czym chcę wiedzieć. Niech pani to uzna za część zadania, z którym zwrócił się do pani Adorno. I będziemy kwita.

## 38

Więc opowiedziałam mu o wszystkim lub prawie o wszystkim. Tylko dwie rzeczy zachowałam w tajemnicy: zmyśloną damę do towarzystwa z zeszytów oraz pocałunek Adorna w chwili, kiedy zaczął tracić przytomność i całując mnie, wyobrażał sobie, że to on przy nim leży, Jones.

Słuchał bez słowa, nie odrywając ode mnie oczu i paląc papierosa za papierosem. Mieszkanie wypełniła gęsta chmura dymu; pomyślałam, że gdyby wpadła tu teraz pani Soignes, byłaby mocno niezadowolona, lecz nic nie powiedziałam, bez wątpienia z powodu tego, że Jones ścisnął w trzech palcach papierosa w pewien szczególny sposób, sprawiający, że chciałam wyciągnąć do niego rękę, żeby to ją trzymał zamiast papierosa. Moja opowieść trwała długo. Przez cały ten czas zapalał jednego papierosa po drugim, kurczowo ścisnąjąc go w palcach; wyraz twarzy miał nieodgadniony i tylko moje oczy coraz bardziej łzawiły w zadymionym powietrzu. „Gdzie teraz przebywa? - myślałam - czy w ogóle możliwy jest powrót, kiedy odeszło się tak daleko?”. W końcu umilkłam. Jones spuścił wzrok. Przez kilka minut siedział pogrążony w milczeniu, ja zaś nie śmiałam wykonać jakiegokolwiek ruchu, wymówić słowa. Wpatrywałam się uważnie w jego twarz, widziałam jego



popielatoszare rzęsy, zwróciłam na nie uwagę już podczas naszego pierwszego spotkania, pomyślałam wtedy, że wiek i smutki przydały im lat, i nie myliłam się, były u niego jedyną oznaką słabości. Wreszcie podniósł głowę.

- Dziękuję - odezwał się, a jego głos zabrzmiał łagodnie. - Tak to sobie mniej więcej wyobrażałem. Nie chciałem, żeby odszedł samotnie. Dziękuję, że pani to dla niego zrobiła.

Wzruszyłam ramionami, skrepowana, jakkolwiek szczęśliwa, że wydawał się nie pamiętać, co mnie do tego skłoniło, dwie koperty, widoki na nową agencję. Zgasił papierosa, sięgnął po swoją szklaneczkę i jednym haustem dopił resztę alkoholu.

- Cóż, więc sprawa skończona - podjął ze znużeniem. - Zaraz będę szedł. Późno już, ale musiałem się z panią jeszcze dziś zobaczyć. Jutro wyjeżdżam.

- Wyjeżdża pan?

- Przenoszę się do przyjaciółki, która mieszka w Ameryce Południowej.

Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby odgadnąć, o jakiego rodzaju przyjaciółkę chodzi. Musiał czytać w moich myślach, bo uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Życie toczy się dalej i trzeba na nie zarobić, czyż nie? Od zawsze chciałem się tam wybrać. Być może innej okazji już nie będę miał. Jest miła i ma pieniądze. Sama pani wie, jak to jest. Na szczęście my dwoje mamy twardą skórę, skórę krokodyla.

Uszczypnął się dwoma palcami w nadgarstek, ja jednak zobaczyłam tylko delikatną jasną skórę, poczerwieniałą od uszczypnięcia.

- Nie - odezwałam się zmienionym głosem. - Niech pan tam nie jedzie, Jones. Nie może pan tego zrobić. Nie może pan jechać prostytuować się na drugim końcu świata.

Zaskoczyła mnie gwałtowność moich słów, i jego też. Spojrzał na mnie znad szklaneczki, której nie zdążył jeszcze odstawić, i już miał wybuchnąć gniewem, ale tylko wzruszył ramionami, i zrozumiałam, że to nie mnie, hamując się przez grzeczność, odpowiada, tylko innej kobiecie, tej z zeszytów.

- Robię, co trzeba, żeby zarobić na życie. Nawet Adorno by to zrozumiał. Wie pani, dziwna rzecz, ale dopóki nie przeczytałem zeszytów, nie byłem pewny, czy przyjmę tę propozycję. Od śmierci Adorna goniłem w piętę. Ale to mi dodało odwagi. To, co o mnie napisał... nie sposób po czymś takim czuć się samotnym, prawda?

Z uśmiechem odwrócił wzrok i zaczął bawić się breloczkiem. Potem omiół spojrzeniem ściany pokryte tapetą w beżowe kwiaty, półki, na których leżało tylko kilka praktycznych leksykonów i ani jednego bibelotu, i zauważył:

- Niezbyt tu u pani wesoło, co? Dlaczego przy tych pieniądzach, jakie pani zarabia, nie urządzi pani trochę lepiej własnego domu?

- Ja panu zapłacę - oświadczyłam niespodziewanie. - Niech pan powie ile. Proszę podać sumę.

Spojrzał na mnie z osłupieniem, ja zaś ciągnęłam:

- Ile panu zaproponowała ta kobieta? Ile panu płacił Adorno? Na pewno mi wystarczy.

Nagle poczułam, że ogarnia mnie gorączka, odstawiłam szklaneczkę na stolik, przysunęłam się do niego, odważyłam się nawet nakryć dłonią jego dłoń.

- Zapłacę panu, Jones. Nie musi pan mnie kochać, nie od razu - powiedziałam nagłym tonem. - Być może kiedyś mnie pan pokocha, mogę poczekać, od dawna czekam. A zresztą, czym jest miłość? Słyszałam ją wyśpiwywaną na wszystkie głosy, na wszystkie sposoby. To najbardziej oszukańcze uczucie, jakie tylko istnieje. Znam każdą jej postać. Ofiaruję panu taką, jakiej pan będzie chciał.

„No i proszę - pomyślałam w upojeniu - oto morał, którego uczą ckliwe romansidła: Wszystkie miłości są do siebie podobne". Jones nic nie powiedział. Wydało mi się, że nagle poczuł się nieswojo w swoich pachnących nowością ciuchach, poczuł, że w tym swetrze i sandałach, przebrany za marynarza, jest na sprzedaż dla tego, kto da więcej.

- Kupię panu małe mieszkanie w pobliżu - ciągnęłam, a przez głowę przemknął mi obraz wymarzonej agencji, ale teraz już jej nie potrzebowałam. - Może pan nawet zachować tamto drugie, jeśli pan zechce. Chcę tylko, żeby pan przy mnie był, Jones. Niech pan nie wyjeżdża.

Próbował roześmiać się, obrócić moją propozycję w żart, ale potem spojrzał na mnie uważniej i umilkł. Był na tyle miły, że pozwolił mi przez chwilę potrzymać swoją dłoń, zanim ją uwolnił.

- Jones - szepnęłam.

- To niemożliwe, Delphine. Oboje, pani i ja, pozostajemy na usługach innych. Jesteśmy manipulatorami. Jesteśmy tacy sami. Chce mnie pani kochać? Co też pani przyszło do głowy?

- A dlaczego nie - upierałam się z rozpaczą. - Wielu ludzi uczyniłam szczęśliwymi, a w każdym razie mniej

nieszczęśliwymi, niż byli. To samo mogłabym zrobić dla pana. Nie rozumie pan? Nigdy jeszcze nikogo w taki sposób nie kochałam. Niech mi pan tego nie odbiera. Nie mogę tego stracić. A wtedy uśmiechnął się, a na jego twarzy odmalowało się uczucie niemal łagodności, a także osobliwa mądrość; w tym momencie to on z nas dwojga wydawał się starszy.

- Och, Delphine. Nie straci tego pani. O mnie pani zapomni, ale tego pani nie straci. To mimo tylu klientów jeszcze pani tego nie zrozumiała?

Wstał i wygładził na kolanach swoje nowe spodnie. Zerknął w kierunku grubych kotar zasłaniających okno, być może zastanawiając się, na jaką cuchnącą studnię światła, na jakie ponure podwórko wychodzą okna mojego mieszkania.

- Idę. Niech pani na siebie uważa. I nie zostaje tutaj - dodał. - Smutno tu i pachnie starzyzną. Umrze pani z braku powietrza. Niech pani też wyjedzie.

Okrażył niski stolik i skierował się do drzwi prowadzących do Agencji. Kiedy za nimi zniknął, mieszkanie z powrotem zrobiło się ciche i puste. Zawołałam:

- Niech pan zaczeka, Jones!

Kilka sekund upłynęło, nim dźwignęłam się na nogi, i kiedy go dogoniłam, stał już z ręką na klamce drzwi wejściowych.

Popatrzył na mnie z pytającą i - jak z ukłuciem w sercu się domyśliłam - trochę zniecierpliwioną miną, śpieszno mu było zacząć nowe życie. Z chwilą, gdy opuści Agencję, jak wąż zrzuci z siebie starą skórę.

- Jest coś, o czym panu nie powiedziałam - oświadczyłam. - Adorno przed śmiercią mnie pocałował. To była

ostatnia rzecz, jaką zrobił. Tracił przytomność i wyobrażał sobie, że to pan jest przy nim. Chce pan, to pokażę, jak to zrobił.

Zobaczyłam, że krew odpływa mu z twarzy. Nie miał odwagi wykrztusić słowa; nawet mężczyzna tak doświadczony jak Jones stracił mowę w obliczu takiej propozycji

- pocałunku powracającego z królestwa zmarłych, wyczytałam w jego oczach strach i zarazem pragnienie. Dzielilo nas kilka kroków; podeszłam blisko, ale z tym brzuchem nie mogłam się do niego przytulić, więc zrobiłam to bokiem, przyciskając się biodrem do jego biodra. Ujęłam w dłonie jego twarz, stanęłam na palcach i przywarłam wargami do jego ust. I pocałowałam go dokładnie tak, jak to zrobił Adorno, wsuwając mu język między wargi i kłusając je, aż pod moimi zębami prawie się pojawiły kropelki krwi. Poczułam smak papierosa, alkoholu i czegoś jeszcze, co musiało być prawdziwym zapachem jego oddechu. A potem odsunęłam się i spojrzałam na niego.

Wiedziałam, że było mu przyjemnie. Gdyby Adorno jeszcze żył, gdybyśmy oboje pocałowali Jonesa, jedno po drugim, żigolo nie byłby w stanie powiedzieć, czyje usta poczuł na swoich wargach

- tak to działało, to był ten dar i to przekleństwo, dane mi i doskonałone od czasu, kiedy mogłam uczynić z niego użytek.

Jestem prawie pewna, że mało brakowało, a poprosiłby, żebym go pocałowała raz jeszcze. Być może nawet spojrzał na moją propozycję nowym okiem

- mieszkanie, które obiecałam mu kupić, nowe życie, o którym mówiłam, moja obietnica, że będę go kochać, nic w zamian nie oczekując; być może poczuł się zmęczony ciągłym biegiem, być może pomyślał, że koniec końców nie

byłoby nic złego w skorzystaniu z mechanizmów i sztuczek obliczonych na zabicie samotności. Powinnam była, nie zwlekając, drugi raz go pocałować, lecz tego nie zrobiłam, byłam zbyt zafascynowana wzruszeniem, które widziałam w jego oczach, i ta chwila minęła. Ujął moje dłonie i odsunął je od twarzy.

- Adorno miał rację, mówiąc, że jest pani miła - szepnął w zamyśleniu. - Milsza, niż się wydaje. Muszę przyznać, że nie przypuszczałem tego, kiedy panią pierwszy raz zobaczyłem. Ten starszy facet na wózku inwalidzkim, pamięta pani? Nigdy bym nie uwierzył, że to ktoś z pani rodziny. Przez cały ten czas, kiedy was obserwowałem, nie odezwała się pani do niego nawet słowem. Ale może rzeczywiście jest pani w głębi duszy dobra. Tak przynajmniej uważał Adorno.

- Ale ja nie jestem tą kobietą z zeszytów - wyszeptałam. - Drobne przysługi, podarunki... To wszystko nieprawda, nie rozumie pan? - Kobietą z zeszytów? Wiem, że ją pani wymyśliła. Nie o niej myślałem. Adorno czasami o pani mówił. „Biedactwo”, tak panią nazywał. Czasem też nazywał panią swoim „biednym stworzonkiem”.

A wtedy rozplakałam się, sama nie wiedząc, nad kim ani nad czym płacę, po prostu poczułam, że po policzkach spływają mi łzy. Jones przesunął mi palcem pod oczami, a potem odwrócił się i wyszedł z Agencji.

Długo stałam bez ruchu przed szklanymi drzwiami. Widziałam Jonesa tylko przez kilka sekund, dopóki nie zamknął drzwi i nie zniknął w ciemnościach nocy; a teraz świat, zda się, zniknął również i tylko w szybie widziałam

odbicie stołów i krzeseł i postać zawiedzionej kobiety, która znużonym ruchem ocierała twarz.

A przecież się nie poruszyłam. Nie potrafię powiedzieć, czy spodziewałam się, że Jones wróci, że ujrzę jego postać wyłaniającą się z ciemności, potem jego rękę ujmującą klamkę drzwi, jakby był klientem, którego trzeba pocieszać, kochać i otaczać względami, czy też zapatrzyłam się we własne odbicie osoby, która u kresu drogi stanęła twarzą w twarz z samą sobą. Pomyślałam o mojej matce, która wpatrywała się tak w siebie w każdym lustrze.

Dalsze postępowanie nasunęło się już samorzutnie. Miałam wrażenie, że nawet z tym brzuchem łatwiej mi się poruszać, i po raz pierwszy przestałam potykać się o meble. W lokalu Agencji z szafy z materiałami biurowymi wyjęłam kartkę formatu A3 i grubym czarnym flamastrem napisałam: „Agencja **DLA WAS** ogłasza zakończenie działalności”. Skoczem przykleiłam kartkę do drzwi wejściowych. Pamiętałam, żeby zostawić klucz w zamku, tak żeby Marja jutro rano nie mogła ich otworzyć z tamtej strony.

Wróciłam i usiadłam do komputera. Był nadal włączony; zaczęłam metodycznie usuwać zawartość twardego dysku. Przed moimi oczami przesuwały się sprawy najświeższe, potem starsze, i wszystkie one mi się z kimś kojarzyły, mogłabym podłożyć głos i twarz pod każde nazwisko. Tylko przez moment zawahałam się przy *Liście do Jonesa*. W krótkim czasie komputer stał się z powrotem dziewiczo pusty. Potem napisałam list do Marji, dołączyłam do niego czek, i drugi do notariusza, polecając mu zniszczyć przechowywane w jego gabinecie całe nasze archiwum.

Jeszcze tylko jeden list i będzie po wszystkim.

*Anne-Lise (ponieważ tak się nazywałeś i ponieważ nie przyszło mi nawet do głowy, by wyobrazić sobie, jakie imię bym ci dała, gdybyś była moim dzieckiem), chciałabym mieć dość siły, żeby wrzucić do walizki kilka ubrań, zostawić sukienki ciężowe i książeczki z wyliczankami, kupione przez twoich rodziców, wsiąść do pociągu i zacząć wszystko od nowa gdzie indziej, w małym mieszkanku na strychu albo w domku z ogrodem, w którym by mieszkały kury i żółw, strażnicy naszego spokoju. Chciałabym urodzić cię pod swoim prawdziwym nazwiskiem w jakimś małym szpitalu na prowincji, gdzie pielęgniarce wyglądem przypominałyby babcię i poły mnie syropem z grenadyny z własnych zapasów, żeby mnie pocieszyć, bo nikt mnie nie odwiedza. Chciałabym czekać przy oknie na twój powrót ze szkoły. Tak bardzo bym się bała, że będziesz głodna, że już wczesnym popołudniem smarowałabym kanapki konfiturą z jeżyn, a kiedy przychodziłabyś nareszcie do domu, byłabym wykończona wielogodzinnym odpędzaniem much i os. Chciałabym móc ci powiedzieć w dniu, kiedy zaczniesz się interesować miotami kociąt i płcią swoich lalek, że kochałam cię od chwili, kiedy zostałaś poczęta, kiedy wróciłam do domu mokra od spermy, i od tego dnia nigdy nie przestałam cię kochać, lecz byłaby to nieprawda: nigdy cię nie kochałam, kiedy byłaś w moim brzuchu, czy też później. Tak, pokochałam cię za późno. Rodzice*



*nic ci prawdopodobnie nie powiedzą, po co ryzykować ujawnienie sekretu, zresztą wszystko wydaje się takie proste, takie oczywiste, masz zapewne rude włosy jak twoja matka i takie same ostre rysy twarzy jak ona i dopiero przypadkowa choroba i kilka kropli krwi na laboratoryjnym papierku sprawią, że odkryjesz prawdę. Na razie jesteś jeszcze ze mną, rozłąka dopiero przyjdzie we krwi i w bólu, a być może również ulga, że nie muszę cię już wszędzie z sobą nosić, tego jeszcze nie wiem. Być może będę za tobą tęskniła, być może moje ciało będzie cię chętnie szukało i zmywając naczynia, zacznę bez powodu płakać, ale pocieszę się myślą, że to tylko hormony. Nigdy tych słów nie przeczytasz, pozostaną w szufladzie lub w sejfie i to jest prawdopodobnie miejsce, w którym będą najbezpieczniejsze; jestem pewna, że twoi rodzice, gdyby dostały się w ich ręce, zniszczyliby je, i czyż mogłabym mieć im to za złe?*

*Lecz jeśli któregoś dnia, Anne-Lise, mimo wszystko to przeczytasz, to chcę, żebyś wiedziała, w jaki sposób się zaczęła cała ta sprawa, i pozostaje mi tylko nadzieja, że zrozumiesz, jak mogłam wybrać życie bez ciebie.*